JÓZEF-IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCIA
W WARSZAWIE

IBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

LUBONIE

ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

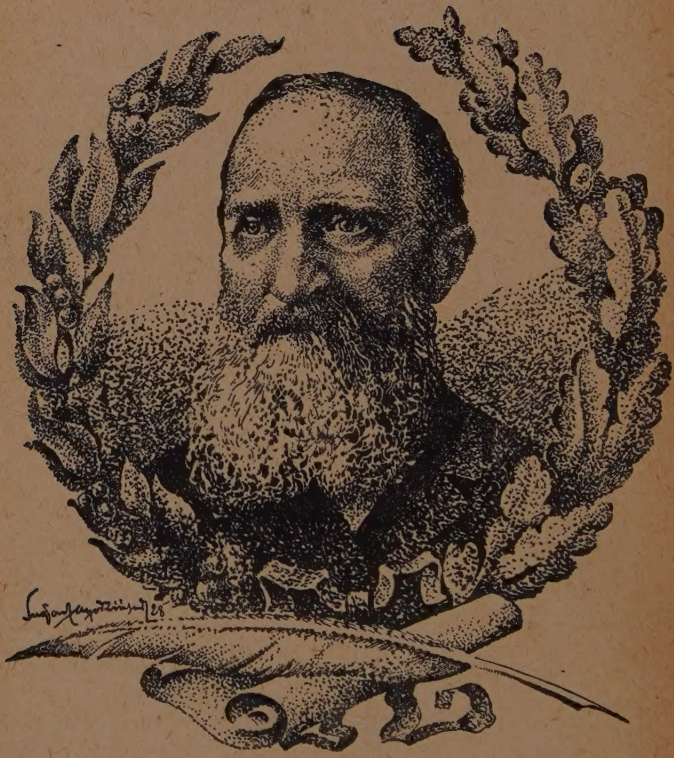

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE–Tom IV

J. I. KRASZEWSKI

LUBONIE

POWIEŚĆ Z X WIEKU

CZĘŚĆ I

1 9 2 8

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Wieczór był skwarnego dnia letniego, słońce zachodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało, by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopiekać przestały. Milczało wszystko... stada w zaroślach się chroniły, ludzie — po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zwarzył rośliny i wyssał z ziemi ostatki wilgoci po niedawnej pozostałe burzy.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Luboniów tak pusto było, jak wszędzie dnia tego, — ludzie się od spieki gdzieś pochowali.

Obyczajem starym wszystko stało otworem... dom, zagroda, wrota, — nie strzegł ich nikt, bo się nikogo nie lękano. Dwór stary wznosił się na pagórku nad rzeką, otoczony wysokim lasem z jednej strony, z drugiej do pola i łąk przytykający.

Jak wszystkie naówczas, była to budowa drewniana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami, okopcony i czarny, panował nad nią. Dokoła opasywało ją podniesienie na słupach rzezanych. Podwórze było rozległe i czyste, budynki wkoło proste, ale nowe i schludne. Z rozmiarów dworu wnosić było można o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze stajen i szop — o trzodach i gospodarstwie; z ładu około domu — o pilności pana.

Wszystkie izby domostwa przejść tak było można, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko od lasu, na ogrom-

nym kamieniu, który leżał pod strzechą, siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem, z włosy siwemi, które z pod chust się wysuwały; siedziała i, jakby napół drzemiąc, przędła.

Twarz jej opaloną, z pomarszczoną i posieczoną skórą żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał. Trzymała kądziel, ciągnęła nić bezmyślnie, zwolna i zatopiona w dumach jakichś, przędła, nie przestając. Niekiedy palce przykładała do ust, aby je zwilżyć i znowu nić ciągnęła cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce opierać się pracy zdawały.

Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie nic oprócz płótna, lipowych kurpi nowych na nogach, które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby widać nie było.

Słońce czerwone stoczyło się na lasy, a wnet i mrok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej niebios stronie pokazała się pierwsza gwiazda blada, ku zachodowi, jak złoty sierp, stał wąski księżyc na młodziku.

Wdali coś tętnić się zdawało...

Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc obyczajem starych, mruczała coś sama do siebie.

Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło. W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegły z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słychać je było.

Wtem śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jej poruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesołe, młode... Uśmiechnęły się też mimowoli usta starej prządki i niespokojnie rozglądać się zaczęła, wypatrując nadchodzących.

Z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli. Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła, ze śmiejącemi się oczyma, z ciemnym włosem w kosy zaplecionym, z podniesioną raźnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wią-

zankę świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających, w białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem. Przed sobą w spódniczce podwiniętej miała pełno uzbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy.

Dziewczęta, idące za nią, niosły też kobiałki na plecach, koszyki w rękach i postrojone były w kwiaty jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem.

Szły ku dworowi i śpiewały.

Z drugiej strony becząca i wrzawliwie odzywająca się cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielka zmieniła się w gwar życia pełny. Starucha patrzała na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła, potrząsając uwieńczoną główką.

— O! udałoż się w lesie, udało — zawołała, — za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno... choć garściami garnąć... posucha w cieniu nic nie zwarzyła... A ojciec?... — zapytała po chwili — niema ojca?

— Ojciec do knezia jechać musiał... ale na noc powróci z Poznania... tylko go nie widać!..

Staruchę prowadziła zwolna dziewczyna, przymilając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoną gładziła.

U studni pośrodku podwórka ruch był wielki i wiadrom nie dawano spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą.

Bydło tymczasem samo szło do swoich szop otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy, około koryta stojąc, głośno śmiali się tak, jak to zwykło się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu niema.

Ale na drodze tętent się dał słyszeć i wielka ta wrzawa zaraz przycichła, a psy biegły ku wrotom.

Zdala na polu widać było jadący do dworu cały orszak konnych i zbrojnych ludzi, dosyć pokaźny. Przodem na dobrym koniu jechał dorodny, niemłody już mężczyzna pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, na ramiona rzuconym.

Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siedzenia na koniu młot wisiał nabijany gwoździmi żółtemi i wyrabiany misternie, w skórzanej objęty pochewce. Za nim jechało kilku młodych jednako odzianych i zbrojnych; dobrze wyglądali wszyscy, jakby z boju albo na bój się wybrali.

Poznać było łatwo, że do domu dążyli i obcymi tu nie byli; konie ich rżały niespokojnie i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego; poważny jechał i zamyślony.

Parobcy z pola przybywszy, postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie.

Zsiadł u progu gospodarz, konia zdając na parobka i pozdrowiwszy matkę, pogłaskawszy córkę, jak stał, do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kołpak zdejmując i czoło ocierając, stara z komory kubełek pełny napoju wyniosła.

— Pij, synu — rzekła, na upał to jedyne... kwas brzozowy najlepiej gasi pragnienie... Słońce na nas jakby się gniewało, piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły mu w oczy stara i młoda, jakby myśli jego zgadywać chciały. A on siedział posępny. Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

— Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! — odezwała się. — Czyżby się co złego niosło?

— Co tam ma być! — rzekł Luboń. — Niema nic... Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jej niema... Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzał na córkę, która, nie wiedząc dlaczego, pod tem wejrzeniem ojcowskiem spłonęła i poszła do komory. Dopiero po odejściu jej starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badająco spojrzała.

— Licho nadało! — zamruczał pocichu. — Zawsze mu się nasza dziewka śni... ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć... niechże jej szuka, kędy chce, bo ja mojej nie dam... to darmo...

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce plasnęła.

— Jeszczeby też! — zawołała. — Jedyne oko w gło-

wie, kneziowi dać na zabawkę... A co jej po tem... Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle... Dziewczynę co rychlej trzeba komu dać, aby mu ta chętka odpadła...

— Tak—dodał Luboń,—matko droga... Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było, i synów ze dwu do datku, łatwoby dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą... Luboń ojcowizny nie spuści lada komu...

Głową potrząsnął.

— Oj, syna, syna mi żal! — westchnął.

— Serca sobie nie psuj — odezwała się baba, łzę ocierając rękawem, — opłakaliśmy go... i pogrzebli...

— A! gdybym ja go martwego widział i na stosie — mówił Luboń, — nie tyleby mnie serce bolało, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną... że Niemcowi wodę nosi i drwa rąbie...

Zamilkli oboje; obojgu łzy się potoczyły, a słów nie stało.

— Nieszczęsna to godzina i dzień, kiedym ja go, dziecinę słabą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę wziął. Chciało mu się wojennej sprawy próbować zawczasu... Gdybyż padł od strzały... ale mi go z przed oczów Niemcy chwycili...

Nie pierwszy to raz, ale setny może tak opłakiwali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o niem słychu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneź Mieszko ciągnął na Niemców, prosił mu się Luboń, aby tej krwi się napić, która mu jego krew zabrała.

Słał on za Odrę i Elbę do Niemców z okupem, szukając jedynaka, a no już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstąpiła stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z żalem swoim, na ręku podparty.

Wtem psy u wrót ujadać zaczęły, i jeden z pachołków wszedł na próg.

— Co tam z psami? — zapytał pan.

— Podróżny, o gościnę prosząc, u wrót na koniu stoi... — rzekł pachołek.

— Co za jeden?

— Nieznajomy człek...

— A z wielu końmi?

— Sam jedzie.

— Skądże się opowiada?

— Z nad czeskiej granicy.

— Prowadźcież go — odezwał się Luboń, wstając — nie juści go od wrót odeślemy...

I pochyliwszy się, w okno otwarte spojrzał.

Podróżny, niepozornie odziany, ze zmęczonego drogą konia zsiadał właśnie. Człek był młody, twarzy bladej, jakby przelękły i nieśmiały, broni przy nim żadnej widać nie było. Ciemną suknią był okryty, takiego kroju, jak ją po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko.

Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy mu się w lice, widać na niem było, że pod niem dusza mieszkała nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakiemiś myślami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga i wesele jakieś i pomieszanie razem na twarzy się malowały.

Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie Lubonia, jakby mowy zapomniał.

— Szczęście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój! — odezwał się. — Podróżny jestem... do knezia jadę... do Poznania, w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę.

Mówił, jąkając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądając.

Luboń też wpatrywał się w niego bystro, sam nie wiedząc, z kim miał do czynienia, bo do wojaka przybyły podobien nie był, i mowę miał choć swojską, ale skażoną.

— Przyjmuję was z ochotą — odparł stary, — siadajcie i odpoczywajcie.

Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu i nierychło dopiero pod oknem zdala skromne zajął miejsce.

— Skądżeście i co was tu prowadzi? — zapytał gospodarz, chleb podając do rozłamania na znak przyjęcia.

— Zdaleka jestem, ojcze — głosem cichym począł zwolna, ciekawie się rozglądając, podróżny, — zdaleka... z za gór, z za rzek wielu, bom wędrował dużo... Choć mi się język zepsuł, tutejszy jestem...

— Tutejszy? — podchwycił Luboń, — skąd?

Podróżny popatrzał nań i zawahał się z odpowiedzią.

— Od Poznania jestem — wyjąknął głosem prawie drżącym, — alem tu kilkanaście lat nie bywał...

I urwał...

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Luboniowi; siedział na ławie zdala, usłyszawszy je, powstał i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie.

Przybyły siedział w cieniu, okienniczka była napół zasunięta, Luboń ją otworzył, ale światła nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił. Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

— Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włócząc ziemiach — zapytał.

— Długoby to mówić było — wahając się jakoś, począł gość. — Małem dzieckiem na wojnie porwali mnie Niemcy od ojca...

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skoczył, oburącz go porywając za ramiona i głosem, który dwór cały przeraził, jak piorunem, — krzyknął:

— Włast! tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował, i płakał...

Gdy dziewczyna weszła z łuczywem i postrzegła

to, przestraszona rzuciła ogień i wybiegła, choć sama nie wiedziała, co ją przeraziło.

W tejże chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka i córka... obie drżące i o Lubonia strwożone. Ujrzawszy nieznajomego, który, jeszcze klęcząc, nogi jego ściskał, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami, osłupiały.

— Włast — zawołała stara. I podbiegła ku niemu.

Luboń stary szalał prawie... staruszka drżała, a siostra nieśmiało przypatrywała się z ciekawością temu młodemu mężczyźnie, który miał być jej bratem.

Sadzono go więc na ławie, a trzeba było napoić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało.

Słaby też i blady był, jakby znękany długą niewolą — a tu się pytania sypały, co się z nim działo i jak przebył te lata.

Ojciec nastawał szczególniej — a odpowiedzi syna ciemne jakieś były, niewyraźne i poplątane. I nierychło, jakby uspokoiwszy się i myśli zebrawszy, rozpowiadać począł o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych robót zażywany, jak później go słabym uznawszy, dano nierycerskiemu panu jakiemuś za pacholę...

Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu, jak mówił, imię zmieniono na Matję — na dwór niemieckiego cesarza... potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli... a ci go nowych rzeczy nauczyli i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy i gdzie stał największy gród panujących wszystkim krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych, i w spokoju bezorężnie życie prowadził... i nie mówił, by mu ono bardzo ciężyło, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim, co się cisnęli, aby go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połykając, o których znać wspominać im nie chciał, bo ojcu brwi się marszczyły. I nie mógł z niego dobadać o wiele więcej nad to, że wojaczki cale zapomniał, obyczaju do-

mowego zabył, języka się prawie oduczył i że swoim stał się niemal obcym.

Gdy niejasne to opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli, Luboń schwycił go za głowę raz jeszcze i ucałowawszy, rzekł:

— Dosyć, że cię mam — resztę sobie przypomnisz, gdy będziesz z nami. Zasmakujesz w orężu i w dawnem życiu, a ja cię od boku mojego nie puszczę już więcej. I krew się w tobie odezwać musi.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie innym ludzie, miasta, wsie, wojna i pokój i potęgi obce wyglądały.

Włast potrosze opisywał, skąpy był jednak w odpowiedziach, jakby go co za język trzymało.

Luboniowi słuchać było niemiło, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy łuczywach, wesoło wprawdzie i dla Lubonia szczęśliwie, przecież nie tak, jakby był pragnął, bo syna znajdował z obcych rąk wróconego, niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli. Naówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powodował się staremu cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznajmić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić... Rozstali się więc jeszcze raz uścisnąwszy, i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został naówczas sam, ale stanąwszy u pościeli, zadumał się, nie mogąc o śnie pomyśleć.

Radość w nim z jakimś strachem walczyła... łzy niemęskie czuł na powiekach. Włast to był, jedyne dziecko, a nie ten i nie taki, jakim onby go mieć chciał. Cieszył się tem, że życie zmarłemu powróci, wolał takiego mieć, niż żadnego, ale stary wojak gryzł się, w synu wojennego nie widząc ducha.

Żołnierzem naówczas był ziemianin każdy, a kto nim być nie umiał, ten niemal mężem i człowiekiem być przestawał. Więc klął w duchu tych ludzi, co mu

na wzgardę dziecię bezsilne jakieś i kalekę oddali... Więcej niemal męstwa i ochoty bojowej było w pięknej dziewczynie, co się jego siostrą zwała.

Nie spał Luboń noc całą, a gdy świtać zaczęło, zmęczony wyszedł na rosę i powietrze, aby się orzeźwić.

Jarmierz, który z obowiązku o brzasku był na nogach, drogę mu zaszedł.

Był to jego ulubieniec, jak syna go kochał.

Spotkali się u wrót, stary mu na ramieniu rękę położył.

— Cóż Włast?

Jarmierz zmilczał.

— Prawda — rzekł stary tęskno, — Niemcy z niego babę zrobili, na moje dziecko nie wygląda.

Wojak jeszcze nie odpowiedział.

— Cóż robił wczora? mówiliście z nim.

— Mało — odparł Jarmierz. — Uściskał mnie jeno, a sam zaraz na posłanie poszedł... Choć szopa ciemna, przypatrywałem się ciekawie, co pocznie. Nie wiem, czarnoksięstwa chyba jakieś wyprawiał. Widziałem, że pokląkł przy pościeli, złożył ręce i niemi dotykał czoła i ramion, w piersi się bił, głową o ziemię uderzał, aż mnie ogarnął strach. I szeptał sam do siebie dziwnie, jakby jęczał i płakał, skarżył się i prosił i dopiero się udał na spoczynek.

Jarmierz opowiadał cicho i z obawą. Luboń słuchał zadumany, ale nie rzekł nic; potem dotknął ramienia swojego sotnika i szepnął mu:

— Milcz o tem... Zabobony to są niemieckie... ale my mu je z głowy wybijemy. Niech o tem nie wie nikt — prócz nas dwu w domu, rozumiesz!

Skłonił się Jarmierz.

— Stanie się po woli waszej — odpowiedział; — ale — źle jest.

— Źle — rzekł Luboń. — Przecie ja wolę o tem nie wiedzieć, tak mi łatwiej i lepiej będzie. Dać mu trzeba spocząć, niewolę niemiecką wydychać, do obyczaju swojego powrócić.

Wy mu towarzyszcie... Śmiechem i weselem du-

szę mu rozgrzejcie... młody jest, prowadźcie go, gdzie się młodzież zabawia. Oręż mu trzeba przysposobić, konia i zabawę wojenną... ja też nie zaśpię; ale ze starym trudniej się młody znijdzie, łacniej z wami. Jarmierz — ja tobie ufam!

Skłonił się sotnik, ale westchnął; znać niebardzo sobie ufał...

Luboń podwórko przeszedł raz i drugi... Pod słupami stała matka jego, którą też sen nie brał; stała zapatrzona gdzieś, nie widząc nic i smutna.

Gdy Luboń zbliżył się do niej, pochyliła mu się do ucha.

— Nie nasz on — rzekła ponuro — nie nasz! Wiem, co jemu jest, wiem... Na swoją wiarę go nawrócili Niemcy, z oczów mu to patrzy...

Luboń sobie uszy zatknął rękami.

— Słyszeć nie chcę — wiedzieć nie chcę...

I nogą uderzył o ziemię...

II.

Radość i smutek razem przybyły z Własteм do domu; — cieszył się nim ojciec i niecierpliwił prawie, zniewieściałym go znajdując. On nie śmiał się odezwać otwarcie, bo słowo jego sprzeczało się z myślami całej rodziny; wszystkiego swojego między obcymi zapomniał.

Z serca odzywały się chwilami odżywione wspomnienia, rumieniło lice, i wnet jakaś obawa, wylanie się z uczuciem i poddanie mu wstrzymywała...

Luboń chodził niespokojny, stara babka podparta na dłoni mruczała, siostra nie śmiała przystąpić do brata, jakąś od niego odtrącana obawą.

Chrześcijańska wiara już naówczas nie była obcą nad Wartą; wcisnęła się do wielu rodzin, z cichymi apostołami, co ją przynieśli, wielu było pochrzczonych i wyznających potajemnie Chrystusa, ale kryć się z tem

musieli, gdyż tłum i lud zamieszkały po lasach i w głębinach kraju starej wiary uparcie się trzymał.

Na dworze Mieszka panował obyczaj pogański, a obok kneziowskiego grodu stała świątynia... i w niej stanice z postaciami bogów opiekunów. Niejeden raz tam zaszła i wieść i apostołowanie nowej wiary.

Mieszko sam na sam słuchał ciekawie opowiadań o potędze kneziów i panów, co się ochrzcili, ale czy się lękał, czy wzdrygał surowości obyczaju chrześcijańskiego, — do nawrócenia jeszcze nie okazywał ochoty.

Ci, co się ochrzcili, uchodzili za zdrajców i niemieckich przyjaciół, a lud, nie dowierzając im, stronił od nich i czyhał tylko na zręczność pozbycia się jak wrogów. Niebezpiecznem było przyznać się do chrześcijaństwa, i głośno mówić o niem, bo krzyż w pojęciach tłumu jednoczył się razem z niemieckiem panowaniem. Wszędzie też, gdzie on wprowadzony został, dawna swoboda pogańska ustępowała miejsca surowej karności i władzy kneziowskiej.

Nietyle żałowano starych bogów, co dawnego obyczaju...

Krążyły też dziwne pojęcia o bezlitosnej surowości wiary Chrystusa, które też od niej odstręczały. Zachowywanie postów, ściślejsze pilnowanie jednożeństwa, a nadewszystko ślepe posłuszeństwo starszyźnie duchownej napełniały trwogą.

Do prawdziwych kłamliwie mieszały się wieści straszne, ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewnie zamykał powieki.

Z pewnych cech wiedziano już, jak chrześcijan poznawać; znak krzyża i post zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa, matka Lubonia, pierwszego wieczora miała przeczucie, że Właśt wracał nawrócony. Brak oręża, uboga szata, mowa, bojaźliwość, pokora zaniepokoiły ojca i babkę.

Luboń wolał nie znać tego, nie wiedzieć o tem. Spodziewał się dziecko powrócić do starego zwyczaju; babka jątrzyła się, gniewała, a że w jej pojęciach z re-

ligją nową łączyło się czarnoksięstwo i siła wielka, zarazem obawiała się wnuka.

Hoża siostra Własta patrzała nań z ciekawością niezmierną; nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czuła po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała, a dziwy, jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej obudzały pragnienie i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali niecierpliwie, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz, w komorze ojcowskiej wybrawszy odzież nową najlepszą i najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością, wzruszeniem samem znużony, Włast spał długo, a gdy Jarmierz, podpatrując co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonemi rękami, modlącego się już znowu.

Włast, czy go spostrzegł, czy, zatopiony w modlitwie, nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udał, że znaczenia tego rannego obrzędu nie zrozumiał, pokłonił się wesoło i zapowiedział, wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały, serce miał dobre, ale życie swobodne, jakiego używał, najlepiej mu przypadało do smaku i wszelka odmiana była wstrętliwą. Kochał on swojego pana, Lubonia, jak ojca; — któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko cudownie odzyskane nie powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzał na ładne dziewczę okiem gorącem, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy goryczą i kwasem zapłonęło mu serce. Wszystkie jego nadzieje wniwecz

się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. — Syn powrócił.

Patrzał nań z zazdrością jakąś i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu wojakowi z trudnością mógł przypaść. Uczucia więc jego dla przybysza nie były bardzo życzliwe; — miał doń żal, a jednak ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie, Jarmierz uczuł, sam nie wiedział — litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystygła.

— Ojciec wasz, a pan mój, junoszo Właście — rzekł, pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim — życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się i pamięć nie została dawnej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tem lepiej, niż w starej podróżnej siermiędze. A i bez miecza synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc, śmiał się do niego. Włast stał, patrząc w ziemię, zmieszany jakoś i smutny.

— Ja bo, ja... — rzekł — tak do tej sukni nawykłem...

— E! niema jej co żałować — śmiejąc się ciągle, wesoło mówił Jarmierz. — Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe! Koniam dla was nagotował jak ogień, łuk, procę i oszczepek.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

— Mój kochany Jarmierzu, ja się z tem obchodzić nie umiem! — odezwał się głosem drżącym.

— A cóżeście wy tam między Niemcami robili? Nie juściż w spódnicyście chodzili, junoszo Właście! E! toć trzeba tego pozbyć. Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy, choć wy mnie może nie pamiętacie; — wyście dzieckiem rwali się do dzidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł; spojrzał na wesołego sotnika i uśmiechnął się smutnie.

— Kiedyś to zrozumiecie — rzekł po namyśle.

— A wy tymczasem przypomnicie sobie młode czasy — zawołał Jarmierz. — Stary Luboń mi wam służyć kazał; zobaczycie, że wam dobrze usłużę. Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej! hej! może się tam i inna zwierzyna nadarzy, białe dziewczę w wianuszku, co ze śpiewką błądzi po lesie. Bez tego bo wyżyć trudno.

Właśt ręce zacisnął, załamał, zapłonął cały i powiódł przestraszonemi oczyma. Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzał na nią z trwogą.

— Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? — spytał — czyż koniecznie?

— Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi — odezwał się Jarmierz zcicha. — Tak, tak, i miecz trzeba przypasać do boku!

Właśt zamilkł, zamyślił się nieco i leniwo ściągać począł odzienie stare. Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawemi oczyma dojrzałby był łez na jego powiekach. Mały węzełek, który Właśt wiózł z sobą przytroczony do konia, a który leżał przy pościeli, z niepokojem jakimś obejrzał, jakby się o niego zatroszczył.

Powiedzcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? — zapytał.

— Jakto, bezpiecznie?—podchwycił Jarmierz zdziwiony. — Ja nie wiem, jak tam u Niemców jest, a no u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz, gdzie chce, nikt jej nie ruszy. Jakem żyw, nie słyszałem, żeby sobie kto co przywłaszczył! Gdzie położycie rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Właśt pomyślał chwilę.

— Prawda, tak i dawniej bywało! — odezwał się.— Ludzie u nas dobrzy.

— To wiemy, że u Niemców na kłody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U nas tego nie było i niema — dodał Jarmierz. — A no — rzekł, widząc, że się Właśt nie śpieszy — odziewajcie się, ojciec czeka.

Dziś — mówił dalej — dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może jechać, a potem toć uroczyście

obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić i z pańskiego dworu, z Poznania pewnie starszyzna się przysunie na stare miody.

Słuchającemu Włastowi twarz pobladła, wdziewał tymczasem podane suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jasnej, kroju pięknego i Włast też w nich wcale się wydawał inaczej. Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

— Ot! teraz — zawołał — toście do ludzi podobni. Na drogę, do przekradania się, dobra była sukmana ladajaka, a dla syna władyki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był i mieli wychodzić; zakłopotał się jednak o swój węzełek znowu.

— Dajcie mi go, zaniosę Dobrogniewie do komory.

— Nie — nie, wezmę go sam, — zawołał niespokojnie Włast i z pewnem poszanowaniem ująwszy swój węzełek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu pod słupkami stała Hoża w wianku; zobaczywszy brata idącego i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

— Dobry dzień! — zawołała — dziś wam lepiej w sukni nowej. Ale cóż niesiecie?

— A! nic — odparł Włast, — ot, różne podróżne moje rzeczy, które potrzeba w czystem gdzie miejscu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło białe ręce.

— Dawaj! — zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z niemi.

Z za drzwi widać było Lubonia, ale jakoś zasępionego. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznie też okiem rzucił na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby.

Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt, zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to

piątek właśnie, ale poganie dni nie rozeznawali inaczej, tylko je licząc po księżyca zmianach.

Gdy Właśt na stół spojrzał, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał czas jakiś, co począć, stał pomieszany, a ojciec już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wzywał.

Pierwszą próbę miał młody chrześcijanin do przebycia w domu. Był na nią przez siebie i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego zależało uznanie, jak sobie postąpić był powinien. Po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i zwolna.

— Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać, iż mi syn wrócił z niewoli i jakby na nowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym dniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby obiatę ze mną Bogu złożyli. Jarmierz pośle parobków, a wie, kogo prosić.

Sotnik głową skinął.

— Na dwór ja do pana a knezia sam z nim pojadę — dodał Luboń, albo dziś, lub jutro.

Właśt nie śmiał nic rzec.

— Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy — wtrącił Jarmierz.

— Do łaźni go weźmijcie — dodał Luboń, — a potem się wyleży, wyśpi, i ta bladość, którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak, gdy stara Dobrogniewa, u drzwi stojąc z założonemi rękami, milcząc, we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jej — dotąd jedynaczce, wiele wolno było, jak hodowanej ptaszynie, co siada, kędy chce i szczebioce piosnkę, nie pytając.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Właśta, który mu się wyprosił; ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba — ale synowi pozwolił doma zostać.

Właśtowi więc dano wolność, a gdy się rozeszli

i on na przyźbę też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

— Włast — rzekła mu półgłosem, — chodź ty za mną.

I skinęła nań, wiodąc go w tę stronę domu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądzielą siedziała w cieniu. Hoża też chciała za nimi iść, lecz stara jej znacząco ukazała na drzwi i dziewczę znikło.

Kądziel wziąwszy z pod ściany, bo bez tej się nie ruszała starucha, powlokła się na swe zwykłe siedzenie. Włast stanął nieopodal. Przysposabiając len i próbując wrzeciona, stara spoglądała na niego, namyślając się, co mówić. Twarz miała czegoś posępną i jakby gniewną.

— Dwanaście lat — odezwała się, — dwanaście lat, to strasznie długi czas — poczęła zwolna wpół do siebie, wpół do niego. — Jam się do reszty skurczyła i złamała, a z ciebie te Niemcy krew wypili! O! nie może być — westchnęła — aby długiej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzała nań.

— Zarazić cię musieli swojemi czarami i zrobić z ciebie Niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? a cóż? pewnie. Nie zapieraj się. Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka.

Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiadał, ciągnęła dalej:

— Teraz to dopiero potrzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić — rozumiesz, Właste k? Ja ciebie na rękach nosiła, ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba, co tam było, zapomnieć.

Pokiwała głową starucha.

— Niby to my nie wiemy, co od Niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpimy. Wiesz, Włast, tam na Pomorzu przychodził jeden z nowym bogiem do nich, to go zabili... I dobrze zrobili, dobrze! Nasza ziemia do na-

szych bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali nigdy! Posyłają przodem swojego boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolniki uczynił? Tak! my to wiemy!

Oczy starej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał nieruchomy Włast; sądziła, że go ustraszy, ale na bladej twarzy wnuka nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

— Dziękuję wam za przestrogę — odezwał się — serce ją macierzyńskie natchnęło, ale babuś kochana, gdym tu szedł po dobrej woli, wiedziałem, co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mnie do was i miłość przyprowadziła i powinność... Więc jeszcze za przestrogę dziękuję!

Stara pogroziła mu palcem.

— My cię opłakali, myśmy cię kochali, ale Niemca z siebie zrzuć, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy, nie! Taka ja, a ja co? wiedźma stara; — ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy.

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy której siedziała. Na ten znak zaszeleściało coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Właста, jakby nakazując, aby go sobie wzięła i siostra, skinąwszy nań, poprowadziła go na pierwsze podwórze.

Od wczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła na przedsieni, wpatrując się w brata z zajęciem wielkiem. Włast nieśmiało patrzał na nią.

— A Włastku ty mój — poczęła zwolna się ośmielając, — co tu za tobą łez się wylało i przekleństw na Niemców poszło! Biedny ojciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego! A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powrócić możesz do nas? Chyba mnie się to jednej czasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo z tobą i gdzieś bywał i jak cię oni męczyli! a mów! Wczoraj słuchałam pode drzwiami, gdy cię ojciec pytał, i małoś co mu powiedział. A przede mną możesz wszystko a wszystko.

Właśt z uśmiechem dobrotliwym patrzał na nią.

— Powoli to się wszystko wypowie—począł,—odrazu trudnoby się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A żem zręczniejszy był, choć niebardzo silny, potemem w piecu u pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

— A któż to jest? — spytała Hoża.

— Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami i ich królami, i nad ziemiami wszystkiemi, które on jednym odbiera, drugim daje, jak chce. Na rozkazy jego stawią się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz, ludzi zebrawszy, na święta ciągnął do cesarza, gdzie mnóstwo ludu już było z dalekich ziem. Dostało mi się z nim też pojechać do noszenia tarczy i włóczni, i ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie, pan mój wraz z sokołem cesarzowi ofiarował.

Poszedłem tedy z niewoli mojego małego pana w niewolę wielkiego, a raczej w niewolę niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobywszy, cesarz, obdarzywszy kneziów swych i markgrafów i urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął, i ja z nim z sokołem i ze dworem.

Gdy Właśt mówił tak, a Hoża, sparłszy twarz na rękach, z uwagą mu się przysłuchiwała — doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się nagle, jakby przypomniawszy, przed kim mówi. Pomilczawszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej, zbywając siostrę:

— Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więcem i u niego i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje.

A potem — dodał, zrywając się i spuszczając

oczy — darowano mnie wolnością, bo starzec, u którego m służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolili mi iść, kędym chciał, dawszy na drogę odzież i suknię i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworu do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do Niemiec, to z jednym, to z drugim w ich orszakach, dobiłem się na Łabę; tęsknica mnie za wami wzięła i przebiłem się aż tutaj...

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

— Jestże to inny kraj niż nasz, ten, w którym byłeś tak długo? — spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

— Niema w nim zimy — rzekł. — Cały rok zieloność trwa i kwiaty tam kwitną, a jeźli czasem niebo się zachmurzy i z deszczem śnieżek poprószy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo i słodkie powietrze i owoce smaczne.

— A ludzie?

— Ludzie — opowiadał Włast — czarni i opaleni i gwałtownego serca, ale rozumni i wspaniali zarazem.

— A wsie?

— Domy i grody, o jakich nam się nie śniło. — Po jakimś narodzie, co tam panował, olbrzymie mury zostały i niema domostw, tylko kamienne, a wysokie kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kutych.

Dziewczę niedowierzająco bratu w oczy spojrzało. Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

— A! — mówił — więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne, i ze złota a kruszcu lane i rzezane postacie, jak żywe. Jakiż to język wypowie? A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę, i tych wojaków, w żelazo pookuwanych, całe zastępy, któreby mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni, i mądrość ich kapłanów.

Nagle Włast zamilkł, a Hoża, milcząc zawsze, jeszcze słuchała.

— A! — zawołała pocichu. — Jakże się tobie, bracie, wydadzą teraz lasy nasze, i drewniane dwory i puste kraje. Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtemi! A nam, gdyby złote obiecywano góry i nie wiem jakie niebo, — ach, jabym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne noce burzliwe!

— I jabym nie mieniał — przerwał Włast, — i nie zatęsknię ani za dworem, ani za złotem, — ale za jedną zatęsknię rzeczą...

Głos mu cichł zwolna i ustał.

Siostra, uśmiechając się, patrzała, a myślała, jaka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat jej miał tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło — myślała w duchu:

— Wiem!

Ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłoniach.

Włast też, jakby się domyślał czegoś, pokraśniał i zadrżał.

— Hoża moja — rzekł, — za czem ja tęsknić będę, to ci kiedyś powiem, nie dzisiaj; ale to wiedz, że ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnem, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czemś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższem. Ale dziś to musi dla ciebie, siostro moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się. Sparta na ręku, zadumała się głęboko, któż zgadnie, o czem? o kraju bez zimy, o tem, co nad skarby droższe, o tajemnicy brata, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmierz patrzał na nich okiem ciekawem i zazdrosnem, jakby ich chciał podsłuchać. Przy nim stały dwa konie pokryte suknem i do jazdy gotowe. Jeden z nich zarżał i Włast drgnął mimowolnie, posłyszawszy głos jego.

Spojrzał, — Jarmierz dawał mu znaki; czas było po staremu na koń siąść i rękę do oszczepu wprawiać na nowo. Niechętnie wstał Włast, — ale musiał być posłusznym.

III.

Naznaczonego dnia na Krasnogórę zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowem, lecz że się wielu spodziewano, a dwór, acz obszerny, nie starczył dla tylu gości, dzień się zaś obiecywał pogodny, w lasku za dworem poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcic, ręcznikami szytemi czerwono pookrywane.

Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzeba, gdy wszyscy z jednej czerpali misy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszcem naczyń się różniły.

Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu.

Luboń w najpiękniejszym swym stroju z sukna cienkiego, sznurami szytym i taśmami, chodził, rozglądając się dokoła domu.

Taką samą suknię, jak sobie, na znak następstwa, kazał wdziać synowi, odziawszy go zupełnie jednako. Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pachołków i służby. Żłoby dla koni wcześnie pozasypywano owsem; siano świeżo zapełniało drabiny; pomyślano wedle praw starej gościnności, aby i ludzie i konie i psy głodne nie były. Wielu bowiem, jadąc, psy z sobą zabierało, aby, przez pola i lasy jadąc, nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając, a żaląc się nad nim, iż blado a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego

oblicza, oczu wypukłych, raźny a butny, i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczając, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinął, aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

— Ja zaraz powracam — rzekł. — Słowo tylko. Szczęśliwy Luboniu, panie mój... dobrą wam zwiastuję nowinę... Mieszko, pan nasz miłościwy, zasłyszawszy, że u was gody, sposobi się też przybyć, choć nieproszony. Bałem się, abyście frasunku stąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył... Wziąwszy więc konia, naprzełajem się puścił lasami... byście w gotowości byli na przyjęcie pana miłościwego...

Luboń pobladł trochę i czoło pocierał.

— Wielka to cześć dla domu mojego — rzekł — miłościwego pana gościć... anim wart...

— Miłuje bo was nad innych — odparł zasapany poseł.

Luboń głowę skłonił pachołkowi, który stał niedaleko; miodu kazał podać, aby się przybyły pokrzepił, ale na twarzy więcej widać było zakłopotania, niż radości.

Miód wnet przynieśli, a Stogniew, który był u dworu knezia starszym, pił za zdrowie gospodarza i syna jego.

Potem ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadowił, a konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwijał się przez pólko bez drogi ku lasowi.

Luboń też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara prządka siadywała.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć cześć wielka... Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie... A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeżej trzeba... Niechże się schowa, aby jej nie było... bo kocha on mnie, kocha... miłuje i czci, ale córkę od studni schwycić każe, aby tylko mógł...

Potrząsł głową stary. Dobrogniewa też wstała, biorąc kądziel z sobą, i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały zdaleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyni i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porozrzucane leżały. Hoża tylko co lśniące kosy posplatawszy, wianuszek ruciany świeży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępną kądzielą na progu się ukazała.

— Hej! — rzekła. — Strojuby tego dosyć było... bo wam dziś rumianego liczka na gorące słońce nie wystawiać... Zaświeci nam tu takie, że spalić może i twarz i wianuszek zwarzyć... Niechaj Hożę główka boli... bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć południe...

Dziewczę zdziwione patrzało, gdy stara przystąpiła, szepcząc:

— Mieszko, kneź, przybędzie tu... już o nim ojciec wie... i nie chce, byś się pokazywała.

Spłonęło dziewczę i ręce jej od wianka opadły.

— Cóż ci żal? — zapytała starucha. — Ej! czego znowu? Wleź na strych, a odsuń dranicę... będziesz wszystko widziała... a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

— Wola pana a ojca, — będęć posłuszna — ozwała się. — Ani mi tak bardzo żal... aleby mnie też nie zjadł oczyma!

Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz, przepiórko ty młoda! — poczęła mruczeć. — Co ty znasz?... Oczy jedzą! oj! jedzą oczy! a z kneziami dziewczętom nie żartować. Już on cię, prawda, napatrzył raz, już słali od niego, że za siódmąby cię brał, a ojciec mu powiedział, tylko za jedną i jedyną ją dam...

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbli-

żyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła, westchnęła i powoli wyszła napowrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady zdaleka nawet.

Już słońce się miało ku południowi, gdy sługa, posadzony na dachu, aby zdala o kneziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się toczy. Luboń tedy z synem i powinowatymi a rodem całym i przyjacioły wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kneziowie już ówcześni cale inną niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady łupieżcami, choć jednego rodu a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny, co go otaczał; o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny kneź był już panem życia, śmierci i majętności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić i starszyznę czcił, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynać, a co chciał, to poczynał i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy złej woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między kmieciami powinowatych miał. Ale przeciwieństwa pan znosić nie chciał, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia i szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa, niż za onych czasów, gdy Pepełków zrzucono za srogość i ciemięstwo.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na czele u bramy już stali.

Mieszko, dojeżdżając do Krasnogóry, zwolnił koniowi kroku, i mieli mu się czas przypatrzyć jak przodem na siwym koniu, w bok się wziąwszy, z pańską miną, głowę do góry wzniósłszy, jechał, uśmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale naszywaną bogato, pas cały nabity złotemi ozdoby i pióro białe u czapki. Miecz też u pa-

sa w pochwie wisiał złotej, sadzonej kamykami drogiemi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice takież w ręku. Poznać w nim łacno mógł każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i zżymał.

Mieszko w samej był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną, postrzyżoną, włos piękny, długi, spadający na ramiona.

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem jego, i wojewodów dwu starych, i garść raźnej młodzieży; wszyscy byli bogato przyodziani i zbrojni pięknie. Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytemi głowy, Mieszkowi twarz wesoła jeszcze się piękniej rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył, pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgiąwszy, pokłon mu oddawali. Pachołek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

— Ojcze Luboniu — rzekł — nie prosiliście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń, Własta przyprowadziwszy, paść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary:

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiądł i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, nimbym z nim przyszedł z powinną głową do stóp pańskich...

Mieszko, po ramieniu dłonią poklepawszy Własta, który milczący powstał, począł, wiedziony przez gospodarza, iść ku stołom w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego wcześnie wzniesiono stolicę, wyższą nad inne ławy, i Luboń całą ją okryć kazał suknem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na

gałęziach dwóch drzew tak, iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

Gdy szli, mogli postrzec wszyscy, iż kneź się rozglądał wszędzie, jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami zdaleka ukazały się stojące w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił wzrokiem, i jakby zawiedziony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższem miejscu, przed którym zaraz kubki i misy postawiono, aby wybierał, co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali. Drużyna opodal na ławach miejsca zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek, Mieszko, gdy podano misę, dzban i ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, poczem chleb i mięso i białe kołacze i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał jako chciał.

Ani go prosić było trzeba, bo jadł rad i pił dobrze, a znał go Stogniew i inni, że długo się z jadłem zabawiać nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił powoli: potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał, co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający, cokolwiek kiedy w życiu słyszał i niegardzący rozumem niczyim, chociaż swojego miał dosyć.

Gdy jadł jeszcze, a Luboń z Własteм przy nim stali, ozwał się zrazu do starego:

— A krasnej córki to waszej nam nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczora — rzekł Luboń, — na głowę leży... Upał znać jej zaszkodził.

Na to nie dał odpowiedzi żadnej. Począł się we Własta wpatrywać a pytać, co gdzie przez te czasy robił i bywał; zasłyszawszy coś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własta, szepnął zaraz Luboniowi, iż kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich prawił.

Nic nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło.

Tymczasem u stołów ochota, choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się żwawszą stawała.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a ktoby był miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej dranicy i czarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiadzie.

Przed Mieszkiem postawiono w ostatku jagody leśne i mleczywo, a stary miód, Piastowe pamiętający czasy, i obstąpiła knezia gromadka starszych, a wszczęła się zrazu pusta rozmowa o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zboczyła.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumał, chcąc sobie go przypomnieć! Potem do Stogniewa się obrócił i, palcem na tamtego wskazując, rzekł:

— Dobrosław ci to Wiotki, albo się mylę?

— On sam, miłościwy panie... — rzekł Stogniew.

— Co go tak długo widać nie było?—pytał kneź.— Kędyż się zadział... chory był albo zdziczał w lesie?...

Stogniew podstąpił do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszanym i szepnął mu:

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry pokrewną jej dziewkę zaswatał.. A no, ludzie prawią, jakoby i ona innej wiary była... i on może dla niej na inną przystał.

Kneź, nie odpowiedziawszy Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna to był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiałego, otwartego oblicza. Znano

go jako wojaka mężnego i otwartego słowa człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać.

Ulękli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawił. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinienie szedł śmiało bardzo, do nóg się skłonił, jak należało, ale prędko głowę podniósł i spojrzał w oczy kneziowi niezlękniony wcale, oczekując, co mu rzecze.

— Gdzieżeś to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? — zapytał Mieszko. — Wołaliśmy was do boku i nie przyszliście...

— Darujcie, miłościwy panie, domam nie był... żonym sobie szukał... — począł otwarcie Dobrosław.

— Albo to doma jej znaleźć było trudno? — spytał kneź.

— O dziewki u nas niema biedy — rzekł Dobrosław. — Alem do tych, które znałem, serca nie miał... Dwie żon miałem z sąsiadów, obie mi pomarły... chciałem indziej szczęścia szukać.

— I kędyżeście bywali? — bez gniewu i spokojnie począł pytać kneź.

— Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmilczał, popatrzył na Dobrosława i na tych, co dokoła stali, głową potrząsł.

— Cóżeście tam widzieli na tym dworze? pewnie co lepszego, niż u nas? Oni tam już Niemcom służą i sami do nich stali się podobni.

Dobrosław potarł brodę, myśląc.

— Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemieckiego obyczaju — odezwał się, — a dużom się przecie nauczył, miłościwy panie, bo oni na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć...

— A królaście widzieli?—zapytał Mieszek chmurno.

— Jakby nie? Na łowym z nim jeździł... i u dworum stawał niejeden raz... napatrzyłem się go dosyć.

— I co o nim trzymacie? — wtrącił kneź, mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylił głowę i oczy w ziemię wlepił.

— Miłościwy panie — rzekł — mąż jest silny... tyle tylko wiem, mąż przebiegły wielce a władzy chciwy... lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem — powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic, z kubka popił i na mówiącego popatrzył długo.

— Jutro na łowy pojadę — ozwał się po namyśle, — pojedziecie i wy ze mną, Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

— Syna mi przyślijcie na zamek do Poznania... przy dworzę go chcę mieć.

Usłyszawszy to, stary pobladł, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

— A! miłościwy panie! Jedynak on u mnie i tyle go lat nie było!...

I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

— Odbierać go wam nie myślę! — zawołał. — Ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebnym... Oddam go wam napowrót, nie bójcie się... A pocoby mi się zdał zresztą? — dodał Mieszko — blady i słaby... nie do miecza znać urósł, albo go tam tak tą niewolą wycieńczyli...

Luboń westchnął.

— Chciałem — rzekł — aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on wlot zrozumiawszy, pachołkom zdala stojącym dał znak, aby po konie szli. Mieszko nazad się wybierał do domu.

A jak tu przybył wesołym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły.

Może też spodziewał się najrzeć tu Hożę, którą dobrze pamiętał, a tej mu nie pokazano...

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też poczęli wstawać z ław i cisnąć się ku niemu. On szedł, nie patrząc na nikogo, prosto do wrót, gdzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż za nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni, przeprowadzając.

Więc, gdy siwego podawano, gospodarz podszedł dziękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

— Nie skąpcież mi syna — odezwał się do Lubonia, — przysyłajcie go, jeźli nie jutro, bo na łowach będę, to trzeciego dnia... A, nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zamorzę i nic mu się złego nie stanie u mnie.

Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze, patrząc za nim. Luboń milczący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

— Dobry pan — ozwał się Dobrosław. — A no, patrząc nań, czujesz, że pan, choć to kmieca krew nasza...

— Ani być winno inaczej — dodał Luboń, — bo pocóżbyśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem a wodzem nie umiał być?... Niech się go ludzie boją, byle się Niemcy lękali...

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

— Daleko nam do tego — rzekł, — by się oni nas obawiać mieli, mnieby na tem było dość, abyśmy się ich mogli przestać lękać... Patrzałem ja na nich zbliska..

I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, lecz Dobrosław odstąpił kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkiem Stogniew o nim opowiadał pocichu, Luboń i Włast stali nieopodal, a Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowej wiary miano... Zarumienił się, spojrzał ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła.

Teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu nieśmiało Włast i rzekł cicho:

— Chcę mówić z wami... chodźmy sami...

IV.

Niebardzo zważano teraz, co się z gośćmi pozostałymi działo; szedł każdy, gdzię chciał: jedni na żarty, gdzie biała płeć stała opodal na usługi gotowa, drudzy do kadzi... inni do psów, z któremi się chwalono, tamci do koni. Luboń starszych częstował.

Miał więc Włast sposobność między drzewa wprowadzić Dobrosława, gdzie sami we dwu byli. Ten, dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał; — czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego niespokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiązać rozmowę.

Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadników, że im ich gałęzie zasłoniły, Włast poruszony, ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął suknię, szczelnie na piersiach zasłonioną, i ręką dobywszy z pod niej zawieszony na sznurku mały krzyżyk złocisty, ukazał go Dobrosławowi.

Na widok znaku tego niespokojnie obejrzał się Dobrosław zdumiony widocznie... chwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował... Tak się dwaj bracia w Chrystusie pośród pogan poznali.

Włast schował natychmiast to godło, i uścisnął Dobrosława... ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł.

Stali oba niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się zbliżyli i poznali.

— Skąd wiedziałeś, żem ochrzczony? — zapytał Dobrosław.

— Musi to być wiadomem powszechnie — rzekł Włast, — bo Stogniew o tem półgłosem kneziowi zwiastował...

Zamyślił się Dobrosław smutno...

— Niedarmo mnie też wezwał jutro na łowy! — westchnął. — Co mnie tam czeka... Bóg wie jeden...

Włast uścisnął go drżący.

— Kneźby was miał prześladować? — zapytał.

— On, nie — odparł Dobrosław. — Ale się boi narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi. Ciekawym jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czescy panowie przyjęli... że ona i u nas i wszędzie zawładnąć musi, — ale nim się to stanie, wyleje się wiele krwi, wiele krwi!...

Zadumany Dobrosław powtórzył to kilka razy, wzdychając.

— Powiedz mi co o sobie — dodał, jakby przebudzony, idąc w las dalej. — Gdzie ciebie ochrzczono?

— Na dworze cesarskim... chrzcił mnie pan i biskup Rawenny... po chrzcie przygotowali mnie na kapłana i — kapłanem jestem...

Gdy tych słów domawiał chłopak, z pokorą spuszczając oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice; załamał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz, sięgając po rękę Właста, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż mu nad schyloną zakreślił głową.

— Tak, kapłanem jestem — mówił pocichu. — I wróciłem dlatego, aby tę wiarę szczepić między swymi... a trwoga mnie ogarnia, jak tego, co pada i nie ma gałęzi nad sobą, za którąby się uchwycił. Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie... Radźcie mi... Dni już wiele świętej nie mogłem spełnić ofiary... wszystko, co mnie otacza... odgaduje mnie i grozić mi się zdaje. Nie mam do kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka gniewna zmuszają mnie do życia, którego prowadzić nie mogę... Co poczne?

Zamyślił się Dobrosław długo.

— Ojcze mój — rzekł — bo cię ojcem, chociaż młodszego nazwać muszę. — Ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna, wiele przebaczono tym, co przybyli nawracać... Tak było w Czechach, nim kościoły stawiać poczęto i wy-

znawać wiarę, za którą Wacław zginął, a bratobójca ją trzymać musi, i pokutę odprawiać. Nas chrześcijan... utajonych tu jest wielu... a dla ochrony życia milczeć musimy i cierpieć.

— Jest wielu? — podchwycił Włast, składając ręce jak do modlitwy — mówicie, iż wielu nas jest?

— Ale więcej jeszcze tych, co na nasze czyhają życie — dodał Dobrosław. — Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... tak mnie w Pradze na Hradzie nauczano.

Mówili jeszcze, gdy nadbiegł szukający Właста niespokojny Jarmierz, bo się ojciec o niego dopytywał i słał za nim; musieli się więc rozstać, aby podejrzenia nie obudzać i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a Włastem stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, którego się przybranem dzieckiem być spodziewał, Włast nie był miłym. Jarmierz złego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości.

Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia; Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś zapora, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego.

— Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? — zapytał Jarmierz.

— Pytać mnie chciał o Niemcy, jak i inni — rzekł Włast. — A mówiąc, odeszliśmy w las, sami o tem nie wiedząc.

I na tem zakończyła się rozmowa. Syn do ojca pośpieszał, bo go po jednemu już odjeżdżający sąsiedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciołom dziękował.

Stary, jak poprzedzających, tak i tego dnia na oku miał syna, niepokoił się nim. Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił; domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa,

skrytego chrześcijanina, i wiarę tę nową wytępić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się staremu, iż tego łatwiej niczem dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczaju swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie, Luboń się był przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładę, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słynęły już na okolicę.

Jak inni, tak i Słomka obawiał się o swoją, aby mu jej na dwór do Poznania za siódmą czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby latały po całym kraju, żon panu dostarczając... a krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, a on tak wyznawał, że ma strach o Mładę.

— O tę się bać nie masz co — rzekł, rękę mu kładąc na dłoni, Luboń. — Daj mi ją dla syna... Poślę swaty... jak jej czepiec włożą, — nikt nie będzie śmiał dotknąć, by najpiękniejszą była. Daj mi Mładę dla Własta!

— Czemu nie? A byle więcej nie brał już nad tę jedną — rzekł Słomka.

— Niema u nas tego zwyczaju; — jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie... — Myśmy wszyscy po jednej mieli — mówił Luboń.

— I my z wieków — dokończył Słomka, a gdzie u ogniska dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju... Dam Mładę za Własta...

Ścisnęli się za ręce.

— Ale starym obyczajem — ze swaty i obrzędem... a niech ją Własť choćby najrzy przódy, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać.

Luboń się uśmiechnął.

— Dwoje młodych, a czemuby woli ku sobie nie mieli mieć? — odparł. — Nasza tu, nie ich wola ma rządzić..

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni.

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim żegnać odjeżdżających, i Słomka przystąpił, Luboń kazał synowi do nóg mu się pokłonić, choć nie mówił dlaczego.

— Stary druh i powinowaty nasz — zamruczał. — Jak ojca go pożegnaj.

Włast posłuszny spełnił wolę jego.

Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się zaczęli, a ostatni już późną nocą o młodym księżycu ruszyli.

I Hoża wyszła teraz z ukrycia swojego świeżem powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba zabierała stoły, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie.

Wdali słychać było śpiewy odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny po dniu pełnym wrzawy nastąpił.

Luboń ze starą matką szeptali coś pocichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę.

Ale tu na niego czekał Jarmierz. Miał czas się rozmyślać, ciężyło mu to, że z Włastem szczerze się zejść nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie. We drzwiach szopki się spotkali, Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości, i idącego za rękę ujął.

— Właście — rzekł cicho. — Siądźcie tu trochę, ja z wami chcę, jak brat, pomówić otwarcie, — pozwólcie.

— Owszem, bracie mój — mów... ja ci życzę dobrze.

— I ja wam, piorun niech mnie ubije, — prawdę mówię — zapalczywie dodał Jarmierz. — Będę szczerym... Dwanaście lat, was nie było... stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hożę pokochał. Szło na to, że ja mu synem być miałem — teraz... powiedzcie, co teraz będzie?...

Włast go uścisnął.

— Jarmierzu mój — odezwał się. — Jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż jabym ci stanął na przeszkodzie? Ja, wiesz mi, bracie! ja... nic i nikomu nie odbiorę... nawet to, co mi po ojcu należy... ja ani pragnę mieć, anim zdolny tem władać. Widzisz mnie— słaby jestem, nie wojak...

Spuścił głowę... Jarmierzowi żal się go zrobiło i uścisnął go w milczeniu.

— Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać — rzekł, — anibym mógł, ni chciał; pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo... i służmy sobie, starym obyczajem — jak pobratymcy.

— A! mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi — odezwał się Włast — zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

— A ja ci dam pierwszy dowód — odezwał się Jarmierz, zniżając głos, — że ci dobrze życzę i bratem jestem.. Was stara babka i ojciec i wszyscy posądzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

— A gdyby tak było? — wzdychając cicho, zapytał Włast.

— Niech to złe odejdzie od nas! — zawołał Jarmierz. — Nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie!... Nie znacie starej Dobrogniewy: strułaby was, choć wnuka... Nie znacie ojca... wyrzekłby się was, jak wroga!

Głos mu się trząsł, mówiąc, ale przestraszony, zniżył go i kończył szeptem cichym.

— Nie mówcie tak, bo to być nie powinno i nie może... Lubońby na to nie pozwolił nigdy... Ale posądzają was... ja sam, — może ja sam winienem temu... ja nie wiem! Pytali mnie — mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy — przyznaję się — możem nie powinien był mówić o tem.

Włast milczał.

— A gdyby was tam i zepsuli — ciągnął Jarmierz, — trzeba, wróciwszy do domu, do swoich bogów powrócić. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś,

Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Mładę.

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmierz — Młada, widziałem ją raz w lesie z matką, piękna jak bogini Dziewanna... biała, smukła, wesoła, z oczyma niebieskiemi... Ona was, wy ją pokochacie.

— Bracie mój — po chwili posępnie odezwał się Włast, — coście wy mnie mówili, poszło z poczciwego serca. — I ja wam wyznam wszystko — tak... ja jestem chrześcijaninem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał!

Nastąpiło milczenie długie... Jarmierz patrzał zdziwiony na niego i głową trząsł.

— Ojcu musicie być posłuszni!

— Tak, lecz mam w niebiosach Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo...

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiałą, lecz pytać się nie śmiał; uścisnął Właста, który odzyskiwał powoli przytomność po krótkiem wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

— Spokojnym bądź — odezwał się do Jarmierza. — Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale Mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski ojca mojego niebieskiego zdradzić mi każe, pójdę stąd... zostaniesz ty sam i będziesz staremu dziecięciem i pociechą.

— Jakto? porzuciłbyś wszystko? ojca? siostrę? dom? bogactwa wasze? dla...

— Tak — odparł Włast. — Nie pytaj mnie dlaczego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś... ale ci przysięgam — porzucę wszystko, abym ocalił więcej, niżeli to wszystko!!

Zadumany, przelękły prawie Jarmierz stał przed nim, słuchając i uszom nie wierząc, patrząc i nie wierząc oczom, bo twarz Właста zamiast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwycięską.

Dokończywszy tych słów, Włast uściskał prawie wesoło Jarmierza, i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę..!

Jarmierz zamyślony stał tak, patrząc na modlącego się Właста, i dreszcz go przebiegł jakiś.

Modlącemu mieniła się blada twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym. Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca.

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał do męskiej zabawy, kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy, w las, sam po dniu wczorajszym czując się znużony... Zbudził więc Jarmierz zawczasu Właста, który, pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał.

Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc, i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry lasami wprost do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali.

Włast jechał milczący, jakgdyby jeszcze się modlił. Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał dozierać, gdyż Luboń sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł powracających z próżnemi rękami.

Granice puszcz naówczas nie były tak ściśle oznaczone jak później, a panującemu służyło prawo łowów wszędzie, gdzie chciał. Byli właśnie w ostępie, wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz na pewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz, przodem ciągle podążający, zawrócił się nagle ku Właстowi i dał mu znak, aby się zatrzymał. Pachołcy, towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle, jakby przestraszeni. Włast nie wiedział, coby to oznaczać miało, gdy Jarmierz nadbiegłszy, szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował. Musieli więc niezwłocznie uchodzić i szukać sobie gdzie indziej zwierza.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeli wychodzącego knezia, za którym kroczył Dobrosław. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową, niż myślistwem. Orszak łowiecki knezia pozostał był wtyle,

a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzysz opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź podniósł głowę i Własta zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec, zsiadłszy z konia i zdjąwszy z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekki oszczep trzymając w ręku.

Dnia tego na łowach, kneź odziany bardzo prosto, bez żadnych oznak dostojności, mimo sukni szarej i czapki, jaką wszyscy nosili, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władnącego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gasł przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na zapytanie, co w tym lesie poczynał, Włast rzekł, iż z rozkazu ojcowskiego na łowy jechał.

— Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą — rzekł Mieszko, — a sami, gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć niebardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swymi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się ma podziać i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myślistwo. Dwór pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty. Ustała ona, gdy Własta postrzeżono; Mieszko stanął, jakby namyślając się, wiszący na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gąszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał do siebie Stogniewa.

Stali właśnie na małéj łączce, zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dokoła; ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, posłać je na trawie i legł na niem. Przyniesiono kobiałkę z pieczonem mięsiwem i baryłkę miodu, którą przed kneziem ustawiono. Dobrosław i Włast stanęli opodal nieco.

— Stogniew — rzekł kneź. — Wy poprowadźcie łowy, ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzynę, tem lepiej, a nie...

Ruszył ramieniem i skinął ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzie, co się zdala byli kupą ścisnęli, i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź sam pozostał z dwoma towarzyszami.

Oczyma zmierzywszy bacznie dwór swój, który śpiesznie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Właста, jakby go okiem chciał wybadać i zbliżyć mu się rozkazał.

— Tyś był między chrześcijanami? — zapytał. — Długo?

— Dwanaście lat, miłościwy panie — odparł Włast.

Poruszył głową Mieszko.

— Znasz więc ich dobrze?

— Lepiej, niż teraz mój własny kraj — odezwał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło. Włast z trwogą myślał o tem, co pocznie, jeśli go Mieszko spyta, ażali i on chrześcijaninem nie został? Sumienie nie dozwalało mu zaprzeć się Chrystusa, a wyznając wiarę, nie miałże, jak ci, o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę!

Lecz Mieszko pomilczał trochę, Właста kilkakroć oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

— Mów — rzekł — jak ci się zdało!... są oni więksi i silniejsi od nas na Hradczynie, a Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? — są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał, dodał:

— Tak, jak Niemcy mają jedną stolicę i jedną głowę cesarza, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas Niemcy zjedzą.

— Maż Bolesław tę siłę, aby zagarnął nas wszyst-

kich i mnie? — mruknął Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszanym wymówiwszy głosem. — Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych, co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się, zwolna cedząc słowa, — jeżeli siłę na setki i tysiąc wojowników liczyć mam, tom ich nie rachował; nie wiem; jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie zdaje się mędrszym nad innych. Przecież on jedno wie, iż Niemców bić trzeba się u nich samych uczyć. Dlatego od nich nie stroni, często się łączy z nimi, kłania się im, ale tylko dlatego, aby ich zmógł lepiej.

— I przeto przyjął ich wiarę? — spytał Mieszko, w oczy patrząc Dobrosławowi.

Na odpowiedź nierychło się zebrał zapytany i rzekł:

— Nie wiem...

Milczeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą — zaczął, — jak ci się zda, ktoby z nas został powalony?

— Kto losy wojny może zgadnąć? — odparł Dobrosław. — Ale pocóż wojnę poczynać?

— Hm, wojna się sama począć może, niepoczynana przez nikogo... A co tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze zwolna zbierał się na odpowiedź.

— Wiedzą, że miłościwy pan silnym jesteś, ale oni tego, kto się do chrześcijan nie liczy, groźnym nie sądzą.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał, — Powiedzże mi ty, co chrześcijan znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

— Niespodziewanie podchwycony pytaniem tem, Włast oniemiał zrazu, nie wiedział, co ma rzec, modlił

się w duchu o natchnienie i sam nie wiedząc jak, odezwał się z zapałem:

— Miłościwy panie, wiara to jest, co zaprawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmią mu jest, światłem i siłą!!

Słysząc te słowa, Dobrosław pobladł, ale spojrzał z poszanowaniem i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca.

Kneź też, nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przelękłemi zmierzył mówiącego i mruczał sam do siebie. Właśt stał, gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią — odezwał się, — że człowieka ona dręczy i morzy i wzbrania mu wszystkiego, — prawda-li to jest?

Młodzieniec, który już czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę, nie mierzył więc słów swoich.

— Miłościwy panie — począł — gdy człowiek bierze z pola dzikiego konia, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył i rozumu dał mu siłę, musi go morzyć głodem, bezsennością i znużeniem; tak wiara czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz Boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem:

— Na obraz Boży! na obraz Boży! coś ty rzekł?...

— Tak uczy ta wiara! — powtórzył Właśt.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Milczał zatopiony sam w sobie. Właśt stał przestraszony razem i dumny sobą.

— Na obraz Boży! — powtórzył raz jeszcze Mieszko — więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

— Tak jest, miłościwy panie — rzekł Właśt.

— I zwycięstwo i potęgę i panowanie — mówił Mieszko.

— Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czemże je kupić może? — pytał Mieszko.

Właśt milczał nieco.

— Miłościwy kneziu — rzekł — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara pełna tajemnic i cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba!

— Ale je za skarby też i bez pracy kupić można?— rzekł kneź.

— Nie — odparł Właśt; — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko poprzestał pytać. Zdawało się, że się lękał zwrócić oczów na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

— Zaswataliście sobie dziewkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie — odezwał się, nieco zniżając głos. — Musi to prawdą być? Pojedziecie do Pragi, nad Hradczyn?

— Czyżbyście miłość wasza wzbronili mi tego? — rzekł Dobrosław.

— Nie bronię — rzekł Mieszko, — owszem, posłem chcę was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tem wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Właśta, dając mu znak, by i on milczał.

— Ani mówcie, żem ja was posłał na zwiady — kończył kneź, — ale od siebie na dworze pytajcie, ażaliby nie radzi mnie tam byli? Ażaliby Bolko z Mieszkiem nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Mówcie od siebie—nie ode mnie, bo się nie godzi, abym ja prosił; mnie tylko rozkazywać przystało. Zrozumiejcie ich, gdybym przybył do nich, jakby mnie oni przyjęli?

Wzrokiem dokończył kneź.

— Rozum miejcie — dodał.

— Uczynię wedle rozkazania — z radością prawie odezwał się Dobrosław.

— I nikt o tem wiedzieć nie ma! — powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rześko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów głosy na ostępie słychać było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milczenie.

Coraz wyraźniej słychać było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pniem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

Wtem w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie i stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc, z gęstwiny, wprost na knezia i w tejże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dłonią, w zakrwawionej bestji, która, rzuciwszy się jak wściekła, biegła na Dobrosława.

Miał i on oszczep w ręku i, uskoczywszy nieco, uderzył nim na dzika.

Tuż nadbiegli kneziowscy ludzie, którzy rozjuszone stworzenie chwycili i przytrzymali; psy też rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Już na konia wsiadłszy, rzekł kneź Dobrosławowi, aby do domu wracał, a Własłowi za sobą jechać polecił i cały orszak, zebrawszy się w gromadę, milcząc, posuwał się ku grodowi do Poznania.

V.

Gród, wznoszący się na prawym brzegu Warty nad Cybiną, nie odznaczał się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był i dosyć warowny, choć mógł się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło.

Wysoki wał opasywał go zdala, ostrokoły i tyny obejmowały drugiem kołem, domostwa jednak w nim zawarte wszystkie były z drzewa i stołbu nawet murowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, świrnie, odryny, szopy i nieopodal od rzeki odosobnioną stojącą świątynię Jessego, którą otaczał maleńki gaj prastarych drzew tak, iż jej zdala z pośrodka zielonych gałęzi prawie widać nie było.

Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Stała przy niej straż przez dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i na dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa pańskie przestrzeń znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego ciosanego i wyrzynanego misternie, malowanego w barwy kraśne. Gdzie niegdzie potworna głowa jakiegoś zwierzęcia, wyrobiona dziwacznie, wznosiła się u dachu i przyczułków.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławy i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonemi; w każdej z nich na stopniu podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kneziowska, suknem krasnem okryta.

Wielka w niektórych sprzętach prostota łączyła się z przepychem i bogactwem dziwnie od niej odbijającem. Tam, gdzie zwykle biesiadowano w dnie uroczyste, kute jakby od siekiery i młota, leżały i stały mnogie naczynia ciężkie, ze srebra, a nawet złota, niektóre kamieniami ledwie ogładzonemi nasadzone.

A ktoby był zajrzał do skarbca, gdzie łupy wojenne składano, zdziwiłby się mnogości niezmiernej na stosy zrzuconych naczyń, blach i sztab kruszców drogich. I na orężu, jeśli nie dla całych zastępów, to dla pańskiej drużyny, też nie zbywało, a był on zdobyty w części na pobitych Niemcach, w części na przybyłych ze wschodu i zachodu.

Dwór książęcy był liczny, bo stanowił przyboczne wojsko Mieszka. Co najlepsi wojacy stać tu musieli zawsze wpogotowiu, tak jak po innych grodach, przy żupanach i starostach oddziały czekały ciągle na zawołanie, wraz z panami swymi. A gdy na wojnę iść było potrzeba, skinął tylko Mieszko, wychodząc ze swoimi, aby inni za nim szli, i ciągnęło, co żyło.

Liczba tych pułków co roku rosła i zwiększała się, ale co roku też i niebezpieczeństwo od Niemców, już panujących za Łabą po Odrę, powiększało się i mno-

żyło. Z markgrafami u granicy, wdzierającymi się we wnętrze, walka była nieustanną.

Serbowie nadłabiańscy coraz się słabiej bronili, wiele plemion znękanych przeszło do wrogów i z nimi chodziło przeciw swoim na łupieże; wkrótce cała waga niemieckich sił, sprzymierzonych z Czechami, na Polanach i Mieszku miała zaciężyć.

Czuł kneź, że się teraz ważyły losy ludów jednego rodu i języka, i że on albo miał je bronić od zagłady, albo paść z niemi.

Najeżdżane też miry polańskie wszystkie już nie o starych swoich swobodach myślały, ale o własnej obronie, i choć kneziowska moc rosła, wolały jej ulegać, niż w jarzmo iść niemieckie.

Od lat już wielu nad Cybiną stało to ognisko, w którem się wszystko przygotowywało, co gdzie dokoła, a zwłaszcza między Wartą a Odrą dziać się miało. Na osobnych gródkach siedzący mniejsi kneziowie poddali się władzy Mieszka, bo ich siłą do tego przymusił.

Czasem też, gdy wieść przyniesiono, że Niemcy się nad Łabą pospali, albo na Pomorze bezpiecznie wtargnąć było można, gdy jaki wódz, a książątko przywlokło się, o pomoc prosząc i prowadzić obiecując, z dnia na dzień ruszało z grodu, co żyło, ledwie w nim garść na obronę zostawiwszy.

Dniem i nocą bieżono nad granicę, za rubieże dla łupu i postrachu. A powracano różnie: raz z łupem i radością wielką, z niewolniki w łyka powiązanymi, — czasem nocą w garści małej, pokrwawionej, za którą się zawstydzone kupki wlokły powoli.

Bywało różnie, chociaż za Mieszka dobrze się szczęściło, bo był i mężny i przebiegły wielce, na lada się posłuch nie kwapił, i dobrze ważył, nim się porwał.

Pan był milczący, ale gdy dobył głosu a krzyknął, drżało, co ten głos usłyszało, i bieżało, co żyło.

Tego wieczora, gdy z łowów na Cybinę powrócono, a z orszakiem pańskim blady i niepozorny Włast nadciągnął, zebrała się w podwórzu koło niego kupka

niemała, bo go tu nikt jeszcze nie widział i odgadnąć nie umieli, poco go tu ściągnięto.

Nie wyglądał on gość na wojaka, ani na możnego władykę; odziany był niepocześnie, patrzał na ludzi nieśmiało. Któż mógł zgadnąć, naco się on tu zdał?

Stogniew ciekawej gawiedzi gęby pozamykał, szepnąwszy, iż był synem Lubonia, że długo u Niemców w niewoli przesiedział, więc i wszystkie ich tajemnice znał, a tem się mógł przydać kneziowi.

Własta zdał Mieszko na ręce Stogniewowi, poleciwszy, by o nim pamiętał. Niemniej jednak w pierwszej chwili, gdy kneź poszedł do swych niewiast na drugie podwórze jeść i spoczywać, a Stogniew dworem rozrządzić miał, Własta został sam na przedsieniu pod słupami, siadł na ławie, rozglądał się i niebardzo wiedział, co miał czynić.

Gawiedź się była wszystka rozeszła. Kilka psów, siadłszy naprzeciw niego, obcemu się przypatrywały, pomrukując. Wtem od wałów wolnym krokiem przywlekł się człeczyna, który, nieznajomego zoczywszy na ławie, przybliżył się do słupów prawie, by mu się pilniej przypatrzył.

Własta też mógł on zaciekawić, bo nie wyglądał jak drudzy, a odgadnąć było trudno, co na kneziowskim dworze robił.

Krępy bardzo i zsiadły, nogi miał trochę krzywe, łeb duży, kręcącym się czarnym włosem pokryty. Z ust dobywały mu się dwa kły, dziwnie wyrosłe, tak, że wargi ich przysłonić nie mogły. Ogromne ręce, silne, grube, pięści jak młoty, kark krótki i żylasty, pierś wydatna, szeroka, wszystko mu jakąś zwierzęcą nadawało cechę. Czoło też miał bardzo niskie, a ślepia świecące jak u kota. Prosta gunia okrywała ciało obrosłe włosem, na nogach miał grube płócienne spodnie i nędzne wykoszlawione chodaki.

Takie potworne stworzenia chowali wówczas panowie do posług, tak samo jak oswojone niedźwiedzie i przyłaskawione wilki.

Gdy psy, siedzące u słupów, zobaczyły zbliżające-

go się, ogony wziąwszy pod siebie, uszły mu zaraz z drogi i pokładły się dalej, jakby go się lękały.

Dziki człek, bo na takiego wyglądał, podszedł tuż do Własta i zuchwale ze wszech stron począł mu się przypatrywać.

— Coś ty za jeden, hę? — zamruczał wreszcie — ty, jakiś?...

Spokojnie i łagodnie zwrócił się młodzieniec ku niemu.

— A ty? — spytał.

— A ja?... Toć widzisz... jestem od psów, od padła, od stryczka, od gnoju i od śmiecia... nazywają mnie Psiajuchą... a ciebie?

— Cóż ci przyjdzie z nieznanego nazwiska?... Daj mi pokój — odparł Własť — nic nie masz do mnie...

— E? a kto wie? Skądżeś ty?

— Z Krasnejgóry.

— To przecie nazwisko nie obce... — odezwał się Psiajucha. — Ty musisz być Luboniów sługa.

— Lubonia syn.

— Oho! oho! — rzekł pachołek i skłonił się szydersko. — Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

— Nie miał go — rzekł cierpliwie Własť, — ale mu on powrócił.

Chciał się pozbyć natręta, lecz trudno to było; Psiajucha stał z założonemi rękami i wpatrywał się uparcie.

— Chuderlawe to — począł mruczeć, jakby sam do siebie — blade, mizerne... poco się to tu zda? Komary go zadziobią... a chleb będzie żarł tak, jak drudzy!

Własť spojrzał nań; obrzydły pachołek ani się ruszał.

— Nic będzie tu z niego pociechy żadnej.., ani babom nawet, bo to wymokłe... oneby się gzić rade... a to ledwie dysze... Poco to tu wzięli... Ja go do pomocy nie przyjmę... — Hej! — ozwał się głośniej, pełniąc swój obowiązek błazeński — miłościwy Luboniów synu, władyko... nie wiecie, pocoście tu przybyli?

— Z panem miłościwym przybyłem — odezwał się Włast, choć miał wstręt do tej rozmowy.

Posłyszawszy to, pachołek mruknął i oddalił się. Nie było go dosyć długo i już Włast sądził, że się go pozbył zupełnie, gdy zwolna Psiajucha przywlókł się napowrót, stanął naprzeciw niego i w milczeniu przypatrywać mu się zaczął.

— Toś ty u Niemców w niewoli przez dwanaście lat był? — odezwał się nagle — hę?

— A byłem — sucho odparł Włast.

— O! i pewnie nową wiarę u nich wziąłeś — dodał pachołek. — A z nią tutaj pójdziesz na gałąź! na gałąź! na gałąź!...

Włast mu na to nie odpowiedział.

Psiajucha, wykrzywiwszy się strasznie, obie pięści nadstawił, zębami zgrzytnął i jeszcze parę razy powtórzywszy:

— Na gałąź... nogami aż tupać zaczął.

Nie postrzegł tego, że Stogniew, widząc go dokuczającego przybyłemu, wysłał chłopaka z biczem, a ten, ztyłu zaszedłszy, smagnął go parę razy z całej siły po nogach.

Zrazu chciał się nań porwać Psiajucha, ale spostrzegłszy Stogniewa, odwrócił się, zaskowyczał, zęby mu pokazał, klapnął niemi parę razy i uciekł.

Włast pozostał potem długo zapomniany w przedsieni, dopóki go Stogniew nie zabrał z sobą do izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek.

Posiliwszy się nieco, już chciał wstać, gdy komornik książęcy, sługa izdebny, wszedł, pozywając go do Mieszka.

Mieszko był jeszcze w drugiem podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały i gdzie sypialnię miał, w której odpoczywał.

Przeszedłszy pierwszy dziedziniec wewnętrzny, pełen psów i wrzawy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził Właста komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa.

Zaledwie zaskrzypiały drzwi, z otwartych okien na lewo ujrzał Włast powychylane głowy młodziuchnych niewiast w białych chustach z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wyrwało się z wnętrza, aby się znać obcemu przypatrzeć lepiej.

Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podsienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Właста prowadził, przyodzianych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba, sparta na drewnianych słupach, które ją na dwoje dzieliły, okopcona od dymu, z ogniskiem ogromnem, wygasłem teraz, cichą była i milczącą.

Przeszedłszy ją i drugą mniejszą, pustą, w której stał oręż przy ścianach, a na nich wisiały łuki, obuchy, proce i tarcze... uchylił drzwi do komory Mieszkowej...

Kneź leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedzich, z rękami pod głowę założonemi, nawpół uśpiony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu i, nie wstając, dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik, drzwi zamknąwszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się zwolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Właстowi:

— Tej nowej wiary niemieckiej jestem ciekawy... Ty ją znać musisz... mów mi o niej! Wszak Bóg ich Chrystusem się zowie?

— Tak, miłościwy panie — począł Właст zwolna a pytanie to rozradowało mu duszę. — Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi, i powrócił do niebios, skąd zstąpił na nią. Zszedł On, by nowe prawo przynieść z sobą i zaszczepić je krwią swoją pomiędzy ludźmi.

— Tak... wiem... był zabity... zamęczony... — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał! — dodał Właст.

Kneź, usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestrachu.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał cicho.

— I czyni je ciągle... — dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo:

— Tyś chrześcijanin?

Włastowi serce uderzyło silnie.

Pomimo że głos ten nie był, a przynajmniej nie wydał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienia ducha na myśl mu przyszło, jakby dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza... drgnął, odpychając to jak pokusę nieczystą i wnet mężnie, zwyciężając niemoc i obawę, rzekł:

— Jestem nim, miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to cierpieć miał i życie utracić, zaprzeć się nie mogę Boga mojego...

Zdumiony Mieszko, milcząc, długo się w natchnionego młodzieńca wpatrywał.

— I... nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie, panie... bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny! — mruknął kneź, wstając. — Jesteśże ty pewnym?

— Miłościwy panie, — zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy, napół szyderskim, napół trwożliwym, rzucił się kneź na łoże i zadumał głęboko.

Milczenie przykre trwało długą chwilę.

— A umiesz ty cuda czynić? — zapytał.

— Nie, panie, bo ich żaden człowiek nie czyni — rzekł Włast — tylko Bóg! a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym Jego łaski. Jam jej nie godzien!

Tego Mieszko zdawał się nie rozumieć dobrze.

— Przecież są tacy chrześcijanie, co czynią cuda? — odezwał się.

— Są, miłościwy panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Mieszko znów się zadumał, położył na swojem posłaniu i zdawał zupełnie zapominać o Właście.

Młody chrześcijanin z bijącem sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy był gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić. Widocznem tylko było, że kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcijan przeszedł nagle do cesarza.

— Cesarz niemiecki... silny on jest? — zapytał.

— Nie wiem, czy jest kto nad niego silniejszy na świecie — odparł Włast, nawet ten drugi, siedzący na stolicy dalekiej nad morzem... Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jej niema nigdy... Ma pod sobą królów i kneziów i panów moc niezliczoną... wojska niezmożone... skarby ogromne... A! panie, potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

— A przecież — dotąd jego markgrafowie i książęta Serbów, Polan i Wendów zmóc i podbić nie mogą!... — zamruczał, jakby sam do siebie. — Nas, cośmy rozbici i podzieleni, Czechy mają, ale Czesi ich zdradzą, gdy chwilę upatrzą... Poszli z nimi, bo Ugrów złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroje, oręż i szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemiach inne było.

Włast opowiadał powoli i z rozwagą, opisując, co widział: stare grody z ich murami wielkiemi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń.

Nie przerywając, chyba nowemi pytaniami, kneź dał mu mówić tak długo, jak starczyło wieści. Dumając, przysłuchiwał się posępnie, to z ożywionem zajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, — to z lekceważeniem, gdy mowa była o złocie. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło.

Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość, niż zwątpienie, jakgdyby szukał środków dorównania tej sile, wcale się nią nie trwożąc.

Gdy wkońcu Włast znużony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł, Mieszko, popatrzywszy w okno, rzekł, zwolna głos zniżywszy:

— Patrzaj, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął, — ukaraćbym musiał! Ojca mi żal twojego. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają — nic wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy, nie!

Włast chciał go żegnać, gdy kneź dorzucił:

— Od dworu cię nie puszczam, musisz tu zostać! Mnie przystało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, coby ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drzeć potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę, — powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tem odpuścił kneź Właста, nie okazując mu większego gniewu; a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytułku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzódy.

VI.

Włast pozostał na dworze Mieszka, chociaż, mimo iż mu kneź twarz okazywał łaskawą, inni nań koso patrzali. Domyślano się w nim znać tego, czem był w istocie — chrześcijanina — a tu to znaczyło tyle, co Niemiec i wróg. Spokojna i pokorna postać młodzieńca nie przypadała zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciągłą oddychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy.

Ściągano nieustannie i zbrojono, a przysposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć, bo na granicy nigdy spokoju nie było; stamtąd przychodziły

wieści dniem i nocą, szczególniej o czynnościach srogiego nieprzyjaciela Słowian, markgrafa Geroná. Mieszko jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsycał je, wywiadywał się, pomagał potajemnie.

Kneź sam i wszyscy, co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkiemi plemionami bratniemi, aż do morza, aż za Wisłę; że Szlązko też i Chrobaty powinny były, prędzej, później Czechom być odebrane i do Polaków jedności włączone. Wszystko, co Gero zdobywał nad Łabą, co zdradą odpadało od bałwochwalstwa i słowiańskiego przymierza, Mieszko uważał, jakby sobie wydarte. Pomagał mu w tem brat po ojcu, choć nie po matce, starszy od niego Sydbór, z ulubienicy Ziemomysłowej urodzony, przed zaślubieniem Górki, matki Mieszkowej, wojak z lat młodych, który żył tylko wojną.

Po matce, która była prostą dziewczyną z lasów kędyś wziętą, Sydbór wziął naturę dziką, upodobanie w życiu swobodnem, pod gołem niebem, na zasadzkach, w walce i napadach.

Srogi ten, nielitościwy kat na ludzi, którego znano z tego, iż żadnej winy nigdy nie przebaczył i miłosierdzia nie miał nad nikim, kochał przecie i szanował Mieszka, a nadewszystko czcił i przywiązany był do siostry, która nosiła toż imię, co matka jej — Górka.

W osobnym dworze na zamku nad Cybiną mieszkała ona pod knezia opieką; miała swą służbę oddzielną i żyła odosobniona. Niewieście towarzystwo żon kneziowskich nie przystało jej, trzymała się od niego zdala. Mieszko zdawna zamąż ją wydać pragnął, lecz lada komu jej dać nie chciał. Górka też nie wyrywała mu się na świat.

Kneź szanował siostrę i lubił ją, ale niczem było jego przywiązanie do niej przy cześci a uwielbieniu dzikiego Sydbóra, który ile razy nad Cybinę przybył, zawsze tej siostrze musiał dań jakąś przywieźć, a najszczęśliwszy był, gdy go do niej dopuszczono. Górka

z tym przyrodnim swym czyniła, co chciała, a gdyby mu najdziwniejszy rozkaz wydała, spełniłby go niechybnie, o niebezpieczeństwo nie pytając.

Nazajutrz po przybyciu Własta, rano właśnie nadciągnął Sydbór, a jeszcze do wrót nie doszedł, gdy już na grodzie panowało poruszenie wielkie i wszyscy biegli widzieć go nadciągającego. Wyszedł i Własť.

W przedsieniu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy zdala od wałów pokazał się orszak jego.

Nie był on zaprawdę świetny, a dziwnie wyglądał; stu może ludzi konnych na żwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór... sam on jechał przodem, — istny wódz dzikich; czerwony, czarny, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem, nieco oszarpanym, obwieszony bronią wszelkiego rodzaju, której miał tyle, ile się jej u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzidę i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcejby przeszkadzała, niż dogadzała, lecz Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nic zbytecznem dlań nie było. Tarczę zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jej używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy, niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy, a odziani byli jednakowo, co naówczas wielki przepych stanowiło.

Jak Sydbór, tak i jego cała drużyna wyglądała strasznie; nie było ani jednego całego... twarze porąbane, ciała sińcami okryte, oręże poszczerbione, na wszystkiem krwi i pyłu pełno. Pomimo to szli butnie, raźno i z twarzami wesołemi, jakby w triumfie. Tłumaczyło się to tem, że w pośrodku orszaku ich szło stado ludzi powiązanych sznurami, poczepianych z sobą, — starców, młodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod gródkiem,

nad Odrą niedawno założonym, i wszystko, co znalazł, zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło pędzili osobno ludzie, którzy wolniej ciągnęli.

Wszyscy ci niewolnicy, odarci i pobici, o twarzach i ciałach pokrytych ranami ledwie pozasychanemi, przedstawiali widok przerażający niemej a wściekłej rozpaczy.

Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przyciągnął tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdobycz swoją, i z konia jeszcze rozpoczynając opowiadanie o wyprawie. Mowę jego jękliwą trudno było zrozumieć, ale to, co wiódł z sobą, wymownem było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały. Śmiech i radość były usprawiedliwione, bo tak samo i gorzej jeszcze w pętach prowadzono Słowian, branych nad Odrą, a markgraf Gero nie tylko mieczem, ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać rady.

Zbiegło się co było ludzi na grodzie, poczęści niewolnikom, poczęści znanym wojakom Sydbóra się przypatrywać i rozpytywać, kędy bywali. Spoglądano na Niemców, dopatrując w nich ludzi zdrowych i zdatnych do pracy i posługi; — niewolnik wówczas był drogi i pożądany...

Zdala patrzał i Włast, a twarz mu pobladła nagle na widok siwego odartego staruszka, który, zaledwie łachman mając na sobie obnażony, wychudły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszczoną głową stał, ledwie się mogąc na nogach utrzymać. Krótko ostrzyżone włosy, a na wierzchu głowy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla pachołków Sydbóra, pozwoliły w nieszczęśliwym poznać chrześcijańskiego kapłana.

Włast mimowolnie załamał ręce; szczęściem, nim postrzeżono ten ruch, zdradzający politowanie, miał czas opamiętać się.

Po okazaniu łupów i rzuceniu przed Mieszkiem różnego naczynia, oręża, szat pobranych na kupę, wśród których Włast dostrzegł srebrny kielich kościelny i dwa lichtarze... ludzie jedni zabierali do skarbca

zdobycz, a kneź brata schylonego przed nim po ramieniu klepał, drudzy z gromadą niewolnika powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku.

Kneziowie oba weszli do dworu; służba, komornicy, gawiedź pozostała, rozwiadując się o wyprawie, śmiejąc się i pokrzykując wesoło.

Właśt, którego widok niewolnika przejął litością jako chrześcijanina i kapłana, jako długi czas w Niemczech i z Niemcami żyć nawykłego... stał osłupiały, myśląc, coby mógł począć, aby starca, którego znał, mógł z niewoli srogiej wydobyć.

Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kneziowi, gdy doń przypuszczony zostanie, i prosić go o darowanie staruszka, który, bezsilnym będąc, mało na co komu mógł się przydać.

Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę, obwiniętą płachtami białemi, która coś pocichu szeptała mu do ucha... Nie mógł jej zrazu ani zrozumieć, ani się domyśleć, czegoby od niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę i odezwała się:

— Wy to jesteście Luboniów syn, coście dwanaście lat przebyli w niemieckiej niewoli?...

— Tak — rzekł Właśt, — ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo..

— A pamiętacie wy Srokichę?

Właśt, któremu się wspomnienia młodości zatarły w pamięci, zaledwie to imię mógł przypomnieć.

— Tak nazywali u nas, w Krasnejgórze, poczciwą niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją piersią karmiła.

Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko podniosła oczy i załzawione razem i rozpromienione.

— Gołąbku mój! dziecko moje! Toć to ja jestem Srokichą... Ojciec twój darował mnie do dworu kneziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie do kniehini, do Górki... siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając, jak umiem. Gołąbku mój! dziecko moje! A cóż to z ciebie niewola zrobiła... Jam myślała,

karmiąc ciebie, że jak dębczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce — z rozrzewnieniem; powoli na myśl przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Łza mu się kręciła w oku. Chciałby był czemś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, lecz nie miał nic. Nie widać też było po niej ubóstwa i potrzeby; odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezapracowane okazywały, że wczasu używała.

— Gołąbku mój — powtórzyła cicho Srokicha — chodź ze mną, ja cię kniehini mojej pokażę... bo ty tak jak dziecko moje, krew w tobie żupanów i władyków, ale i mleko też moje płynie...

Ocierała łzy stara i pragnąc i nie śmiejąc głaskać swojego wychowańca, który się jej smutnie uśmiechał.

— Chodź! — dodała. — Kniehini dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jej w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami — niechajże się pobawi, słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał niebardzo rad zaproszeniu, ale starej nie śmiał się opierać; myślał przytem, że jako chrześcijanin i kapłan, winien był zbliżać się do ludzi, aby choć próbować nawrócenia.

Stara, wiodąc go za sobą, przeszła część podwórza, aż do drugiego dworu kniehini; otworzyła sobie wrotka boczne i niemi Właста wpuściwszy, zaraz je za nim zasunęła.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini.

Po dosyć długiem oczekiwaniu ukazała się wreszcie Srokicha i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

Przeszedłszy dwie puste izby, w trzeciej izbie z oknami zwróconemi na podwórze, pełne niewieściego sprzętu, znalazł Włast Górkę.

Stała, spodziewając się go, w pośrodku komory, całej przystrojonej w kwiaty i kobierce, z rękami na

piersiach założonemi, w postawie prawie męskiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini.

Była tak podobną do Mieszka, iżby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była — nie inną; ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą.

Ubrana w suknie krasne, z wianuszkiem na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzucały — oczyma bystremi od wnijścia zaraz ciekawie zmierzyła Własta...

Stara sama do kolan jej przypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała, co Włast dopełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwunastoletniej niewoli jego, skarżąc się, że ona tak go znękała i wysuszyła.

Kniehini stała długo milcząca — patrzała, i nierychło dopiero głosem męskim rzuciła pytanie, czy go Niemcy męczyli?

— Miłościwa kniehini — odpowiedział Włast — żadna niewola rozkoszą nie jest; lecz i między nimi są ludzie litościwi.

Górka potrząsnęła głową.

— Daleko was pędzili? — zapytała.

Włast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie zna zimy, i w której cuda prawie widzieć można, tak piękną jest i ludną.

Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach — żywo zajmować zaczęło kniehinię i pytała już, a przysłuchiwała się bacznie.

Opowiadanie, którego Srokicha słuchała też bardzo chciwie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzu nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła, co z Własem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry... otworzył drzwi i przypadłszy do niej, bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i rychocząc, że ją mógł widzieć.

Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu

i uśmiechnęła się, nie jak bratu, ale jak słudze, pytając, kędy bywał i z czem powracał.

— Miłościwa kniehini — bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jej w oczy — byłem daleko; wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spaliłem, niewolnikam nabrał, bydła i koni, i bab i dzieci... a to dla ciebie, kniehini — bo ja o was nigdy nie zapominam... wybrałem co najlepszego.

To mówiąc, wskazał jej, aby nastawiła ręce... Górka podniosła nieco połę sukni... a Sydbór począł wyjmować z zanadrza, i sypać, śmiejąc się na nastawioną połę, pierścienie, kolce złote i ozdoby kobiece. Przy jednym z kolców trzymała się część ucha oderwanego z nim razem, ale nikt nie spojrzał na to.

Sydbór śmiał się, chwaląc łupem; kniehini zdawała też nim cieszyć, lecz dziękowała bratu bez wielkiego zapału. Po chwili wszystką tę zdobycz oddała do schowania starej Srokisze, a wojak począł opowiadać, jak palił i zabijał.

Właśt stał jeszcze, lecz nie miał już co tu robić, — nikt nań nie patrzał; pokłoniwszy się więc, dał znak starej, ażeby go wypuściła.

Wyszła ona za nim — a w komorze kniehini słychać już było tylko dzikie śmiechy Sydbóra.

Wypuszczając dziecko swe, stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. W istocie ona to go więcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszedłszy ze dworu kniehini, Właśt, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca, niemiłosiernie skrępowanego, — choć nie wiedział, gdzie go miał szukać, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Zwolna obchodząc jeńców, Właśt się przybliżył do starca tak, że oczy jego błądzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały.

Poznał go, prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru panującego dokoła, łatwo do siebie przemówić mogli.

— Ojcze Gabrjelu — rzekł Włast. — Jakżeście się tu dostali?

— Ojcze Matja — odparł niewyraźnie starzec — skąd wy tu?

— Jam powrócił — musiałem.

— Jam schwycony, jam w niewoli — mówił starzec, — wola Pańska... gotowem na męczeństwo. Patrzałem na kościołek mój splugawiony, na świętokradztwo... o Boże! los własny mnie nie obchodzi!

— Ale mnie on na sercu leży, ojcze Gabrjelu! — i jeśli potrafię, ja was uwolnić muszę.

— Poco? — zapytał stary. — Kościół mój spłonął i obalił się, owieczki rozbite... pasterz niepotrzebny.

I głowę na piersi pochylił.

— Ojcze Gabrjelu, bądźcie dobrej myśli! Idę prosić za wami.

— Proście za sobą Ojca miłosierdzia, — odezwał się staruszek, — aby wam dał wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką staruszek zrobił krzyżyk.

Nie miał już tu Włast co więcej czynić; wysunął się więc co najrychlej i śpieszył nazad do dworca książęcego. Lecz tu docisnąć się teraz ani pomyśleć było można. Jakieś kneziątko Obodrytów, z gromadą Lutyków przybyło właśnie, i do Mieszka wpuszczone zostało.

Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało się niespodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi ze Stogniewem razem, dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze rozumiał.

Mieszko, baczny we wszystkiem, kazał rozbadać, czy między jeńcami niema rzemieślników, szczególniej płatnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzić umieli.

Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród

Niemców obchodził. Prosił więc, uniżając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco, kneź skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stogniewowi, aby starca Własowi dano.

Podziękowawszy za tę łaskę, szedł weselszy już spełnić dane rozkazy.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Własz, który sam liche miał pomieszczenie w izdebce ciasnej i ciemnej bez okna, gdzie tylko posłanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabrjela, sam wybierając się do Srokichy, aby dlań dostał posiłek jaki, którymby wycieńczonego mógł pokrzepić. Ciepła noc letnia dozwalała jemu u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan, jak posłuszne dziecię, poszedł za swym oswobodzicielem, czyniąc, co mu było rozkazano. Własz sam go nakarmił, ułożył, poobwiązywał rany od sznurów, i okrywszy na noc, ucałowawszy ręce starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

VII.

Upłynęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Własz spędził na dworze książęcym. Nie zmieniło się nic.

Kilka razy prosił, aby go kneź do Krasnejgóry do ojca raczył dopuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia. Razem z oswobodzonym ojcem Gabrjelem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnując się i karmiąc z pomocą starej Srokichy, niebardzo chętnej dla Niemca, Własz pozostać musiał w pośród nieprzyjaznego dosyć dworu. Patrzano nań zawsze niechętnie.

Kilka razy w wolniejszych godzinach kneź kazał go pozywać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza, a jego siły. Własz ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku, jeśli nie nawracania knezia, to przynaj-

mniej do oswajania go z chrześcijaństwem i jego potęgą.

W ciągu tych dni kneź posyłał i pytał niecierpliwie o Dobrosława, wyprawionego do Pragi; przychodziły mu nawet na myśl posądzenia, iż mógł go zdradzić i nie chcieć powracać, gdy jednego rana zjawił się pożądany poseł.

A chociaż dnia tego znowu wyprawiono na Pomorze ludzi, których Sydbór wiódł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów, Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

— Mów — rzekł — mów mi wszystko, co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, pałające ogniem niespokojnym, nagliły Dobrosława do jak najśpieszniejszej odpowiedzi. A człek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przynieść wiadomości, był powolny, rozmyślny i ważący mowę swą, a wyraz każdy, niepewny siebie, jeśli niebojaźliwy, to do zbytku rozważny. Zbierał więc myśli, gdy Mieszko, posądzający go, że się ociągał tak, bo nic mu dobrego nie przynosił, płonął już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się nastręczyła, była, że Bolesław, teraz gorliwy chrześcijanin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopełk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli.

— Niegodzieneś siąść przy mnie... ze psami usiądź i jedz na ziemi...

Dobrosław, spostrzegłszy ognistą twarz pana, strwożył się wielce.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi powiedzieć, jako umiem, to, com widział i co słyszałem. Złego nie przynoszę nic! — ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława...

Twarz Mieszka się rozchmurzyła, odetchnął.

— Straszny ż ten Bolko Luty, ten zwierz okrutny?... — zapytał.

Minęły te czasy, gdy Bolko był tak okrutnym —

mówił Dobrosław. — Ze śmiercią i ucieczką Drahomiry zmieniło się wszystko. Bolesław zestarzał, osłabł... pokutuje dobrowolnie za przelaną krew... on i jego dzieci... Strachkwas, ten syn, co się narodził w dzień zabicia Wacesława, jest duchownym chrześcijańskim; Młada, córka jego, zamknięta w klasztorze u św. Jerzego... zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

— Co uczynił z bratem — rzekł kneź — wiedział dlaczego... państwo podzielone być nie mogło. Ale mógł mu kazać oczy wyłupić, niechby żył... A że książątek nieposłusznych nabił dużo... dobrze uczynił — dodał— inaczejby nie panował i nie obronił się. Srogi jest, ale rozumny... przebiegły...

Dobrosław milczał.

— Mów, silny on jest? — zapytał.

— Siły jego nie znam, lecz wiem to — począł Dobrosław — iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzymierzeńca... i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

— Rozumny jest i ja szanuję go — odezwał się Mieszko — i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać a powiedzieć: bądźmy jako dwaj bracia.... a nie zapotrzebujemy cesarza ani Niemców, ni ty ni ja... i będziemy silniejsi od nich... Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu...

Zamilkł chwilę i cicho mruknął do siebie:

— Potem, gdy bezpieczni będziemy od Ugrów i Niemca, zobaczymy, między nami, komu dane ma być panowanie... Ziemie nasze ciągną się szeroko... a to, co nam wydarł cesarz, odbierzemy... Co on mówi? — spytał Mieszko — co myśli o mnie?

— Miłościwy panie — odparł Dobrosław — kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Milczącym jak Sierdzistym... nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa... rzekł mi tylko: Zechce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce, bym go

czcił, jak brata, uczynię to... zapragnie, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakobym nie wiedział, kto jest...

Kneziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił twe poselstwo — rzekł,—a powiedzie się-li podróż moja, do której wnet gotować się każę, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się na tem badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz pierwszy na dworze praskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; Mieszko pytał o nie i o wszystko, co zasłyszał... o krwawe przygody rodu, dziś pokutującego za krew przelaną, o stolicę, gród, o kraj, czyli ochrzczony był cały, jak lud nową wiarę przyjmował, i jak go do porzucenia dawniej skłonić umiano?

Wreszcie, dopytując o cały ród Wratysławiczów, Mieszko jął badać, czy dziewki kneziowskie poślubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jął tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich poświęciła swe życie Bogu, a takie dziewice zamąż nie wychodzą; druga zaś, Dubrawka, dojrzała już, wolną była.

— Widziałeś Dubrawkę tę? — zapytał kneź ciekawie.

— Obyczaj chrześcijański nie zakazuje niewiastom pokazywać się i zamykać ich nie zmusza; przychodzą one i obcują wraz z mężczyznami... Na dworze więc Bolka Lutego — mówił Dobrosław — widziałem Dubrawkę. Dziewica urodziwa, dorosła i dojrzała, wesoła i śmiała, jak na kniehinię przystało... Śpiew i pląsy lubi... odwagę ma męską prawie, a rozum też jak niewiele niewiast miewa...

Zamilkł Mieszko zamyślony, lecz nie odpuścił jeszcze Dobrosława; po chwili pytał znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam przystało jechać i okazać się, skromnie, czy pańsko?

Wielkiego pocztu z sobą prowadzić przez Łużyce i czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradać dla knezia nie przystało. Dobrosław radził w kilkadziesiąt koni wyruszyć i obiecał tak prowadzić la-

sami, wymijając gródki łużyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Weltawy, iż niepostrzeżeni prawie do Pragi samej przybyć mogli, jakby na łowy się wybrawszy.

Nie chciał też Mięszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży; ani zresztą było we zwyczaju oznajmywać o tem.

Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświeższe szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary. Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosław i Włast, dlatego, że oba chrześcijanami byli i za tłumaczów służyć mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono, dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali.

Włast, przypomniawszy starego ojca Gabrjela, którego chciał uwolnić, odważył się prosić, by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał, aby widocznym był i dał odgadywać drogę, którą się udać mieli... Włast zaś miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcijan się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich nareszcie odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano, wyszli więc za wały, w pole, nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się wstrzymać, by z radości nie uściskał Własta.

— Rozradowane jest serce moje! — zawołał w uniesieniu. — Stało się, o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka... a rozumny pan, ujrzy, że nic mu nie pozostało, ino przyjąć tę wiarę, bez której my ocaleni być nie możemy. Z nią do nas przyjdzie wszystko, i ziemia nasza zakwitnie, — a Niemcom odjęty będzie pozór prześladowania... Jeśli się nie mylę, Mieszko chce być chrześcijaninem, ale się lęka...

— On? a kogoż lub czegożby się miał trwożyć?... — zapytał Włast.

— Dwanaście lat nie byliście z nami — począł Dobrosław, — nie znacie, co się u nas dzieje... Starą wiarę, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urósł, — niełatwo wytępić... Policzmy, ilu nas tu jest chrześcijan a ilu nieprzyjaciół?... W chwili, gdy pan nasz przyjmie chrzest, wszystko, co mu dziś służy, obróci się przeciwko niemu.

— Lecz siłę ma! — rzekł Włast.

— I tak siła stanie po stronie ludu... Mruczą już teraz i odgrażają się... Patrzą na nas groźnie, choć tylko posądzają...

— Nie przetoż — rzekł Włast — ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać... Bóg pomoże.

— Tak — dokończył Dobrosław. — Ale krwi wiele się przeleje... I westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował na to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koń siadł, aby jechać do Krasnejgóry, skąd nocą mu powrócić było potrzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znaną, a oddalenie niewielkie; sam jeden więc, konia wziąwszy, puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca.

Więcej niż on sam koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł ten sam spokój, jaki zostawił; wybiegła przeciw niemu Hoża, szczebiotaniem go witając, ukazała się z za węgła z nieodstępną kądzielą stara prządka, twarzą dosyć pochmurną zwracając się do wnuka, naostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem, i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że kneź Właста puścił do domu.

Syn skłonił się ojcu do nóg i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książęca musiała się spełnić. Jar-

mierzowi kazano wydać, co Włast potrzebował, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko, co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który musiał opowiadać o dworze, co widział tam i słyszał.

Stara Dobrogniewa, milcząc, przysłuchiwała się także, ale z twarzą posępną. Wolałaby była mieć na oku wnuka, zwłaszcza, że podejrzenia jej co do chrześcijaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Właśta stara potajemnie rozwiązała zostawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampułki, wyszywane przybory do odprawiania mszy św. służące, co wszystko za czarodziejskie jakieś narzędzia chrześcijańskich wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Tak ona jak i Luboń nie widzieli innego ratunku, tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę.

Gdy oprócz innych rzeczy Włast i swojego zostawionego węzełka zażądał, stara wydała go wprawdzie, ale zasępiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprowadzono innego konia i Jarmierz pilno się krzątał około wyprawy syna pańskiego.

Luboń napróżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie zdziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia naprzód oznajmywać o sobie. Stary ojciec tem się pocieszał, że wyprawa musiała mieć wojenny cel i że syn się zaprawi do oręża.

Ściemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i Włast na koniu objuczonym, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył.

W pierwszej swej jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz, choć drogę mu rozpowiedziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, niebardzo jednak sobie umiał poradzić. Dróg wielkich nie było, gdzie niegdzie lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. Puścił się więc, kierując mniej

więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdało, leżeć musiał.

Niecierpliwie zwracając się różnie podług swej myśli, wkońcu się zupełnie zbłąkał. Noc była nadeszła gwiaździsta, pogodna, ale ciemna; koń, instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy, by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włast, gdy dostrzegł cień idącego człowieka, nieopodal się przesuwający. Ozwał się doń, nawołując. Człek stanął.

Zbliżywszy się, ujrzał zbłąkany starca o kiju. Zawołał nań, o drogę do grodu pytając.

Przypatrzywszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek, dodając:

— I ja tam idę. Z boru się prędko wydostaniemy, a za borem widać gród, — traficie doń sami.

Na zapytanie, skądby jechał, odparł Włast, że z Krasnejgóry; nie znając drogi, zbłąkał się, a do grodu było mu pilno.

— Wyście tu obcy? — spytał stary, idąc powoli koło konia.

— Obcy nie jestem — rzekł Włast, — alem tu nie bywał dawno.

— Wojowaliście?

— Nie — odparł spytany — w niewoli byłem u Niemców.

— Psie syny — mruknął stary. — Wszystkich nas oni pobiorą i wprzęgną do pługa... pobrali już braci naszych nad Łabą i nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje... Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali... starszyzna nas sprzedała... ale przyjdzie czas i na starszyznę i na nich... Dosyć my się łez napili, — drudzy krew pić będą musieli...

Umilkł chwilę stary, ale, idąc, mruczał, jakby przeklinał, a że Włast mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce.

Z tych słów mógł się przekonać Włast, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, zobaczył już zdala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

— Jedźcie — odezwał się stary, — wam pilno... ja pójdę pieszo powoli... ze starym się wlec młodemu nudno...

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę, wiodącą do grodu. Właśt konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała.

Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uśpionego zamku i zabrawszy sakwy swoje, a postawiwszy konia, pośpieszył do ojca Gabrjela.

VIII.

Piękny był wieczór kończącego się lata, poza którem już nieco nadchodzącą jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noce zaczynały być orzeźwiające i chłodne, drzewa wprzód powarzone upałami, zdawały się odżywać na nowo.

W blaskach południowych, w świeżej tej zieleni drzew zwieszonych konarami nad Wełtawą, jakgdyby wody jej pić chciały, cudnie wydawała się okolica Pragi, ze wzgórzem Hradczyna, którego sterczące wysoko mury widać było zdala.

Gromadka, z kilkudziesięciu złożona zbrojnych ludzi i dostatnio poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie. Miasto już stąd widać było.

Podróżni przybyli z dalekiego znać kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierzchowców, aby się po męczącej wyprostować jeździe.

Wybrano na to ustronny, cienisty kąt nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogły.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie, co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie ladajako się pokazać u obcych. Tymczasem gromadka wojaków

wesoło się rozpierzchła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten, stojący chwilowo obozem pod Pragą, należał do Mieszka, Ziemomysłowego syna.

Widać było w pośród niego Dobrosława Wiotkiego, Własta, syna Lubonia, i starego jeńca, ojca Gabrjela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział, dokąd jadą i poco. Domyślał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnę się wyprawili.

Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomemi, napozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstemi przedzierali się podróżni, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi.

Na czeską ziemię wszedłszy, już śmielej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce... Bolko Luty wiedział o odwiedzinach Mieszka i rad mu był bardzo; różne rachuby wiązały się z tem zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą. Polański pan i czeski — oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególniej, który potężniejszym się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem podległym sobie uczynić potrafi.

Zwycięstwo odniesione nad Ugrami wbijało Bolka w dumę, a czasowa podległość cesarstwu nie upokarzała: mógł się on z niej wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław wyrozumiał dobrze, iż tu zdrady nie knują, bo z niejby nie mieli korzyści.

Mieszko jechał, w głowie coś obmyślając, przez całą podróż zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę, potem Dobrosława badał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością chciwą, czasem z trwogą prawie.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden, poganin, nie kłaniał się jeszcze. Gdzie niegdzie spotykali po drodze ślady świe-

żego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte, obalone ołtarze stare; u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane, ściany rozwalonych kontyn, zielskiem porosłe, wśród których sterczały już znaki nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego mu się świętokradztwem, Mieszkowi twarz płonęła gniewem, niedowierzająco spoglądał na spokój, który te miejsca otaczał, dziwiąc się, iż starzy bogowie krzywdy swej nie mścili. Mimowolnie rodziła się wątpliwość o ich sile? Każdy krzyż obawą go napełniał. Spoglądał nań z zabobonną trwogą, azali nie pozna on w nim obcego i wroga. Z temi niepokojącemi wrażeniami w duszy Mieszko przybył aż pod Bolesławową Pragę!

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego, dodawał mu ducha, ręczył i zapewniał o gościnnem przyjęciu. Kneź słuchał i milczał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate ubranie i płaszcz czerwony, złotem szyty, który miał wdziać na siebie. Włast podawał kołpak, drugi miecz przypasywał, gdy zdala nadbiegł Stogniew z twarzą dziwnie rozpromienioną i wesołą.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Zanim na hrad pana Bolesławowy przybędziemy, zaprawdę warto się przyjrzeć tutejszym niewiastom — ja się im już niepostrzeżony przypatrywałem! Krasne stworzenia! Muszą być chyba z pańskiego dworu, bo pięknie strojne, wyglądają jak królewny.

To mówiąc, na zarośla ukazywał.

A chociaż mówili dosyć cicho, komornicy pańscy coś o dziewczętach posłyszeć musieli i kilku z nich zaraz biec poczęło w stronę ukazaną; — ale Stogniew pogroził im, wstrzymał i cofnął, aby nie spłoszyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się śpiesznie i począł iść za Stogniewem, który go poprzedzał, na Dobrosława skinąwszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką, na której odpoczywali, gaj się w tej stronie poczynał podszyty, i gęstwiną można się było podkraść do miejsca, ku któremu Stogniew prowadził. Do-

koła osłaniały kawał zielonej murawy u brzega stare drzewa z pospuszczanemi wdół gałęźmi.

Cicho było i chłodno w tej ustroni od oczów ludzkich zakrytej, a Wełtawa, mrucząc, myła zwieszone nad nią trawy i kwiaty. Na falach jej, tuż u brzegu kołysało się kilka czółen okrytych suknami, z tych właśnie reszta gromadki postrojonych, kraśnych dziewcząt wysiadała, poskakując, wiosła rzuciwszy na nie.

Dziewczęta wszystkie prawie jednako były poubierane, w wianuszkach dziewiczych na głowach, z kosami w krasne wstęgi wplecionemi, w białych cienkich gzłach, szytych wzorzysto i malowanych zapaskach. Niektóre z nich były bose, inne stąpały w chodaczkach wyszywanych z czerwonemi około nóg pooplatanemi sznurkami. Biegały po łączce, jakby sposobiąc się do jakiejś zabawy.

Śmieszki rozlegały się wesołe, ale tłumione jakby poszanowaniem i trwogą, którego pobudkę odgadnąć było łatwo.

Wśród tego wieńca dziewcząt, od lat piętnastu do ośmnastu, dobranych jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewica, w której po stroju i twarzy poznać było można panią.

Wzrostem bujnym o głowę całą przechodziła towarzyszki swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianka i kos znać w niej było dziewicę — niedopiero rozkwitłą, ale w pełnym młodości kwiecie. Starszą była znacznie od swych towarzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę nad niemi.

Na twarzy jej nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo, ale razem z niem swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jej na wdzięku niewieścim w ruchach zręcznych, ale męska śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę — panią, niełatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one wszystkie sługami były, — i Mieszko, ujrzawszy ją, wlepił oczy ciekawie, oderwać ich nie mogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czemś

czarodziejskiem, wyższem i doskonalszem nad to, co widywał w życiu.

Dziewica wyznaczała dziewczętom miejsca na łące, stawiła kołem przy sobie, kazała się brać za ręce i plasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosnka rzewna jakaś, a napół wesoła, dziewczęta w takt jej się poruszyły i, śpiewając, poczęły pląs, obracając się około pani.

Ona, stojąc w pośrodku ich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucąc zcicha, pochylając głową, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pieśni.

Widok tej zabawy dziewiczej poruszył knezia i zajął niewymownie; oczy mu zabłysły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach wpatrzył się tak, że zapomniał o wszystkiem, co go otaczało i czekało, gdy Dobrosław, zlekka go potrąciwszy, szepnął mu do ucha:

— Kniehini Dubrawka!

Była to w istocie córka Bolesławowa, jedyna po wnijściu Mładej do klasztoru. Dubrawka, która, dotąd nie znalazłszy sobie małżonka i nie szukając go, pędziła przy ojcu życie swobodne, niebardzo o przyszłość się troszcząc.

Takiej niewiasty mężnej i silnej wśród ówczesnych pokornych i bojaźliwych, — bo ją do tego z dzieciństwa wdrażano, — Mieszko nawet nie marzył. Znał je trwożliwemi tylko, zuchwałemi w gniewie, a rozpływającemi się we łzy na skinienie, płochemi i płochliwemi. Ta niewiasta, jakby stworzona dla wojaka, zachwyciła go.

Zapomniawszy się, czy umyślnie, Mieszko gąszcz, która go zakrywała, przebił i stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tej królewnie i pięknym jej towarzyszkom.

Lecz zaledwie się ukazał, kilka dziewcząt spostrzegło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakoby czarem z ziemi wyrosłą — i pieśń zmieniła się w okrzyk przestrachu. Zakrywając

oczy, rzuciły się strwożone i pobiegły do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka nie ulękła się, choć nie wiedziała jeszcze, co ten strach wzbudziło i odwróciła się śmiało a groźno, spoglądając w stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił i ją zapewne człowiek nieznany, który śmiał tak podejść na zabawie i podpatrzeć. Z brwią namarszczoną spojrzała groźno na Mieszka, który stał, uśmiechając się.

Groźna twarz dziewicy wcale go nie przeraziła; dopiero, wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na szyi wiszący krzyżyk, — pochmurniał. Znak ten spotykał wszędzie, — nawet... na tej pięknej kniehini.

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem zawołała Dubrawka.

— Piękna kniehini — rzekł, ośmielając się, Mieszko — jestem wojak podróżny... szukam służby do wojny, może wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzyła nań długo, z dźwięku mowy do czeskiej podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, skądby ten przybysz pochodził? Suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieku, płaszcz na sobie miał księżęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jej uśmiechać usta.

— Hej! — rzekła, biorąc się w boki. — Nie proście wy się na służbę do mnie, — służba ciężka, spokoju nigdy niema, nie wydołalibyście u mnie! Wojaków moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzkami naprawiam. Niezdrowo służyć u mnie.

— Jednak mi jakoś nie strach tej grozy — odparł swobodnie, przybliżając się ku niej Mieszko, — a cóż wy sługom płacicie, piękna pani?

— Ho! różnie! — poczęła wesoło Dubrawka. — Czasem kijami, czasem rózgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Jabym was też do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom sługiwać! A no, choć nie mój sługa, ukaraniaście godni: kto wam się tu wkraść pozwolił? Radzę wam, uchodźcie, bo

moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina!

Mieszko rozśmiał się głośno.

— A no, piękna kniehini — wydawajcie do wojny rozkazy! Kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na was pierwszą uderzę.

Słysząc to wyzywanie, dziewczęta nawpół w czółnach pochowane, ośmielone żartobliwą rozmową, poczynały głośno śmiać się i chichotać. Niektóre groźnie wiosła podniosły.

— Jam tu też może nie sam i nie bez obrony — dodał Mieszko, — a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały; patrzała na nieznajomego z coraz większem zajęciem.

— Wieluż tam was jest na wojsko moje? Macie tam choć ze dwie sotnie? — odezwała się, śmiejąc.

Wtem wiszący na sznurku rożek wzięła w ręce i pokazała go kneziowi.

— W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obronę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradczynowi.

— No, to zawrzyjmy pokój ze sobą, piękna kniehini — odezwał się Mieszko. — Dajcie mi jeno okup, choćby wianuszek wasz, — to was puszczę całą.

— Kto? ja? wam? okup? Wianuszka się wam zachciało? Chyba wy mi się wykupicie, gdy wam życie daruję.

— No, zgoda, — okup! przyjmiecie okup ode mnie? — zapytał kneź.

Milcząc, popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła, kto był; uśmiechała mu się bez gniewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z domu wiózł, żeby go komu dał, jako zapłatę lub podarek. Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty... Nie mówiąc nic, zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini, spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno,

ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć lub odtrącić. Milczała.

— Chcieliście ode mnie okupu — rzekł Mieszko, — oto go macie; niewielki on jest, ale i wina niestraszna.

To mówiąc, zbliżył się o krok jeszcze do kniehini i gdy się najmniej spodziewała, w twarz ją zuchwale pocałował... Właśnie w tej chwili, jakby na próbę przez ciekawość, pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem Dubrawka popchnęła knezia od siebie tak silnie, że Mieszko się zachwiał, i pierścień zostawując w jej rękach, natychmiast w gąszcz uszedł, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim śpieszyli do koni.

Stały one już w gotowości na łące i na dany znak wszyscy powsiadali na nie! Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku... Dobrosław samoszóst jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneź z nad granicy. Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradczynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokaźną czeladź, a Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka puściła się w pogoń za uciekającym nieznajomym, i z gąszczy miała czas przypatrzyć się Mieszkowi, gdy na koń siadał z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydziła się i zachowała pierścień na palcu, nie wątpiąc, że ktobykolwiek był ów nieznajomy, musi się zjawić na zamku, nie gdzie indziej, jak tam zmierzając. Zgadnąć, ktoby to był, trudno jej było; jednakże z rysów twarzy szlachetnych, z butnej postawy, z wielkiej śmiałości człowieka domyślała się kniehini równego sobie stanu jakiegoś pogranicznego pana.

Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo, spoglądając za odjeżdżającymi, aż dopóki jej z oczów nie znikli. Kierunek, w którym odjechali, upewnił ją, że do Pragi dążyli.

Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czółna siadły i Dubrawka z niemi popłynęła do stóp wzgórza, na którym Hradczyn się wznosił.

Zwolna, drapiąc się po przykrej i stromej drodze na górę, orszak Mieszków zbliżał się ku wałom, opasującym gród Bolesława.

Zdala już widać było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z zachodu. Kamienne ściany otaczały dokoła warownię, ponad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał na kościele św. Wita krzyż wielki, którego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Wlepiwszy weń oczy, jechał Mieszko; — nie trwożyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie, co żyło podlegało. Krzyż ten stał już nad polańską granicą; — uznać tego Boga poganinowi zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecący na niebiosach ostatniemi zachodzącego słońca promieniami.

Dobrosław, pośpieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradczynie, opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława poprowadził go do knezia.

Spoczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociężały był i już osłabły wiekiem.

Twarz jego nasępiona, blada, od zmarszczek poorana, oczy pod nawisłemi brwiami, niespokojnie biegające, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnem,

choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet kazał podać sobie suknię wierzchnią bogatą, kołpak książęcy, przypasał miecz i ująwszy w dłoń laskę, zawołał na dwór, komorników i na starszyznę, by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na koniu jadący Mieszko. Ujrzawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci, co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc, by do niej był zdolny.

Dumny kneź stał się na widok Bolesława niemal pokornym, z uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kołpak zdejmując.

— Sąsiad do sąsiada, pobratym do pobratymca!— rzekł. — Przybywam do was, miłościwy panie, z braterstwem i pokojem.

— A ja wam, jako bratu, rad jestem! — zawołał Bolko, obejmując go za szyję.

W tej chwili, podczas tego uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniał brata Wacława i kneź sam drgnął, przypomniawszy dzień Kuźmy i Damjana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

— Dziecko to moje, bądźcie mu też druhem — ozwał się głosem cichym.

Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wziąwszy, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi, nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim.

Inaczej też wyglądały budowy na Hradczynie, niż

u Polan na ich grodach. Tu już prawie zupełnie stare owe rzezane i kraszone słupy misterne, ozdoby z drzewa i ciesielska robota, wedle starego Słowian obyczaju — znikły. Kamień je zastępował i tylko stropy ozdobne z drzewa przypominały dawniejsze czasy. Gruby mur z ciasnemi oknami otaczał izby niewesołe, ciemne, prawie więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, rynsztunków różnych, a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów.

Ściany gdzie niegdzie osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce. Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowańcem był syn jego, starało się o to, aby nawróceni mieli ciągle na oczach obrazy, przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze straszliwym realizmem wyrzeźbionego wyraziście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Bizancjum dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyślać, równie go niespokojnym czyniły, jak ów krzyż, który ujrzał w obłokach nad Hradczynem. Na pamięć przychodziły cuda, o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroniu, we wgłębieniu muru, z którego wychodziło okno ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte wezgłowiami bogatemi, jakby dla ustronnej rozmowy przeznaczone się zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolicę, która u stóp jego się rozciągała.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tem. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie

— Za późno — rzekł — przychodzisz do mnie. Bolko już nie ten, co był. Patrz, czoło mi się zmarszczyło,

dłoń drży, oczy światła mało widzą, głos osłabł. Do grobu idę, o śmierci myślę.

— Będziecie długo żyli i panowali — odrzekł Mieszko. — Macie spokój w domu i siłę, syna, który wam stoi u boku i sprzymierzeńców potężnych.

Bolko ręką rzucił.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się zmieniają — mruknął. — A czemuż wy ich tam, gdzie ja nie szukacie?

Mieszko spojrzał bystro, ale nic nie odpowiedział.

— Niemców nam nie pożyć — dodał stary.—Trzeba mir z nimi robić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie, co trzeba.

Mieszko zadumał się.

— Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie waszych wojaków i siłę... zmusić trzeba...

Nic nie odpowiedział Mieszko i Bolesław, popatrzywszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu.

Zkolei polański pan rozmowę począł.

— Miłościwy panie — rzekł — nie darmom przybył do was; jeden u nas język, jedna krew, chcemy Niemca pożyć, — dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

— Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? — odezwał się.

— Wszakci Niemce się nieraz z Wilkami, Obodryty i Lutykami łączyli, choć ci poganami byli jeszcze— rzekł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno! — westchnął kneź.— Siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Bizancjum, niewiele już znaczy. Uczyńmy przymierze, Mieszku, uczyńmy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obudzić chciał.

— Myślcie ino o tem, wszystko za tem pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nade dworem po kneziu miał pierwszą władzę, sta-

rzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł z pokłonem, oznajmując, że chleb i sól czekały. Wieczerza już oddawna była gotową, a kneź wydał rozkazy i polecił, aby wspaniałą była...

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec stołowy ściągnięto do wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich, ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pachołkowie, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwu kneziów zgotowane były przy osobnym stole dwa obok siedzenia, ponsowem suknem okryte.

Tu Bolko powiódł, po umyciu rąk, gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed nimi.

U drugiego też stołu za ojcem siadł młody Bolesław, za nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za nimi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libic i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych.

U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszków i starszyznę jego.

Gdy u Słowian, w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzonym był i przedniejsze niewiasty a panie, wespół z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonem było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła skromna gromadka niewiast, wśród których Mieszko znalazł tę, której szukał.

Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o dawnem spotkaniu nad Wełtawą; udał, jakby ją pierwszy raz zobaczył. Kniehini mniej trwożliwa, uśmiechała się, patrząc na gościa i mierząc go śmiałemi oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły. Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli kneź i Dubrawka, gdyż stary Bolko zajmował się gościem mocno. Miód i wino podawano obficie, pić było potrzeba, a starzec po pierwszym kubku, rozgrzany poweselał widocznie. Cicho się plotła rozmowa otwarta i raźna a rubaszna, obyczajem wieku.

Bolko spytał gościa o żonę.

Zmilczał zagadnięty.

— Mnie już wszystkie razem, ile ich jest, niewiasty zobojętniały — rzekł. — Patrzę na nie, jak kozioł na wodę, gdy się napije.

Mieszko w tej chwili spoglądał na Dubrawkę, która mu się bardzo jawnie wdzięczyła.

— Wam się ożenić potrzeba z chrześcijanką — dodał Bolko — najlepiej ona i wiary nauczy i zachęci do niej.

Mieszko spojrzał w oczy staremu, trzymali kubki w ręku. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem.

— Dajcie mi córkę! — odezwał się Mieszko, śmiejąc się. — Wezmę ją!

Zmarszczył się trochę stary.

— Nie radbym ją dać mimo jej woli, a gdyby chciała, któż wie? Jest tam u was ich kilka, toćby trzeba precz wygnać chyba.

— Nie będzie mi ich żal — rzekł Mieszko.

Zamilkli nieco, kneź czeski nie opierał się, Mieszko otuchy nabrał. Tymczasem kubki się napełniały i gwar podnosił wesoły.

Młodzież mówiła o łowach i wojnie, o strzelaniu i o koniach, wyzywając się i przechwalając. Czesi Polanów na próbę jutrzejszą powoływali. Stogniew ze swymi nie wzdragał się.

Biesiada przeciągała się długo, ale już o swatach mowy nie było. Rzucone słowa zdawały się zapomniane, choć i Bolko i Mieszko dumali nad niemi...

Wkońcu, gdy misy były powypróżniane, a niewiasty znikły niepostrzeżone, po ostatnich kubkach stary Bolko kazał synowi gościa do przeznaczonych mu izb odprowadzić.

IX.

Niczem było przyjęcie dnia pierwszego obok tego, co nazajutrz zgotowanem było. Trzeciego rana Mieszko nazad się wybierał, stary więc kneź niewiele miał czasu na pochwalenie się ze swem bogactwem, mocą i gościnnością. Gościowi też niewiele godzin zostawało, by zamiar powzięty doprowadził do skutku.

Myśl zaślubienia Dubrawki, z którą z domu wyjechał, musiała być porzuconą, albo stanowczo objawioną. Dobrosław więc stanowczo został wysłany z prośbą o rękę kniehini.

Przeczuwał ją, albo raczej wiedział o niej zawczasu Bolesław, ale zbył posła, odraczając do jutra.

Jak świt powołał kneź do siebie ojca duchownego, świątobliwego kapłana Prokopa. Nie zajmował on żadnego widocznego i wyższego w hierarchji duchownej stanowiska, bo go nie pragnął. Apostołował, modlił się i wiódł życie ascety, zamknięty w ciasnej celce na zamku. Resztki dawnej wiary po całych jeszcze Czechach, pod rozmaitemi postaciami się kryjące, trzebił niezmordowany kapłan, nauczał, nawracał, gromił, a miał tę apostolską odwagę, iż potędze ziemskiej z prawdą wiekuistą odważnie stawał w oczy.

Sam Bolko, któremu nieraz inni ulegali duchowni, a któremu ks. Prokop śmiało nieraz mówił prawdę, musiał go szanować i upokarzać się przed nim. Grubą suknią z prostego sukna odziany, w obuwiu wieśniaczem, z twarzą wychudłą i ogorzałą, z głową przedwcześnie osiwioną i wypełzłą, bosy mąż stanął przed starym księciem ze spokojem ducha, który go nigdy nie opuszczał.

— Ojcze mój — odezwał się kneź żywo — rady twej potrzebuję.

Starzec skłonił głowę w milczeniu, mówił zwykle mało.

— Wiecie, kogo mam gościem?

— Poganina upartego i żyjącego w grzechu.

— Tak jest... azaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił...

— Dałby to miłościwy Bóg! — zawołał Prokop, ręce podnosząc do góry, i oczy wlepił w starca.

— Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę...

— Ze chrztem razem... — dodał ksiądz.

— Nie odmawia go on... lecz z pogany swemi musi się wprzódy zabezpieczyć... Mam mu ją dać?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegożbyście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu już jednego syna i córkę... dajcie drugą, a przebłagacie gniew i pomstę Bożą...

— Dziecka nie chciałbym zmuszać — odezwał się kneź, — jedno mi pozostało! jedno tylko!... Idźcie, ojcze mój, przygotujcie ją, ośmielcie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast.

Kneź pozostał sam, siedząc w oknie sypialni. Stąd widok był na obszerny podwórzec, na którym już uganiała z oszczepami się młodzież, wśród której Bolko i Mieszko też się zabawiali.

I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło od wyjścia ks. Prokopa, gdy drzwi się otworzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstęgach, łańcuchach i kolcach, z twarzą rozpromienioną, weszła do izby ojcowskiej; przypadając do starego ręki, która się ku niej wyciągnęła.

Zdziwił się, widząc ją tak wesołą, a uląkł niemal, że Prokop chyba powiedzieć jej nie śmiał, z czem go posłał.

Kniehini, śmiejąc się, patrzała nań śmiało.

— Dubrawka — rzekł kneź, — a widzieliście Prokopa?

— Idę od niego, miłościwy ojcze i panie.

— Mówił on z wami?

— Dubrawka pokraśniała, spuszczając zrazu oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

— Mówił...

— Cóż wy na to? czy chętnie pójdziecie, niosąc krzyż między pogany.

— Chętnie... z ochotą! tak! — zawołała Dubrawka. — Czuję w tem rozkaz Boży...

— I nie masz obawy?

— O, nie! — śmiejąc się, zawołała Dubrawka, — mam odwagi dosyć. Kneź Mieszko strasznym mi się nie wydaje...

Bolko, widząc, z jaką łatwością córka wybierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem, iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł się niemal i posmutniał.

— A nie żal ci będzie Hradczyna i Pragi? — zawołał — i mnie ojca starego, i siostry, i braci?...

— O! żal, okrutny żal!... — przerwała Dubrawka. — Ale nie mówionoż nam, iż przeznaczeniem niewiasty iść za mężem?... Jam, jak Młada, nie stworzona do klasztoru... ja wolę inne życie... mnie cisza ciąży...

Mówiąc to, jakby zawstydzona, spuściła trochę oczy, ale półuśmiech krążył po jej ustach.

Podeszła do ojca, w rękę go całując; stary, milcząc, w głowę ją pocałował i westchnął.

— Idź — rzekł — niech Bóg cię błogosławi... idź... i mnie czas do gościa...

Jeszcze raz ucałowawszy rękę ojca, Dubrawka żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi.

I on także szedł w podwórze przypatrywać się zapasom młodzieży.

Dzień ten rozpoczął się od igrzysk w podwórzu, przy których Mieszko mógł się popisać z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaskano włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno.

Uznojeni i gwarząc wesoło, siedli potem wszyscy do uczty, bo obiad naówczas w rannej dawano godzinie. Znowu wtedy dwaj kneziowie siedli razem, ale we-

selszą wiedli i poufalszą rozmowę. Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu ubrana wytworniej jak wczora, z twarzą figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

— Miłościwy panie — odezwał się pocichu — gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił... cobyście rzekli...

Stary pochylił mu się do ucha.

— Weźcie ją sobie... i niech Bóg wam błogosławi... Chrzest przyjąć musicie.

— Gdy będę mógł... wierzcie mi i ufajcie, zostanę chrześcijaninem.

— Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał przystąpić wprost do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niej i odwiódł ją, lekko za rękę wziąwszy, ku oknu; wszystkich też oczy ciekawie zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydliwości niewieściej, która kniahini, wedle jej przekonań, nie przystała.

— Piękna kniahini — rzekł Mieszko — my poganie wierzymy w dolę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie was dola i los przeznaczyły za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu, chce-li mnie za syna... odesłał do waszej miłości. Cóż mam rzec... Chcecie mnie za męża?...

Dubrawka w oczy mu spojrzała, uśmiechając się.

— Choćbym was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy... Cóż mam uczynić nieszczęśliwa? wyszłabym z niesławą, gdybym przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka?... A no!... czekajcie, nie dziękujcie — dodała, widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle. — Mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że ja pojadę na gród, gdzie niewiast pełno, i że siódma czy dziesiąta siądę z niemi?...

Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcijanka, u nas obyczaj jedną żonę daje mężowi, jednego męża żonie...

— Nie będzie na grodzie nikogo, miłościwa kniahini... oprócz was a służby waszej.

— Pierw chrzest... potem wesele... — dodała Dubrawka.

Mieszko się schmurzył.

— Weźcie mnie poganinem — rzekł — i nawróćcie na wiarę waszą. Nie wzdragam się jej, przyjąć ją ślubuję, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja i wy nie nałożyli głową... Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną...

Spojrzał jej w oczy, westchnęła i, kładąc rękę na jego dłoni, odezwała się:

— Wierzę wam... i pójdę za wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko wpół ją pochwycił i w czoło pocałował.

Na widok tego zuchwalstwa cała izba zatrzęsła się oklaskami i okrzyki; Dubrawka wyrwała się i uciekła.

Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata. Podano stary miód i wesołość się wzięła taka, że nawet smutny kneź Bolko rozruszał się i oczy mu zapałały wesoło. Na całym grodzie tejże godziny wiedziano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradczynie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród tej wesołości i zajęcia nikt nie dostrzegł, co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkiem, nikt nie wiedział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstydzeni, czy strwożeni. Stogniew, najzręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał, co czuł, ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wynijść z izby, aby ochłonąć z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław, koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Obaj wybiegli niepostrzeżeni w podwórce i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stogniew, odwodząc Wojsława na stronę. — Jam jechał tu, wie-

dząc, co nas czeka... ale... wiem też, co jego czeka... — dodał, pięść ściskając.

— Gdy te Dobrosławy i Własty zaczęły nam się kręcić u dworu, czułem, co z nimi idzie... niewola niemiecka... bóg niemiecki...

Rozśmiał się Stogniew.

— Niedoczekanie ich! — rzekł. — Wracajmy... nie trzeba po sobie dać znać nic... naradzim się w drodze, a w domu wiedzieć będziem, co robić...

Wojsław i on, jak zwierz w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnem kółku kilka razy, rzucani myślami gniewnemi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce. Stogniew twarz ułożył i wrócili napowrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał.

Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął Stogniewowi, by przygotowane dary przyniesiono. Były one, bądź co bądź, przeznaczone dla Bolesława, inne na wypadek dla Dubrawki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił; szli szeregiem Mieszkowi ludzie, ze Stogniewem na czele; każdy z nich niósł naczynie, zbroję i kosztowny klejnot jakiś.

Postrzegłszy ich, kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił, prosząc, aby miłościwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem zkolei wszyscy, przyklękając i u nóg knezia składając, co który niósł.

Kołem stał dwór, na którego twarzach malowało się niemałe zdumienie. Nie wyobrażano sobie, ażeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć tyle bogactw, które tylko z zachodu zwykle przychodziły.

Kupcy zwykle od wschodu przywozili naówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane. Niektóre z nich, z wielkim kunsztem wykonane, obudzały podziwienie, inne, nieznane wcale, osobliwością swą zastanawiały. Kobierce, opony, srebrne ozdoby, bronzowe sprzęty, emalje wschodnie...

wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie, do rąk biorąc dary te, oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się powtóre i z tą tylko różnicą, że dla kniehini przyniesiono niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju, niemniej bogate i piękne.

W ten sposób uroczyście odbyły się zrękowiny wobec dworu całego, gdy ich inaczej i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczony nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z narzeczonym swym mówić mogła.

Mieszko zajęty tem, co się z nim działo, radośny z powodzenia, ledwie miał czas, zobaczywszy Dobrosława, uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroką ziemię i lasy, dla niego i potomków.

Właśt przez cały ten dzień się nie ukazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele św. Wita, prosząc ich o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto, wraz ze starym ojcem Gabrjelem, który złamany drogą legł zaraz do spoczynku.

Właśt, a raczej ojciec Matja, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał następnego poranka, w którym po tak długiem od ołtarza oddzieleniu, miał znowu niekrwawą odprawić Ofiarę.

Ojciec Prokop przyniósł mu tu, spędzającemu cały dzień przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść wielkiej radości i nadziei. Padł na kolana ojciec Matja, modlił się i płakał znowu.

Jak wprzódy już podczas podróży, tak i tu Wojsław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka

okazywała dwom chrześcijanom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich, chyba gdy to było koniecznem, odwracano się i rzucano ich samych. Dobrosław naprożno starał się zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milczący.

Gdy się wieczór wśród śpiewów i ucztowania zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżała. Zapito jeszcze zrękowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczęli.

Młody Bolko znowu przyszłego brata odprowadził do jego izby i pocałowawszy go w twarz, odszedł.

Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilku komornikami.

Teraz dopiero spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz, zamiast radości, Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

— Kniahinię mieć będziecie! — odezwał się do niego Mieszek — wielkiego rodu i możną panią... Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy obaj silniejsi byli...

Stogniew spuścił głowę.

— Nie radujecie się? — zapytał kneź.

Zamilczał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał rozkazy i odprawił. Po odejściu jego przywołano Dobrosława. Kneź, pachołków odprawiwszy, dziękować mu znowu począł.

— Miłościwy panie — rzekł przybyły cicho, — cieszę się ja, żem panu memu mógł usłużyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość.

Nie wymienił nikogo, kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był śpieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Ty i Włast, i co was jest chrześcijan, gotujcie mi drogę i pomagajcie — odezwał się cicho. — Wielki jest Bóg ich... ale niełatwo od swoich odstać i nową

odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych, co się opierać będą, zmogę... ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stanęła... Mów — dodał — mów, Dobrosławie, jako wiesz... wielu chrześcijan naliczysz w ziemiach naszych?... Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego... ale się kryli z wiarą swoją...

— Miłościwy kneziu — odezwał się Dobrosław — jest nas rozsianych po wielkiej przestrzeni niewielu... Strach niejednego odwrócił już od krzyża... Kapłanów trzeba, jak Włast, aby szli między lud i nauczali... a pilnego oka na to, aby starszyzna, wieszczkowie i gęślarze nie burzyli go... Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemużby się też u nas dokonać nie miało?...

Kneź się zadumał nieco i z tem Dobrosława odprawił, by Czechów nawróconych, jacy się znaleźć mogli, do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano konie już stały w podwórcu, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wyszła do narzeczonego i kniehini, aby mu dobre słowo dać na odjezdnem; cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzali Mieszka do granicy łużyckiej.

Tak się w drużbie i weselu z miłością wielką rozstali, i cały poczet ruszył z Hradczyna uroczyście, przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław, ani Włast nie śmieli już potem rzec słowa kneziowi, aby w podróży bacznym był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa.

Gdy ich obdarzonych odprawiono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź sam z orszakiem swoim pozostał, przypadł w lesie spoczynek dla skwaru, który tego dnia panował, i wszyscy się do snu pokładli.

Włast też, szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas

jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy wpobliżu dał się słyszeć szelest i szepty. Pomimo iż go trudno było dostrzec w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojsławem stali, potajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznąwszy ostrożnie, pochwycił wyrazy Stogniewa.

— Dziś na noclegu... czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas Niemcom zaprzedają...

— Czekajmy do domu — mówił Wojsław. — Sydbóra namówim z nami.

— Aby zdradził? — rzekł Stogniew. — Nie potrzeba nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wrażę i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem pokolei radę damy. Dobrosław go prowadził... Lubonia syn jawnym chrześcijaninem jest, widziałem go do ich kontyny idącego i obcującego z czarnymi wróżbitami.

Sprzeczali się jeszcze pocichu czas jakiś, lecz Stogniew na swem postawił i wyszli z zarośli, umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować zkolei. Stogniew miał kilku pewnych ludzi do pomocy.

Zaledwie się oddalili, Włast, zimnym potem okryty, wstał i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić. Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księciu też potrzeba było powiedzieć o tem, co się gotowało, aby obmyślił, co miał czynić.

Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę, podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko pod dębem na wysłanem suknie zasypiał bezpiecznie; budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie.

Włast poszedł krążyć zdala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą kneź spał prawie do wieczora;

szczęściem rżenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim Dobrosław i, nie tracąc chwili, rzekł mu:

— Miłościwy panie, Włast podsłuchał rozmowę: zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali...

Słysząc to, Mieszko wcale nie okazał poruszenia. kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał i wstał, ręką odprawując precz Dobrosława, słowa więcej nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać. Stogniew się zbliżył po rozkazy. Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i szykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną. Zdumiał się Dobrosław, sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się wpobliżu wraz z Włastem.

W drodze, aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad niemi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg zatrzymać się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez rzadko tu stojące drzewa widać było łąkami wdali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami jedne nad drugiemi, z pośrodka których gdzie niegdzie szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ognie rozpalić, zwierzynę w drodze ubitą piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystem miejscu posłanie sobie przygotować kazał, głośno zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześnie wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław, z niepokojem przypatrujący się Mieszkowi, najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny.

Po rozdaniu jedzenia ludzie wprędce się pokładać zaczęli, straż opodal postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc z milczeniem posępnem osłoniła

obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli zaczajeni w krzakach, jak niedaleko śpiący Stogniew i Wojsław wstali pocichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którem kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające się zcicha postacie dwu morderców dostrzec było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszku, gdy nagle stłumiony krzyk dał się słyszeć. Dobrosław, który się zerwał i nadbieżał, spostrzegł, jak kneź, uchwyciwszy się Stogniewa, gdy się ten najmniej tego spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął — i zdusił. Wojsław, który zrazu stał przelękły, umknął natychmiast i biegł w las naoślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął w rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażec gałęzie. Pobiegli pachołkowie; Mieszko tymczasem stał spokojnie nad trupem, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona nadbiegła, strach ogarnął wszystkich; słowa nikt nie śmiał rzec...

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli i z góry rzucili go do rzeki. Stało się w jednej chwili, jak przykazał; nikt nie śmiał pytać ani spojrzeć panu w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz go nigdzie nie znaleziono... Ucieczka sama o winie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko, ognia kazawszy naniecić, słowa nie mówiąc, legł nazad na posłanie, sparł się na ręku, i drzemać począł. Ludzie przerażeni wrócili na swoje miejsca. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław;

siedli wszyscy na konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wyjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

X.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionem Włast, że mógł się udać do Krasnejgóry do ojca, z tem tylko, by na każde zawołanie się stawił. Przybywszy więc na zamek, natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła, jak na zamek wjechali; służba zdawała się nie mówić ni słowa, oglądając się bojaźliwie, przecież cały niemal już dwór wiedział i skąd i z czem powracano...

Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do nikogo nie zbliżał, ale po kątach, za węgłami szeptali ci, co wracali, z tymi, co pozostali.

W niewieścim dworze już płacz słychać było i narzekanie; popłoch panował wszędzie. Kniehini Górka czekała, wyglądając na brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca do Sydbóra do Gniezna, aby, nie tracąc chwili, do niego przybywał.

Sześć mil miał konny ubiec tak, aby przed nocą wezwany był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę...

Srokicha, pochwyciwszy Właste, pieszczoty macierzyńskiemi, — wnet rozpłakała się i wypytywać natarczywie zaczęła, nie dając mu odetchnąć. Po dworze chodziły już wieści straszne.

Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nic powiedzieć jej nie mógł. Nie było już

tajnem, że do Pragi jeździli, lecz nad to nie mówił nic. Srokicha niedowierzająco potrząsała głową.

— Gołąbku mój! — mówiła, płacząc. — Straszne dni na nas przyszły. Niedarmo wy do Pragi tej, do Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginiemy wszyscy... Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą...

Próżno Włast się jej wyrywał; — Srokicha ściskała go, jakby się lękała utracić i zalewała się łzami. Chciała go zaprowadzić do swej pani, ale Włast się wyprosił. Wycałowawszy go więc i wygłaskawszy, puściła wreszcie staruszka, tem niespokojniejsza, iż nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań, Włast poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnejgóry. Pociechą dlań było, że z Pragi wiózł dane mu do mszy świętej wino i opłatki, których w domu upiec nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością, prawie nie do nabycia, a duchowieństwo chleb też do mszy świętej używany chciało mieć z nadzwyczajną pieczony troskliwością. Św. Wacław sam zżynał kłosy pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej Ofiary użyte być miały. Z równem poszanowaniem i inni kapłani przygotowywali się do niej.

Włast, długo pozbawiony tej kapłańskiej pociechy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroniu w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pociechę. Gorliwym był jak człowiek długim głodem zmożony, — a gdy o rodzinie swej myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam, jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz, jakie chciał ocalić, los tych najbliższych najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnejgóry, i już widział dwór zdaleka, a serce mu biło niespokojnie, gdy, wracając konno z pola, nadjechał Jarmierz, witając go serdecznie.

— Pan nasz ucieszy się wam wielce — rzekł — bo niecierpliwie czeka powrotu...

— Jam też śpieszył, jak mógł, alem był pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? — spytał Włast.

— Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju. Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziemy musieli z nim, a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrżał; nie odpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tem, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść, cokolwiekby go spotkać mogło.

Rozmawiając, zbliżyli się ku dworowi, a tętent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły.

Pierwsza wybiegła na spotkanie Hoża, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

— Przecie kneź się ulitował nade mną. Gdzieście byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kneź wziął was z sobą? Czy polował na wilków?

— Do Czech jeździliśmy — odparł Włast.

— Do Czech? — chmurno się odezwał stary. — A poco? łup przywieźliście?

— Myślę, że chyba lepsze od niego przymierze.

Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurnem okiem, jak zawsze, mierząc chłopaka.

Nie pytano go więcej. Luboń też nie oznajmił mu o niczem, tylko, że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą.

Włast wiedział już, co zamierzał, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu ojciec oznajmił swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiała, krzątając się, śmiejąc i śpiewając. Stara mruczała przy kądzieli. Po wieczerzy zwołano i inne dziewczęta do

śpiewu, bo stary Luboń rad słuchał pieśni i do późnej nocy przesiedzieli tak u ognia przy łuczywie. Dobrogniewa drzemała nad swą kądzielą, wrzeciono wypadło jej z rąk — ale do snu nie szła.

Późno już było, gdy Luboń, z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się:

— Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas życie zaczynać i do gospodarstwa się nałożyć.

Właśt westchnął, — zbliżył się do ręki ojca i ucałowawszy ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem:

— Ojcze, a panie miłościwy! nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, gdy ci całą prawdę objawić muszę; oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a poprzysięgłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzeczone, przerwał krzyk starej Dobrogniewy, która, kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśniętemi.

Luboń, zuchwalstwem syna osłupiały, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki, rękę podniósł do góry i z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię.

Skroń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew z niej trysnęła. Ból, przestrach, znużenie przyprawiły go o omdlenie.

Hoża, którą krzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękła na ziemi, chwytając bladą jego głowę, i zaszła się wielkim płaczem.

Luboń stał wcale nieporuszony tem, co uczynił.

Zwolna otwarły się oczy Właśta, poruszył się, usiłował powstać i z pomocą siostry, ocierając skroń, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

— Psie ty niewierny! — krzyknął Luboń. — Myślisz, że ja ci dam czynić, co chcesz, przeciwko mej woli? Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci, słuchać musisz i uczynić, co każę...

Dobrogniewa oczyma i ruchem rąk potwierdzała mowę ojca; Włast milczał.

— Kajaj mi się zaraz, a bądź posłusznym. Chrześcijaninem ci nie być! Szczenię wolę przybrać za dziecko!

— Ojcze a panie — odezwał się Włast. — Usłucham rozkazu twego we wszystkiem, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz syna dał bezlitośny policzek... W tejże chwili poczuł na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia, i wzdrygnął się. Hoża, obejmując brata rękami, płakała... Stary z gniewu drżał i rzucał się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

— Sobaka!

Włast stał na nogach, chwiejąc się milczący, z głową spuszczoną.

— Będziesz posłusznym — wołał Luboń — lub zginiesz, psie niewierny!

— Czyń, co ci się podoba ze mną — odparł Włast.. — Jestem w mocy twojej....

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał zawołać na pachołków i siec nieszczęśliwego, już, bełkocząc, poczynał dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła, popchnął ją zrazu, ale mu się uczepiła mocno. Krzyk i płacz rozlegał się po dworze, ludzie pobudzeni zbiegli pod okna do sieni, i stali, patrząc a nie rozumiejąc, co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

— Związać go!... — krzyknął. — Na strych w swirniu posadzić i nie puszczać... suchy dać chleb i wodę... niech mrze głodem.

Jarmierz, chcąc ocalić Właста, odezwał się, że w swirniu strych był zajęty.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń. — Łyka mi daj... związać go... sprzedam jak niewolnika, ubiję jak psa...

Napróżno córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca, to do Własta, aby uległ woli jego. Włast milczał, ojciec zapalał się gniewem coraz większym. Jarmierz wreszcie, lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wolał już spełnić polecenie i przyniósł łyka.

— Do jamy z nim... — powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijście zawalano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża, zakrywszy sobie oczy, upadła na ziemię. Milczenie było w izbie, tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie starej je przerywało.

— Będziesz posłusznym?... — krzyknął stary, widząc syna już w progu.

— Ojcze!... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To mówiąc, zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie:

— Prowadź mnie!

Ta odwaga i stałość słabego napozór człowieka, któremu się urągano, iż męstwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała; Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był przerażony.

— Prowadź do jamy — krzyknął stary.

Włast ruszył się posłuszny; nie mówiąc słowa, przeszli sień i znaleźli się w podwórku.

— Poddajcie się ojcu... jamy wy nie wytrzymacie długo... — szepnął Jarmierz... — Poddajcie się! co czynicie?...

— Prowadź mnie — rzekł Włast, — niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam...

W progu zjawił się jeszcze rozjuszony ojciec, krzycząc na Jarmierza:

— Do jamy!

Nie było już ratunku. W głębi dziedzińca znajdo-

wała się tu studzienka wilgotna. Jarmierz odwalił drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał w ręku.

— Uciekaj — szepnął.

— Dokąd! odparł Włast. — Czyń, co ci kazano... Uciekać nie mogę i nie chcę...

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią i podparty na rękach został tak na straży, nie wiedząc, co począć z sobą.

Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, która się była zgromadziła, rozkazując jej iść precz na barłogi... W trwodze rozpierzchło się wszystko i znikło.

Głuche milczenie nastało we dworze. W świetlicy stara stała, ręce złożywszy przed ogniem, a Hoża płakała, leżąc na ziemi.

Noc była późna, pierwsze kury piać zaczynały. Stary ojciec, zamiast iść na posłanie, siadł na przyźbie, przed dworem, sparł głowę na rękach i pozostał tak do rana, dysząc gniewem.

Brzask dnia znalazł go siedzącym tam jeszcze. Jarmierz legł na ziemi nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska drzemała stara Dobrogniewa, mrucząc przez sen niespokojnie. Hoża, zwlókłszy się na ławę, z głową na stole, usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyźby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał mu drzwiami otwór przyrzucić i poszedł.

Gdy zakładając drzwi, Jarmierz spojrzał w dół, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go klęczącego i modlącego się spokojnie. Powoli zasunął ciężkie wrota i odszedł zadumany.

Dzień cały upłynął bez zmiany, spuszczono tylko chleb i wodę Włastowi, Jarmierz chciał przemówić do niego, ale zdala stojąca z kądzielą Dobrogniewa pogroziła mu. Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień cały nieruchomy

prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, popchnął je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywlókł się do wrót starzec z gęślą na plecach.

Był to gość częsty we dworze Luboniów, znany całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą.

Z siwą rozczochraną brodą, z rozwianym włosem, w szarej opończy, z kijem białym w ręku, z sakwami na plecach, stary Warga wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszem miejscu, kazał sobie podawać, co mu się podobało, łajał czasem najmożniejszych, a słuchano go z pokorą i niemal trwogą. Uchodził za strasznego czarownika. Nawet podobno inni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swej oddawali. Słowo jego ważyło wiele.

To też, gdy trzeba było iść z ludem na wyprawę, a wojakom dodać serca, nikogo do wróżenia z ziemi, patyków i ognia nie wołano, tylko jego. Śmiały i silny, choć stary, nocami chodził jak we dnie, nie obawiając się niczego, ani zwierza, ani człowieka.

Wedle obyczaju swojego Warga, wejrzawszy w podwórze, wrota sobie otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogoby się odezwał, a nie spostrzegłszy żywej duszy, kroczył prosto ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odrętwiałego na ławie.

— Co tobie, stary? — zawołał — choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanemi i, nic nie odpowiadając, podparł się znowu na dłoni.

U drzwi Warga kij postawił, sakwy rzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

— Co tobie, stary? mów!

— Nie mogę mówić! — szepnął Luboń.

Gęślarz bystre oczy długo w niego wlepiając, głową potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

— Powiesz ty mi, co tobie jest? — mruknął.

Wtem Dobrogniewa z kądzielą wyszła z komory.

— Co wam? co się w waszym domu stało?...

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

— Syna miał, wnuka miałam... — straciliśmy go. Wrócił po dwunastu latach niewoli... psem, Niemcem, niewiarą... trzeba go było wczoraj zamknąć do jamy jak wściekłego.

Warga uderzył ręką po stole.

— Dwanaście lat go nie było! Opłakaliście... zapomnieliście... a co gorszego dziś?

— Niechby nie żył!... — krzyknął Luboń.

— To go zamórz głodem... — rzekł Warga. — Z chrześcijanina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo... Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarowniki te!... Skosztował on ich chleba, — naszego nie będzie jadł więcej...

Tu Warga zniżył głos.

— Co twoje dziecko jedno—rzekł. — Nam wszystkim oni nóż prędko przyłożą do gardła... Już kneź wącha się z chrześcijany i jak inni pójdzie z Niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im!... Jeździli do Czecha... tam mu żonę swatają... Biada nam!... biada nam!...

Luboń głowę podniósł.

— Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! Wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślimy... wydusi...

Warga westchnął; śmiały jego głos płaczliwym począł się stawać.

— A wy, baby bezsilne... ścierpicie to!... — zawołała nagle Dobrogniewa.

Warga począł głową potrząsać.

— Do kądzieli, stara — mruknął gniewnie — do kądzieli... precz... co wam do naszej sprawy.

Dobrogniewa, spuściwszy głowę, powoli, posłuszna, nie śmiejąc odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nić wyciągać. Warga sparł

się oburącz na stole i patrząc w oczy Luboniowi, potrząsał głową smutnie.

— Prawda to, że do Czech jeździli po kniahinię?— pytał Luboń. — Mieszkoby nas miał sprzedać za jedną dziewkę?...

— Za dziewkę nie — odezwał się Warga. — Ale za to, by nas mógł z nimi gnębić... obrócić w niewolniki, jak Niemcy swoich... pójdzie reszta kmiecych swobód z bogami naszemi... pójdzie...

— Jeśli my się mu damy — mruknął Luboń.

Warga przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą zdala Dobrogniewę i zaczął mu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to, co mówił, gorącem było i poruszało go mocno. Oczy to mu się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił ręce, bił o stół niemi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał, jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczerzy; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Warga zgłodniały rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko, a szeptali ciągle.

Noc już była, gdy dał się słyszeć tętent, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie. Dopiero, upewniwszy się, że Luboń sam był z Wargą, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojsław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwycił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, przychodził widać żądać u niego przytułku.

Gospodarz, który o niczem nie wiedział, nawet o losie Stogniewa zasłyszał ledwie i sądził przybyłego Mieszkowym sługą, przyjął go po starej drużbie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał. — Pewno was kneź posyła? byle nie po syna...

Wojsław strząsnął się, nie odpowiadając, i usiadł na ławie milczący; popatrzył na Wargę. Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

— Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście Wargi nie znali? Przy mnie śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby.

Luboń ciekawie wpatrywał się w wybladłego i na twarzy zmienionego krewniaka.

— Coś ty nie swój jesteś? — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojsław schrypłym głosem.

— Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

— Gdzie syn twój? — zapytał Wojsław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń; od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznem, do tej doli, że mu je chrześcijanie odebrali, cicho więc odparł:

— Synam wyprawił w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojsław. — Toście go zmusili chyba... Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześcijańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy... a tym, co do nich należą, żenić się nie wolno...

— Tak jest — dodał porywczo Luboń, — zmusiłem go do porzucenia tej wiary niemieckiej... zagroziłem mu... musiał być posłusznym.

— Nic wam nie mówił o naszej podróży? — pytał dalej Wojsław.

— Nic pytałem go wiele... — odezwał się Luboń, jakby zbyć się chciał rozmowy. — Co tam z gołowąsem takim rozhowory prowadzić?

Machnął ręką.

— Nie będziecie wy z syna mieli pociechy... — rzekł Wojsław — nie... Dobrze, żem ja z jego przyczyny nie nałożył głową... a Stogniewa śmierci nikt nie winien, ino on. Widzieli go pachołkowie, jak w krzakach leżąc, podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony.

Wojsław z ławy powstał, poruszony mocno.

— Co mam kłamać? Mieszko nas Niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł o naszą skórę się targować. Jawna to rzecz. Starą dziewkę mu daje Bolko i dobre wiano... swoją przyjaźń i cesarską łaskę... Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obręcz?...

Reszty się można było domyślać. Wojsław jej nie dopowiedział, i po chwili kończył:

— Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał... Stogniewa zdusił jak chrząszcza!... Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie...

— Dacie mi przytułek? — zapytał Wojsław.

— Właśnie to go tu szukać!... — krzyknął Warga. — Człowiecze... pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może zajrzeć i ludzie cię znają!... pójdziesz ze mną!... ja ci dam schronienie, w którem będziesz bezpieczny... Schowam cię do chramu, gdzie nikomu dostąpić nie wolno... Takich nam ludzi, jak ty, trzeba...

— Bylem gdzie tego twojego syna, psią wiarę, nie spotkał — odezwał się Wojsław, — bo choć on was posłuchał i dziewkę bierze, a ja mu nie ufam... Zdradzi on ją i was, i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej, co gdy raz przylepnie do człowieka, trzyma się jak smoła, nie puści...

Zamyślony, z okiem wlepionem w ziemię, siedział stary Luboń.

— Kneź Dobrosławowi po Stogniewie władzę oddał — mówił dalej Wojsław, — wrócił nad Cybinę, posłał po Sydbóra i już się pewnie do wesela sposobi... Na Sydbóra my rachowali, on ma dużą siłę w ręku... ale to pies też, co się nawykł łasić i nogi mu lizać będzie... z nim gadać niema poco.

— Albo innych niema? — podchwycił Warga. — Czy to wam kneziów zabraknie?...

— Kneziów nie! — zaczął Wojsław — a no... ludzi... Dawne męstwo wytępiły te Piasty.. porobili z nas niewolników... serc niema... trwoga we wszystkich...

— Nieprawda! — zawołał Warga, poruszając się

za stołem. — Źle ty sądzisz o narodzie... jeszcze on nie cały w pętach i kagańcach... jeszcze po lasach stary obyczaj i stara swoboda... miry wiecują jak dawniej i pędzić się nie dadzą, jak trzody...

Poczęli tedy rozprawiać o swej doli i o tem, co groziło; Luboń tylko najmniej się odzywał. Noc ich tak zaszła, aż Warga wstał z za stoła.

— Noc ciemna, ale ja drogi znam... nocą wam i mnie najlepiej iść... chodźmy stąd... nocleg sobie znajdziemy...

Ruszyli się więc oba, gdy Luboń im u drzwi drogę zaszedł.

— Znacie starego Lubonia! — rzekł. — Ja z wami! Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko zechce ciągnąć ku sobie, że mu się pokłonię... Trzeba będzie dłoni do roboty, ja i moi ludzie z wami będą...

Wywiódł ich w podwórze, do wrót, Wojsław siadł na koń, Warga poszedł przodując, i znikli oba w ciemnościach.

XI.

Na grodzie od przybycia Mieszka z Pragi niewiele się lub nic prawie nie zmieniło. Nie odprawił też kneź żon swoich, owszem siódmą sobie wziął jeszcze. Stogniewa miejsce zajmował Dobrosław, — dużo się jakichś obcych ludzi plątało po dworze, ale w pocztach straży i wojsku nie zmieniło się nic — kneź jeszcze dla swoich wojaków szczodrzejszym był i widocznie ich sobie jednał. Parę razy zajrzał do kontyny i pogadał ze stróżami przy niej siedzącymi.

Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło pocichu. Z Czech kilku ludzi jakichś niewojennego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Mieszko, czy z naprawy Dobrosława, czy sam jednego dnia o Własta się upomniał i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jamie, ale o tem w domu nie wolno było mówić; przed obcymi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną, na ziemi, którą miał w lasach, o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć niełatwo. Namyślił się jednak po daniu tej odpowiedzi i przybrawszy się, zaraz z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy, chytry starzec — pokornie do nóg się kłaniał Mieszkowi, spytał go wnet kneź:

— A Włast wasz kędy?

Stał przy tem Dobrosław i słuchał.

— Miłościwy panie — odezwał się Luboń, niedobrze udając wesołego. — Własta m ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuję.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który mu wprzód jeszcze opowiedział o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprawdzie naówczas żenienie się duchownym wzbronionem nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czem Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały bezżeństwo.

Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu niebardzo wierzą.

— Miłościwy panie — rzekł — przed wami nie godzi nic ukrywać. Syn mi powrócił przez Niemców zepsuty i na ich przeklętą wiarę przeciągnięty — nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusiłem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodycę śliczną, przy której zapomni o czem innem.

— I ożeniliście go? — pochwycił Dobrosław widocznie zdumiony razem i przelękły, — ożenił się dobrowolnie?

— Trochę mi się opierał — odezwał się Luboń.— Ale przeciem ojciec i mam władzę; zresztą niewiasta go do rozumu przywiedzie.

Stary się rozśmiał dziwnie; Dobrosław zmilczał, Mieszko też nie odezwał się zaraz, ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

— Dawnoż się to stało? — spytał.

— Zaraz po powrocie, gdyście go, miłościwy panie, odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko, który zwykle na Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazywał mu wcale życzliwości swej, posępnie zbył go kilku słowy — i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony i razem przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał się na męczeństwo gotowym, tak łacno uległ pokusie. Chciałby go był zobaczyć, — lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z innymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc, że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zmilczał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilję już był Sydbór z ludźmi na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych kmieciów, Leszków, władyków, ziemian, wcześnie były uczynione. Umiał Mieszko przyjmować po królewsku i pokazać moc swoją.

Zawczasu się panowie ściągać poczęli: Jaksy, Kaniowy, Grzymałowie, Rolici, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni; kołpaki piękne, suknie zawiesiste; miecze kowane, na niektórych zbroje niemieckie; stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła.

Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą, jak mógł, wesołą. Dnia tego, zkolei witając ziemiany, każdego wiedział, o co spytać, czem mu pochlebić, aby dobrej myśli był.

Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar, a ochota wielka. Miód rozwiązywał języki.

I Dobrosław, i brat pański Sydbór, i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworscy nalewali a przymusza-

li pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrzemięźliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięło się mocno na ochotę i wesele, Mieszko wstał, jako dobry pan, mieszając się między swych ziemian. Czy z umysłu, czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągnąwszy, o wojnie począł mówić naprzód, i rozmawiając z nimi, wywlókł ich do bliskiej komory, której okna w podwórze wychodziły.

Tu też ławy były dokoła i stolica dla knezia. Sama się zebrała starszyzna, sędziwe głowy: dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obciętą ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekł, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba, zwan Krzywogębą, choć pod wąsami nic mu widać nie było. Byli to najmożniejsi Leszkowie i kmiecie polańscy.

— Wojnie końca niema — mówił kneź do nich, — Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili, Ugrów przepędzili do ich łożysk, teraz nam całą siłą na karki siędą.

— Słyszeliśmy, miłościwy panie — odezwał się Jaksa Czarny, — żeście do czeskich kneziów jeździli, azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

— Byłby pokój i przymierze — odezwał się, głos zniżywszy, Mieszko. — Ale cóż? chrześcijanami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

— Dziś, czy jutro — odezwał się wolno, cedząc wyrazy, kneź — nowa wiara wnijdzie i do nas. Weszła ona już, wchodzi codzień, opierać się jej trudno — pokójby nam przyniosła.

— Przebaczcie, miłościwy kneziu — począł Krzywogęba, z dalekiego końca, na którym usiadł, — nasze serca przyrosły do bogów naszych i obyczaju; lud prosty i władycy zarówno, jedno wierzą i trzymają. Gdyby starszyzna poszła w jedną a lud w drugą stro-

nę, — mielibyśmy wojnę nietylko w domu, ale i w izbie, i na ławie, i na posłaniu naszem.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

— A nie także samo było w Czechach, gdy, ratując się, wiarę nową przyjmowali — rzekł Mieszko. — Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać, — od nich poszło tam coraz głębiej, i...

Spojrzał Mieszko po starszyźnie zasępionej mocno i posmutniałej.

— Nikomu — dodał, zmieniając mowę — niewesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tem, co ojcom i dziadom służyło. Ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Damyż sobie najlepsze ziemie i lud zabierać?

— Bić się trzeba! bić się! — wtrącił Laskonogi, — bić dzień i noc, napadać i mścić!

— Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich — przerwał Mieszko, — a i swoi z nimi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Jaksa Biały, który dotąd milczał, ruszył się, ponad głową rękę podnosząc.

— Siedzę od serbskiej granicy — odezwał się, — patrzę na niemieckie roboty, zdrajcą nie byłem i nie będę; ale Niemca złego nie zmożemy siłą, ino chytrością. Ściga nas jako pogan, udajmy, że chrześcijanami być chcemy, abyśmy wypoczęli i stali z nimi narówni. Niema co czynić, ino to, niema co poczynać, tylko Czecha chytrego naśladować. Wówczas wilk ten, krwi naszej chciwy, Gero i Wigmany i wszystkie złe duchy ich odstąpić będą musieli, przymierze uczynić, aby ich w nie jak w matnię zaplątać...

Śmiało i żywo wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł... Mieszko po kolanach swych dłoniami uderzył...

— Jakso mój — zawołał — złote mówisz słowa... Złote słowa twoje! Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba... Nie wszystko żelazo robi

i siła... chytry zwycięża... a Obry pijane od Krasnopanków giną!

Inni coś mruczeli, nie oburzając się.

— Jedno powiem wam — odezwał się Mieszko, — choć mnie o słowo trudno, języka nie mam, jako drudzy — jedno rzeknę — co bądź poczynać będę, co zrobię i gdzie pójdę, niechaj was serce nie boli — nie gwoli złemu uczynię, — ale gwoli temu, aby nam i plemieniowi było dobrze... Szerokie ziemie nam należą... Czech? — Czech nam Chrobaty wziął. Czech nam Szląsko zajął... hen! dalej po Wisłę, za Wisłą, nasz to język, ziemia nasza, po morze do Łaby... na Odrę... wszystko to nasze... wszystko weźmiemy, rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie żałując... Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni cesarstwem. Nie ja — syn — wnuk może... ale to musi być! to będzie!

Wstał, mówiąc to; słowa zdawały mu się mimowoli rwać z ust, aż nagle, jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jaksa Biały, a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i — mimowoli wyrwało się im z ust.

— Tak będzie! tak będzie!!

Jaksa dodał:

— Miłościwy panie! nie pytaj — czyń! — Tyś pan, tyś kneź, masz siłę, masz wolę — niech gawiedź mruczy! ty idź i czyń...

— Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

— Pójdziemy! — zawołali głośno wszyscy.

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawiło się kilku z pierwszej izby; ci, co nie wiedząc nawet, dlaczego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w progu, od progu dostał się za stół... Powstawali ziemianie, wołając:

— Mieszko żyw i zdrów niech będzie! na długie lata! na długie lata...

Czarne oczy knezia zapałały; stał drżący jakimś

zapałem, odwagą, nadzieją. Trwało to chwilę — pokłonił się, ręką od ust dziękując — i siadł...

Tak krótka, ale stanowcza skończyła się narada i nastąpiło ucztowanie...

Znowu stolnicy i cześnicy szli nalewać i zachęcać i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy rozległy się w izbie.

Toż samo działo się w dziedzińcu i na całym grodzie. Młodzież biegała z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie... strzelała z łuków i rzucała kamienie... Podochoceni wojacy, komornicy, dwór, pachołkowie dokazywali pod oczyma starszyzny, która też podweselona, nie myślała powszechnego zakłócać wesela.

Dopiero około gaju świętego, bo do tego nikt się zbliżać nie śmiał, panowała cisza i spokój. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny... W progu jej siedział Warga i zdawał się tu czekać na kogoś.

Zmierzchało już, gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem, bojaźliwie krążący człowiek, niepocześnie odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś z mniejszych sług dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych... Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie... Na widok jego Warga wstał z progu, zbliżył się doń, odciągnął w drugą stronę, i u pnia starego dębu się zatrzymał.

— Słyszałeś co? mów — rzekł.

— Wszyscy ziemianie z nim za jedno trzymają — odezwał się zadyszany sługa. — Co tylko zechce, to zrobi...

— Kto był? licz! — spytał Warga, pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i powtarzając.

Warga głowę na piersi spuścił, na kiju sparł, i milczał... Ręką odprawił sługę i przywołał nazad.

— Był Luboń? — spytał.

— Nie było go... Parę dni temu słano za nim. — Kneź mówił z nim krótko i odprawił.

Odszedł nareszcie donosiciel, a Warga, podniósłszy oponę, wsunął się do ciemnej kontyny... Na ławie u wnijścia siedziało dwóch napozór uśpionych ludzi. Spostrzegłszy Wargę, ruszyli się.

— Teraz idźcie — rzekł, — wiecie dokąd, i po których dworach... nie zapomnijcie o Luboniu... pojutrze na uroczysku Lelowem... jak świt...

Uroczysko Lelowe położone było wśród lasów na pół drogi do Gniezna. Odwieczny dąb spróchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórza okrywała niską, a gęstą trawą leśną. Tu i owdzie, jakby kołem, wsiadłe w ziemię leżały głazy szare, opasując go wieńcem.

Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne; szli tu chorzy zawieszać chusty, z któremi zdejmowali bóle swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby — przemiany, pociechy...

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniącą, jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu pierwszy przywlókł się Warga. Obejrzał się dokoła, rozsłuchał i siadł na jednym z kamieni.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą posępną. Pozdrowili się pocichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszech stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający starzy ludzie, w tak prostej ubogiej odzieży, jak Luboń.

Szli milczący i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył wkrótce kilkunastu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy z zanadrzą wyjąwszy mieszki i przed sobą je stawili. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powiędłych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował.

Około Lubonia zgromadzili się ziemianie, za nimi kołem stali i siedzieli wróżbici, gęślarze i ludzie od

kontyn i chramów: jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali. Co począć? Wtem z gąszczy Wojsław się zjawił, spojrzał na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

— Co będziecie czynili? — spytał półgłosem. — Na naszą wiarę idzie zguba z góry... wytępią ją... Żadna się kontyna nie ostanie... żaden kamień święty... żadnej uroczystości po staremu obchodzić nie będzie wolno... żadnemu gęślarzowi śpiewać, żadnemu staremu powróżyć, — popędzą nas jak bydło w niewolę... Co czynić? co czynić?...

Warga nań patrzał.

— W jaki sposób jeden człowiek może tyle narodu zmusić? — zapytał. — Jak nagniem karku, jarzmo włożą...

— Nie jeden — odparł Wojsław, — jest ich wielu... a broń mają w ręku i siłę... Porywać się na nich? — wyginiemy i z nami wiara nasza.

— Głupi się tylko rwie, gdy nie pora — odezwał się Warga. — Milczeć trzeba, przypaść, czekać... Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi. Czekać trzeba!...

— A tymczasem kontyny wywrócą! — rzekł Wojsław.

— Albo drzewa niema, by drugie wystawić? — począł Warga. — Niech lepiej ściany giną, niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła... Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach święta obchodzili i ofiary składali... Puszcze nas nie zdradzą... Czekać trzeba...

— Inaczej mówiliście niedawno... odezwał się Luboń.

— Bom nie wiedział, co się dzieje... Kneź ma dużo zbrojnego ludu... Czechy mu w pomoc przyjdą, a i Niemcy... Naco ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!...

Wojsław ręką zamachnął w powietrzu.

— Tak tchórze gadają! — rzekł. — Ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie... Za rok, za dwa w każdej chacie znajdzie się chrześcijanin... Dosyć ich jest

i tak... ale dziś się oni tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed nimi... Zguba i zatracenie...

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionemi.

— Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem... — rzekł. — Słowa nie kupić... a o ręce trudno...

— A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ściągać? — zawołał Wojsław. — Nie możecie zebrać tysiąców i z niemi prosto na gród iść a śmiało rzec: nie chcemy nowej wiary! nie chcemy odstać od ojców i obyczaju!...

— Pójdziecie z nami? — spytał Warga.

— O jednego człowieka nie idzie — przerwał Wojsław, — jak tysiące będą, znajdę się i ja...

Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie:

— Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwoływali i ogniste palono wici! Popatrzcie u chramów, — mało kto idzie, mało kto pyta... Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą... w puszcze i lasy chyba!...

— Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają — wtrącił inny. — Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden starej pieśni nie umie!

— Nie, nie... — przerwał drugi, — nie, Drohoto, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie spływa... Pójdźcieno w lasy, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... tam nasze bogi stoją całe i lud czołem im bije, ofiary niesie, pieśni nie zabył, obyczaj chowa... A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek...

Rozśmiał się Drohota, a Warga niedowierzająco ramionami ruszył. Pomiędzy starcami jedni trzymali z nimi, drudzy z Czarnym Buranem.

Wojsław podniósł głos.

— Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych bogach, niech głos posłyszy, nie będzie śmiał...

— Co nie będzie śmiał? — przerwał Warga. — Silniejszy on od was i chytrzejszy. Inna moja rada... zmilczeć i ugiąć się... a wiernie swego trzymać i czekać... przyjdzie pora. Albo to czas teraz?

— A kiedy będzie czas? — zapytał Wojsław.

— Gdy my wam powiemy!... — odezwał się Warga. — Co wy znacie, dworacy? co wy wiecie, Wojsławie? Chowaliście się na dworze, nie znacie narodu. Mocny on może być, gdy przecierpi, gdy zaboleje, gdy mu do serca ściągną dłoń. Dziś my jej jeszcze nie poczuli... darmo wołać... Zbierze się kupa pijanych, zahuczy, — rozpędzą ją i strach padnie na wieki na wszystkich... Tegoby jemu trzeba, żeby mocniejszym się stał, — ale my tego uczynić nie damy!...

Drohota powtórzył:

— Nie damy!...

Inni starcy, nie sprzeciwiając się, zamilkli.

Warga widocznie ich zmógł i przekonał.

— Wywrócą kontyny? — jest w lasach miejsca dosyć! Każą się kłaniać nowemu Bogu? — pokłonim się... Było ich dosyć... niech będzie jeden więcej...! Dlatego naszych starych nie opuścim... Nasza dola czaić się, cierpieć i czekać... przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina... wybiją na wojnie starszyznę, dwory zostaną puste...

Warga nie dokończył. Luboń ze swymi poglądali po sobie, nie mówiąc nic.

— Pocóż nas i wołać było? — odezwał się gniewnie Wojsław. — Nie mamy tu czego słuchać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez was...

Uśmiechnął się Warga.

— Jeszcze my się boimy stracha, co nie przyszedł... nie trzebaż go uprzedzać, zobaczymy, gdy on się zjawi... zobaczymy. A zebrać się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wiedzą, że groza idzie i od zimy nagotują kożuchy... Potośmy się zeszli.

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni mruczeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

Wtem Czarny Buran podniósł rękę i rzekł:

— Ja jedno powiem... O kim wiadomo nam, że chrześcijaninem jest, choć tajnie... zabić go... pójdzie groza do drugich... Niech jeden ginie, aby my nie poginęli wszyscy...

— Dwory im podpalić! — dodał inny. — Dobrosława naprzód...

— A Ligoń? i ten nie lepszy...!

— A Zreba?...

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska; Warga się nie przeciwił i milczał.

— Czyńcie z tem, jak chcecie! — dodał obojętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już, jakby im ta zemsta smakowała. Luboń zbladł, wspomniawszy na syna, i milczał.

Gwar się wszczął między gromadą i bezładne rzucanie słowami, gdy dziwnie zaszumiała dąbrowa i zdala słychać było jakby łomot gałęzi a konia chód. Wszyscy zamilkli, przysłuchując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może jeden z ziemian przybywa. Wojsław stał za Luboniem, wpatrując się w tę stronę lasu, z której szedł głos, przechylił się ku ziemi, aby popod gałęźmi dojrzeć coś lepiej i nagle, jakby przerażony, skuliwszy się wpół, rzucił w krzaki. Ucieczka ta przestraszyła i drugich, ale uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem już konia i jeźdźca widać było.

Luboń, który stał na widoku, pierwszy zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną i spokojną: ubrany, jak do łowów, z rogiem na sznurze, uwieszonym przez ramię; z sulicą w ręku, łukiem na plecach.

Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia; konia trochę strzymał, stał i patrzał.

Wróżbici i gęślarze osłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali, jak w ziemię wryci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, zwolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzył wszystkich, dostrzegł zdala Lubonia, poznawał i innych wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili zwolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale niegniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci,

ku którym podchodził, zapomniawszy o odgróżkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

— Cóż to za wiec u was, gęślarze? zapytał. — I czemuście się to tak głęboko w lasy z nim skryli?... albo to gajów świętych niema przy chramach?

— Miłościwy panie — odezwał się chytrzejszy od innych Warga, nisko się kłaniając, — u nas to obyczaj stary u dębu za urodzaje bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tem uroczysku schodzili się co roku.

— A no, wróżcie i śpiewajcie... niech i ja posłucham a popatrzę, a z mądrości się waszej co nauczę...— rzekł Mieszko, spokojnie rozglądając się po starcach.

I słowa te kończąc, obejrzał się, aby siąść. Kłoda omszona leżała poza kołem wróżbitów, — przysiadł na niej. Milczenie panowało między starymi. Warga, który się tak zręcznie wytłumaczył, szepnął Drohocie:

— Wróżcie...

— No... co nam ta zima obiecuje? — rzekł kneź, — mówcie...

Drohota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemię i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgarniać zaczęli, szukając, jakieby w niej znalazły się znaki.

Ziemia leśna, wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści. Drohota kopał głębiej i dobył — kostkę jakiegoś zwierzęcia.

Warga, on i wszyscy głowami potrzęśli znacząco.

— Kość... — rzekł Drohota — kość znaczy śmierć i sczeznięcie.

— Komu? — zapytał kneź.

Milczeli, obracając głowami. Drohota począł kopać dalej; dobyli węgla kawałek.

— Węgiel czarny, stos i zgliszcze — śmierć!

— Śmierć! — rzekł Warga.

— Komu? — powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

— Śmierć wrogom naszym! Niemcowi!... — zawołał kneź.

Warga, pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze... czarny robak okazał się wśród poruszonej ziemi i zwolna, wsunąwszy w jej szczelinę, zniknął.

— Wróżcie śmiało — odezwał się Mieszko, — jeśli znacie przyszłość.

— Śmierć i zniszczenie złemu — począł Warga.

— Wrogowi — szepnął Mieszko.

— I tym, co z wrogiem trzymać będą — rzekł Buran ponuro. — Robak, co pełznie, znaczy nieprzyjaciela, co się skrada... Uszedł nam w jamę, — zły to znak!

Warga grzebał kijem po swej stronie.

— Wróżcie — odezwał się wśród milczenia Mieszko. — Wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi... dobrze wiedzieć, co nas czeka...

— Rzućmy losy! — rzekł Drohota.

— Rzućcie — potwierdził, wstając i zbliżając się, Mieszko.

Drohota z torby dobył siedm kawałków drzewa, rozłupanych napoły, tak, że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna bielała; zebrał je w garść, począł coś mruczeć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili, spoglądając ciekawie, drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milczeli starcy.

— Czarno nam jutro wróży! — odezwał się Warga.

— Rzucimy raz drugi — zawołał Drohota, zbierając patyki po ziemi i wznosząc je powtórnie z szeptem jakimś i zaklęciem.

W milczeniu oczy wszystkich zwróciły się na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały...

Spojrzeli po sobie starcy i nic nie rzekli, Drohota na trzecią wróżbę zbierał kawałki.

Mieszko, stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich zgóry.

Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

— Czarne jutro nasze! czarne! miłościwy panie...— westchnął Drohota.

— Czarne... — wtórował Warga.

— Czarne!... — chórem szeptali wszyscy. — Trzeba ofiary bogom nieść, aby odwróciły gniew i groźbę... Krwi bogowie pragną...

— Pójdziemy jej Niemcom utoczyć — odezwał się kneź głośno, — ta im smaczniejszą będzie, niż gdybyśmy kozła zarznęli... Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskażę, niech się biją raźno, a mężnie, a wróżba się na wrogów obróci...

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milczących dziadach, dodał:

— Niech każdy sprawia, co do niego należy, ja się będę bił, — wy obiaty nieście i śpiewajcie... A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłusznie... Tem Niemcy silni, że słuchać umieją! tem my słabi, że zgody u nas i posłuchu niema... Ale i tych ja nauczę.

Rzekł i zwolna koniowi cugle ściągnąwszy, skoczył nań, popatrzywszy jeszcze na wylękłych wróżbitów; ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał napowrót.

Luboń i wszyscy w głuchem milczeniu nieruchomi pozostali długo i odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom V

J. I. KRASZEWSKI

LUBONIE

POWIEŚĆ Z X WIEKU

CZĘŚĆ II

1 9 2 8

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Właśt już drugi miesiąc modlił się i cierpiał na dnie jamy wilgotnej. Jarmierz i siostra, mimo wiedzy ojca i jego najsurowszego zakazu, mimo pilnego oka nielitościwej babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę, prosili go i błagali, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał im, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w tym dole, tem więcej, zamiast słabnąć na duchu, dziwnym sposobem rozgrzewał się i stawał silniejszym. Nie mając już nic do stracenia, klęcząc, cichym głosem nucił pieśni kościelne, które mu z dawnych czasów na pamięć przychodziły i łzy mu płynęły z oczów. W tej ciemnej jamie, na ścianie z dwóch kawałków drewna łykiem związanym zrobiwszy sobie krzyż i umocowawszy go, większą część dnia Właśt spędził przed nim na rozmyślaniu i modłach.

Hoża i Jarmierz, nieraz uchyliwszy wrota, ciekawie wpatrywali się w niego, przejęci trwogą jakąś na widok tej wytrwałości i męstwa.

Parę razy przyszedł stary Luboń i, kazawszy sobie odwalić wrota, łajał syna, zmuszał, aby wolę jego spełnił. Z pokorą wielką Właśt podnosił oczy i ręce ku niemu i odpowiadał, że uczynić tego nie może. Z przekleństwem na ustach odchodził stary Luboń i gniewem długim wrzał często godziny całe tak że się doń nikt nie śmiał zbliżyć, ni przemówić.

Nawykły do posłuszeństwa, nie chciał ustąpić; a jednak wspomnienie tego dziecka, straconego, opłaka-

nego, odzyskanego cudownie i dziś skazanego, jak niewolnik, na kaźnię okrutną, łamało mu serce. Po nocach łzy mu zalewały oczy, ale gniew je osuszał. Ustąpiłby może wreszcie i syna precz odegnał, lecz z jednej strony obawiał się, aby go nie skarżył przed Mieszkiem, z drugiej podżegała go stara Dobrogniewa, upierająca się przy tem, iż wkońcu Włast, wycieńczony, poddać się musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie, a Włast w tej ciemnicy, trwając na modlitwie i w samotności, nawykł niemal do życia pustelniczego i zgadzał się z wolą Bożą. Odzież zbrukana i przejęta wilgocią mało go już od chłodu broniła, padała nawet kawałami; barłóg, na który garść słomy litościwa ręka siostry rzuciła, starł się na proch i stęchł przejęty wodą, która się ze ścian sączyła. Włast się nie skarżył, a gdy Jarmierz ubolewał nad nim, odpowiadał mu łagodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, i że ten Bóg zsyłał mu pociechę do serca.

Słysząc to, Jarmierz stawał zdumiony i przelękły; nie mógł pojąć tej siły, która się takim bólem nie wyczerpywała.

Hoża po kilkakroć do nóg padała ojcu, prosząc za bratem daremnie; zawsze podejrzliwa stara, która ją szpiegowała, nadbiegła ze swą kądzielą w porę, aby ją oderwać od nóg ojcowskich, a Lubonia nowym gniewem zapalić.

Ten więzień w domu, choć do niego nikomu się zbliżyć nie było wolno, choć wspomnieć się go nie godziło, truł jednak spokój i szczęście całej rodziny. Hoża chodziła zapłakana, Jarmierz chmurny, Luboń był chwilami wściekły, a stara Dobrogniewa nikomu pokoju nie dawała.

Przyjechał kto obcy, kłamać było potrzeba i udawać swobodę, a lękać się zawsze, aby się ten upór sromotny, ojca upokarzający, nie wydał. Jarmierz myślał o jakimś ratunku i nie widział żadnego. Chciał dopomóc do uwolnienia Włastowi, lecz zdradaby się wydała i stary Luboń nigdyby mu jej nie przebaczył, a

on w oczy Hożej patrzał i myślał, że mu ją wkońcu dadzą.

Złożyło się jednak inaczej wcale, niż rachował; ukrywający się ciągle Wojsław często do Lubonia zaglądał i narady z nim miewał. Chłop był urodziwy i na dworze pańskim wychowany; on i Hoża spoglądali na siebie mile. Czy przemówili kiedy, czy się ułożyli, czy Hożej naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą, która ją, kochając, męczyła, z ojcem, którego przemocy się lękała, któż to zgadnie?... dość, że jednego poranku Hożej nie stało.

W domu zawrzało straszliwie, pogoń poszła na wsze strony; — tyle się tylko dopytano, że Wojsław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmierz zaklinał się, że go ubije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnejgórze. Dobrogniewa położyła się trzeciego dnia i zapowiedziała, że jej życie obrzydło. Napół z gniewu, wpół z dobrowolnego głodu, w gorączce jakiejś, majacząc, otoczona babami, co ją napróżno ratować usiłowały, w kilka dni stara skonała...

Luboń pozostał sam, zdala poglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił, nie chcąc nawet zbliżyć się do niej. Na parobków i służbę wywierał złość coraz wzrastającą.

Jarmierz, nie mający już nic do zyskania i nic do stracenia, co dnia się więcej litował nad Włastem. Jednéj nocy poszedł potajemnie odchylić wrota, zbudził go i począł naglić, aby uciekał.

— Weźmiemy dwa konie... ubieżym w lasy... mnie tu nic nie trzyma...

Włast mu dziękował.

— Jarmierzu, druhu mój!—mówił doń.—Nie godzi mi się uchodzić od męczeństwa, którem Bóg mój mnie dotknął... Mam zasługę, cierpiąc, stracę ją, uciekając...

Jarmierz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdało mu się, że biedny Włast chyba oszaleć musiał. Drugiej nocy i następnej nalegał nań, nie przestając namawiać do ucieczki.

Tymczasem Włast, choć mocen na duchu, coraz upadać począł na ciele. Zimnica go od wilgoci napadła i co drugi dzień leżał, trzęsąc się, a potem nieprzytomny w gorączce, w której zwykle naprzemiany śpiewał i płakał.

W takim stanie Jarmierz wyniósł go nareszcie wychudłego, osłabłego z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, napoił ciepłym miodem, i gdy sen go pokrzepił, zmusił niemal tem, że ojciec na nim mścić się będzie, do ucieczki.

Włast był jednak tak osłabły, że choć go Jarmierz przytrzymywał, na koniu długo usiedzieć nie mógł i po godzinie jazdy, gdy dzień już był jasny, musieli w gąszczach stanąć, bo biednego więźnia znowu położyć było potrzeba. Zaledwie legł, Włast zasnął.

Nie wiedział dalej, co z nim poczynać Jarmierz, lecz domyślał się, że na dworze pańskim znaleźć może jakiś ratunek.

Nie widząc w tem żadnego niebezpieczeństwa, na losy się zresztą zdając, porzucił chorego uśpionego, a sam przez las popędził do grodu nad Cybinę.

Za stróża przy Właście został stary pies, który poszedł za Jarmierzem; zwano go Kudłą. Temu kazał siedzieć przy koniu i chorym, a pies, zrozumiawszy to — pozostał i położył się w nogach Włastowi.

Jarmierz, nie zważając już na to, że pochwyconym być mógł, jechał na gród.

Pierwszą, co mu się tu nastęczyła, była Srokicha. Była ona też w tem przekonaniu, że Włast z młodą żoną mieszkał na nowosiedlinach; załamała ręce i padła na ziemię, gdy jej chłopak powiedział, co się stało... i jak go w lesie zostawił.

Widywała ona tego gołąbka swojego z Dobrosławem, doradziła do niego iść. Sama przodem poszła się dobijać.

Dobrosław zrazu nie mógł zrozumieć nic, wierzył bowiem w to, że Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zwołała Jarmierza, odkryło się wszystko i Dobrosław

pobiegł naprzód do knezia, a wprędce potem siadł na konia i popędził w las.

Zastali Własta uśpionego jeszcze, osłabłego tak, że mowę był utracił, psa u nóg jego i ciszę wśród lasu. Klął Dobrosław nad nim, obejmując biednego, a docuciwszy się, inaczej go do grodu wieźć nie mógł, jak między końmi na rozwieszonych opończach.

Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. — Wprawdzie życia iskierka tlała w nim i blada twarz męczennika uśmiechała się łagodnie, lecz siły były wyczerpane.

Gdy na Krasnejgórze Luboń swą czeladź, posądzoną o wspólnictwo, siec kazał i sam w pogoń potem leciał naoślep, w stronę zupełnie przeciwną, Dobrosław z Jarmierzem bezpiecznie dojechali na zamek i złożyli w izdebce u wrót na dworcu kniehini Górki chorego, którego Srokicha pilnować i leczyć się obowiązywała. Jarmierz też został przy nim.

Stara znała się na ziołach i szczęściem, z opisu domyśliwszy się zimnicy, gorzkich mu nagotowała.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tem, co się stało, kneź wysłuchał go, jak zwykle, nie dając żadnej oznaki ani zdumienia, ani oburzenia. Kazał Własta wziąć na gród i wieczorem, namyśliwszy się, wysłał komornika po Lubonia.

Ale tego w domu nie było: biegał po okolicy, szukając śladów, nie przyznając się do niczego więcej, tylko do ucieczki Jarmierza.

Trzeciego dnia dopiero wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, żeby się do knezia stawił natychmiast. Sił miał niewiele, lecz rad nierad, jechać musiał.

Dano znać Mieszkowi o przybyciu Lubonia; wyszedł doń z twarzą pogodną i pozdrowił go napozór łaskawie.

— Coście to pewnie na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? — spytał. — A no, jak się mu tam dzieje?

Stary zabełkotał.

— Miłościwy panie — odparł głosem ochrypłym — wiele mnie nędzy spotkało... Zmarła matka, córkę mi porwano bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, uszedł, okradłszy mnie, pewno kędyś do Niemców...

— Czasby ci z nowosiedlin syna do domu z niewiastką sprowadzić — odparł Mieszko — mielibyście pociechę.

Luboń zmilkł; dławił go gniew.

— Ja waszego Własta polubiłem. Choć do wojny się nie zdał, ale rozumny człek do rady... i milczeć umie... Żoną się on już nacieszył, poślijcie poń... bo mi go potrzeba... do Czech go wyprawię...

Luboń się zmieszał, spuścił głowę, opadły mu ręce. Szukał w myśli sposobu, jakimby wyszedł z kłamstwa

Mieszko stał ze swym zwykłym dumnym uśmiechem.

— Co, wam to nie po myśli? — spytał.

— Miłościwy panie, co mam kłamać dłużej. Nieszczęście się stało — niema syna.

Stary zakrył sobie twarz rękami, ale wprędce odsłoniwszy ją, dodał:

— Choćbym go miał — zgubiony on dla mnie... Niemcy go ochrzciły... na swoją wiarę. Znać go nie chcę...

— Wyrzekacie go się? — spytał Mieszko.

— Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha, niż ojca. — Bodaj sczezł.

Kneź popatrzał nań z uwagą...

— Luboń — rzekł — z dzieckiem macie prawo czynić, co chcecie. A to u nas teraz chrześcijany się mnożą codzień... trzeba nam to cierpieć — nie damy rady... Boga mają znać silnego, bo nasze mu się obronić nie mogą...

Wymówiwszy te słowa, kneź głową skinął i wyszedł...

Luboń, który dłużej tu nie myślał pozostać, wysunął się ze dworu, nie wiedząc, jak na koń wsiadł i dojechał do Krasnego dworu.

Nigdy pono niewiasta, do dziecka przywiązana, nie

była w przykrzejszem położeniu nad starą, prostą, poczciwą, ale do swojej wiary przywiązaną Srokichę.

Jarmierz, który patrzał na męczeństwo, cierpliwość i stałość Własta, był już nawpół jego przykładem nawrócony. Zaczynał czuć, że ten Bóg, co dawał taką siłę, musiał być potężnym... Przed starą więc piastunką nie utaił powodu, dla którego Własť uległ takiemu prześladowaniu.

Srokicha przeraziła się tem... nie straciła serca dla swojego gołąbka, ale myślała jak ojciec, że go należało do dawnych bogów nawrócić... Pomiędzy ludem straszliwe chodziły wieści o tej wierze nowej, pełnej surowości, umartwień, poddającej człowieka najstraszniejszej niewoli... Srokicha płakała rzewnie nad swym wychowankiem, ale krzątała się około niego skutecznie...

Napój, jadło, powietrze, spoczynek — może dzielniej od jej leków poskutkowały. Własť trzeciego dnia mógł już uklęknąć i modlić się, a pierwszym jego ruchem było dziękczynienie Bogu i rzewna modlitwa.

Jarmierz i stara mamka, ujrzawszy go zatopionego w tym zachwycie łzawym, od którego oderwać go nie mogli, przerażeni byli... Srokicha utrzymywała, że Niemcy urok na chłopca rzucili i że go odczynić potrzeba. W duchu postanowiła, sama nie czując się tak bardzo biegłą w tej sztuce, postarać się o najmądrzejszą babę, aby czar i uroki odegnała...

Gdy Własť powoli do zdrowia przychodzić zaczął, i ciągle będąc z Jarmierzem, wszystek czas swój obracał na nauczanie go i nawracanie, Luboń, wróciwszy do domu z gniewem i bólem, zaniemógł i legł złożony chorobą.

Natychmiast posłano po baby, aby mu radziły... Lecz stary i nic przyjmować nie chciał i życie miał już w obrzydzeniu; przystępu prawie nikomu nie dając do siebie, leżał to senny, to nieprzytomny.

W domu tymczasem działo się, co się zwykle wśród grozą trzymanej służby dzieje, gdy swobodę uzyska... szalała czeladź, puściwszy sobie cugle...

Rozeszła się wieść po sąsiedztwie o chorobie starego, ale nikt się nie chciał wdawać w nieswoje. Stary dogorywał, otoczony babami, które, rozpędzić się nie dając, nakadzały go, kropiły, zamawiały chorobę napróżno... Wreszcie ktoś z sąsiadów dał znać na gród, że w Krasnejgórze, na bezpańskim dworze, parobcy rwą całe mienie i dwór niemal roznoszą...

Włast już wstawać poczynał, gdy Srokicha z tem wpadła...

Nie o mienie szło synowi, ale o obowiązki dziecięcia. Czuł się niemal winnym tego nieszczęścia, które rodzica spotkało, i zerwał się nagwałt powracać do Lubonia. Napróżno i Dobrosław i Jarmierz błagali go i strzymywali, chciał, wyrwawszy się, iść pieszo: dano mu konie. Jarmierz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem, zawstydzony męstwem jego, powiedział, że go nie opuści. Siedli więc na konie i pośpieszyli do Krasnejgóry...

Już zdala, dojeżdżając do dworu, można było mieć wyobrażenie, co się tam dziać musiało. Stary leżał, dogorywając, a czeladź z dziewczętami w lasku pode dworem pląsy wyprawiała, i śmiechy a śpiewy pijane rozlegały się dokoła... W podwórzu poroztwierane wrota, ślady spustoszenia i łupieży, we drzwiach kupa starych bab, gwarzących nad kadzią piwa i miskami kaszy i klusek... Wszyscy niemal napół pijani, spotykali przybywających...

Jarmierz został w podwórku, aby natychmiast ład jakiś starać się zaprowadzić, a Włast wszedł do izby...

Na niskiem posłaniu leżał stary, wychudły, z osłupiałemi oczyma, z obnażoną piersią, dysząc z trudnością... Oddech chrapliwy i ciężki słychać było zdaleka... Gdy Włast wszedł, zdawał się już nie wiedzieć nic i nie poznawać go; leżał, jęcząc, nieruchomy... Syn przykląkł przy nim, zlekka ujął rękę i pocałował... Luboń drgnął, oczy, stojące nieruchomie, poruszyły się, usta otwarły, — spojrzał i pierwszym znakiem oprzytomnienia było, że dłoń wyrwać usiłował...

Słabym głosem zawołał pić — Włast znalazł ku-

bek i z troskliwością dziecięcia przychylił napój do spiekłych ust chorego, który chciwie pić zaczął.

Orzeźwiło go to na chwilę, — oczyma powiódł po ścianach i zatrzymał je na synu długo. Zdawał się zdumiony. Zamknął powieki, otwarł je powtórnie, i przymrużył jeszcze...

— Włast! — rzekł pocichu — upiór!

— Syn twój, ojcze mój.

Luboń nie odpowiedział nic, oczy mu się przymknęły — usypiał...

Całą noc Włast przesiedział tak u łoża, służąc ojcu, który tylko wody żądał i więcej nie mówił nic... Usypiał, przebudzał się i znowu sen go morzył.

Nadedniem sił mu trochę przybyło: dojrzał siedzącego u nóg syna i mruknął:

— Włast!

— Jestem — ojcze mój...

Starzec niedowierzająco powtórzył raz jeszcze pytanie, usłyszał tę samą odpowiedź i począł się w niego wpatrywać.

— Gdzie byłeś? — zapytał Luboń.

— Leżałem chory, na grodzie...

— I wróciłeś tu?

Włast ukląkł.

— Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo... ojcze mój, jam musiał posłusznym być Bogu...

— Bogu! Bogu! — zamruczał Luboń, jakby myśli zbierał; po chwili rzekł osłabłym głosem:

— Mocny Bóg! wielki Bóg!

— Ojcze mój, i dobry to jest Bóg i łaskawy...

Starzec się zadumał; widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreszcie... Łzy mu się z powiek potoczyły i oschły na spalonych policzkach...

Długo znowu trwało milczenie; Włast, choć słaby, służył ojcu z troskliwością niezmierną...

Duma poganina nie dozwalała mu powiedzieć dziecku własnemu ani, że czuł się winnym, ni, że mu przebaczał, lecz nie okazywał gniewu, gdy Włast, pocichu mówiąc, starał się go pokrzepiać i natchnąć nadzieją;

słuchał go z chciwą ciekawością. Słowo miłością natchnione działało.

Właśt, jako chrześcijanin, nie mógł się zbliżyć do chorego ojca, nie myśląc o jego nawróceniu. Zdało się to niepodobieństwem, lecz Luboń o tym dawniej nienawistnym Bogu chrześcijan słuchał teraz cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn pokorny i miłosierny.

Tymczasem życie uchodziło ze złamanego starca... myśl się stawała jaśniejszą, odzyskiwał przytomność, ale siły tracił. Napoju przyjmować już nie mógł, oddech się stawał cięższym, usta zaniemiały, oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele... W tych godzinach ostatnich Właśt o Bogu swym mówić mu zaczął, malując żywemi wyrazy Jego potęgę i łaskawość, i cuda, jakie czynił, i życie wieczne, które dawał...

Starzec nie spuszczał z niego oczów, a gdy Właśt, zebrawszy się na odwagę, zapytał go, czy chciałby wiarę przyjąć — odpowiedział mu skinieniem głowy.

Z niewysłowioną radością Właśt pokropił chorego wodą, chrzcząc go w imię Boga jedynego, któremu dziękował za to, że pierwszym owocem apostolstwa był — najbliższy mu krwią rodzic jego. Odmówił potem modlitwę, której konający słuchał z wytężoną uwagą; był to Ojcze nasz słowiański.. Z ostatniem Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła.

Właśt z piersi własnej zdjął krzyżyk i położył go umarłemu w rękach, które stężały. Objąwszy ten znak Zbawienia, klęknął potem i modlić się zaczął.

Na modlitwie zastał go Jarmierz, który w zburzonym domu w ciągu tego czasu ład na nowo zaprowadził i czeladź grozą do posłuszeństwa przymusił.

Szło teraz o pogrzebanie zwłok starca chrześcijańskim obrzędem. Naówczas już obyczaj palenia zwłok, chociaż się utrzymywał, nie był obowiązującym. Wielu przykładem sąsiednich chrześcijan, woleli mniej kosztownie grzebać zwłoki. Składano je wszakże na uroczyskach, zgliszczach i polach wśród lasów, gdzie dawniej były żalniki...

Właśt nie mógł pogrzebu uczynić uroczystym, boby musiał zachować przy nim stare obrzędy pogańskie; poświęcił więc część lasku za domem jako „rolę Bożą“ dla przyszłych chrześcijan, i tam w cichości, jednego Dobrosława tylko uprosiwszy, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie z obawą, i nie bez przeczucia dalszych następstw, jakie ściągnąć miało to postępowanie, które ludzie sobie inaczej tłumaczyć mogli.

W istocie wszystek tłum, który rachował na stypę, ucztę i przyjęcie, zawiedziony w nadziei, począł szemrać, że syn, mszcząc się na ojcu, jak psa go pocichu rzucił gdzieś w dół, nie uczyniwszy ofiary i nie sprawiwszy tryzny.

Od czeladzi dworskiej począwszy, szemrali wszyscy, na Właśta patrząc mściwie, a przyjaciele starego Lubonia odwracali się od niego, znać go nie chcąc i odgrażając się.

Część tej niechęci spadła także na Jarmierza, który Właśtowi był posłusznym i okazywał uszanowanie.

Nazajutrz po cichym tym pogrzebie pusto i smutno było na dworze w Krasnejgórze... Jarmierz chodził z głową zwieszoną i źle jakoś wróżył o przyszłości... Czeladź wprawdzie musiała być posłuszną, lecz posępnemi oczyma patrzała na nowego pana, którego między sobą palcami, jako zdrajcę i odstępcę, wskazywali. Nie strwożyło to Właśta, który postanowił w miejscu pozostać, i niebardzo się tając z wiarą nową, starać się o jej rozszerzenie.

II.

Niepokój szerzył się po kraju, chociaż nic go jeszcze nie usprawiedliwiało. Po lasach i osadach powtarzano sobie cicho, że Mieszko starą wiarę chce zagubić, — a kneź nie czynił nic przeciwko niej jawnie.

Na dworze zjawili się ludzie jacyś nieznani, podejrzani, którzy się z kneziem zamykali, naradzali, przy-

chodzili i znikali znowu... Mieszko zaczynał się swoich ulubienic pozbywać; kilka z nich naprzód wyswatano wojskowym, którzy je z dobrem wianem pozabierali, pozostałej reszcie kneź dozwolił szukać sobie mężów, lub odejść do rodziny.

Dwór tymczasem na nowo, a wspaniale urządzać kazano i rzemieślnicy w nim pracowali. Choć nie mówił nikt i nie tłumaczył, co to oznaczać miało, domyślali się wszyscy. Mówiono półgłosem o prędkiem przybyciu czeskiej kniehini.

Sydbór tymczasem z polecenia Mieszka ludzi ściągał, zbroił i siłę gotował, jakby do wojny, choć na granicy dosyć było spokojnie. Starzy głowami potrząsali, rozumiejąc może, iż ta siła wielka nie przeciw nieprzyjacielowi się sposobiła, ale dla bezpieczeństwa w domu.

Warga też i inni wróżbici radzili pokorę i czajenie się, aby nadaremnie co lepszego z ludu nie ginęło. Po lasach nocami trwały ciągle narady; wiedziano, co się na zamku działo, lecz nikt nie mógł z pewnością powiedzieć, co i kiedy tam czynić zamierzano, bo Mieszko się nikomu nie zwierzał i nie zmieniał postępowania swojego.

Tylko jednego dnia z chramu Jessego na grodzie wszystek skarb wojenny, który tam był złożony, i stanice z bóstwami sam Mieszko, poszedłszy do gaju świętego, przy sobie zabrać kazał do dworu i zanieść do swojego skarbca. W chramie pozostał tylko stary posąg i to, co przy nim zawieszone było.

Dlaczego to uczyniono, nikt nie wiedział... Starzy stróże świątyni stali, patrząc, mówić nic nie śmieli. Koszami ogromnemi wynoszono naczynia, sztaby, blachy, kruszec wszelki i oręże. Gdy na rozkaz knezia komornicy jego wzięli stojące za posągiem stanice święte, gdy i te na dworzec poniesiono, oczy starych wróżbitów zaszły łzami, ścigali je wzrokiem, aż póki, pod dach wniesione, nie znikły.

Z tych, co byli na straży u chramu, żaden się odezwać nie śmiał, — żaden zapytać, — obawiano się Mieszka. Lecz stłumiony gniew gorszym był może od

jawnego. Gdyby wybuchnął, kneźby go w pierwszej chwili poskromił, — wolałby był widzieć płomię i zalewać je, niż czuć pożar podziemny, który nie wiedzieć gdzie i kiedy mógł nagle zaświecić łuną.

Pomiędzy narodem wrzenie było wielkie; Warga i inni uśmierzali je i czekać kazali; mówili: — Nie czas... ludzi gotowych na wszystko ma nadto, — przyjdzie godzina...

Zwolna co było potajemnie chrześcijańskiem w kraju, co się dawniej z tem kryło, teraz poczynało coraz jawniej występować. Ochrzczeni śmielej podnosili głowy; omijano ich, lecz nikt nie śmiał się przeciw nich porywać.

Wiedzieli wszyscy, że Włast na Krasnejgórze, w komorze tej, w której zmarł ojciec jego, urządził był ołtarz i rodzaj kaplicy. Była ona zamkniętą i dopuszczano do niej tylko tych, co już chrzest przyjęli, a do progu tych, co się do niego przysposabiali; lecz służba ciekawa przez szpary zbadała, że tam stał stół nakryty z krzyżem, dwoma świecznikami i kielichem w pośrodku... naczynie miedziane z wodą i rozmaite przybory, których użytku nie rozumiano. Złocistą deskę na ołtarzu pokazywano jako Boga, do którego się chrześcijanie modlili.

W pewne dnie zjeżdżali się różni ludzie zdaleka i odprawiało się tu coś tajemniczego, bo choć Jarmierz stał na straży i zbliżyć się nie dozwalał czeladzi — podsłuchano śpiewy zdala.

Ukryci w krzakach starzy dziadowie wróżbici zapamiętywali twarze i nazwiska tych, co tu przychodzili i przyjeżdżali, na przyszłą zemstę ich znacząc...

Nie porywano się jeszcze na nich jawnie, lecz wszyscy ci nowi chrześcijanie na śmierć skazani byli, a dwory ich na spalenie.

Jedna z rodzin najdawniej nawróconych, Pomianów, straciła już była najstarszego, głowę domu, którego w lesie niewiadoma ręka doścignęła. Znaleziono go z włócznią w piersi, martwego na rozdrożu, a włócznia

w piersi krzyżyk mu wbiła. Dwa razy pod dwór podłożony ogień ledwie zawczasu ugasić zdołano.

Dobrosławowi zgorzały jego stodoły i szopy, a nikt nie umiał powiedzieć, skąd w nich ogień powstał... Jarmierz nocy nie dosypiał, lękając się o Krasnogórę.

Widocznie złośliwe ręce jakieś podrzucały płomień, poiły bydło wodą zatrutą, wyrządzały szkody w polach... Lecz winowajcy znaleźć było niepodobna.

Tak z jednej strony Mieszko wydawał potajemnie wojnę starej wierze, a ona z pokorą pozorną broniła się, nie podnosząc głowy.

Na grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud orężny zbierano, a po uroczyskach w puszczach, na osamotnionych horodyszczach schodzili się nocami wróżbici i gęślarze na ciche narady... Nikt jawnie nikomu nie wypowiadał jeszcze wojny, a wszyscy czuli ją i sposobili się do niej.

Jednego dnia komornik wezwał Własta do knezia... Porzuciwszy dwór swój na opiece Jarmierza, pojechał posłuszny. Na wstępie powitał go Dobrosław i poprowadził do swej komory, z twarzą wesołą prawie.

— Mój ojcze — rzekł, — cieszcie się. Nadchodzi i dla nas godzina wyzwolenia! Mieszko walczy jeszcze z sobą i ze starem w sobie pogaństwem, ale nareszcie ulegnie. Dubrawka przybywa wkrótce.

Tu wskazał ręką ku gajowi świętemu i chramowi.

— Tam, gdzie dziś bałwanom jeszcze lud się kłania, — stanie świątynia prawdziwego Boga. Mieszko zwleka, skłania się sercem i żal mu starego nałogu, wyuzdania i swobody, w jakiej żył; jednego dnia naszym już jest, drugiego poganinem znowu. Przecie zwycięża w nim dobra wola. Reszty wpływ kniehini dokona. Nie chce on jawnie wystąpić przeciwko starym błędom, lecz daje nam swobodę nawracania. Was jednego mało... więcej duchownych nam potrzeba... skąd ich weźmiemy? Niemców naród nie cierpi, choćby mu zbawienie przynosili, to z ich rąk je odepchnie. Czesi w domu mają dosyć do czynienia.

Trzeba nam męża, coby powagą, wiekiem, nauką,

świątobliwością i kneziowi i nam przodował a wiódł: męża doświadczenia i ducha wielkiego.

Dobrosław złożył ręce, jakby w zwątpieniu... Włast, a raczej ojciec Matja milczał pokornie.

— Byliście długo między Niemcami, którzy ze Słowiany graniczą, są tam kapłani naszego języka świadomi? Kneź, który was wezwał, nic wam nie powie, tylko byście na zwiady nad granicę jechali i języka się starali dostać; — a ja mówię wam, przyprowadźcie z sobą kapłana, któryby owczarni przyszłej mógł być pasterzem.

— Ciężkie brzemię wkładacie na moje słabe ramiona — odezwał się ojciec Matja. — Pocieszam się tem tylko, że nie ja, niegodny sługa Boży, ale Duch święty wybierać będzie tego, którego zechce postawić na świeczniku. Gdybym do ziemi latyńskiej mógł iść, a! stamtąd, z Rawenny lub Rzymu, przywiódłbym apostoła; lecz za długo nań czekaćby musieli.

Szeptali jeszcze, gdy Dobrosława pozwano do knezia, a ten z sobą Właста poprowadził; Mieszko się go znać spodziewał i łaskawie mu się uśmiechnął.

— Potrzebny nam jesteś — odezwał się — od granicy coś się rusza... Gero czy jego następca gotuje się na nas. Trzeba wypatrzeć, co oni tam sposobią, abyśmy w gotowości byli. Jedźcie, patrzcie i wracajcie. Język i obyczaj ich znacie.

Włast się do kolan mu skłonił.

— Miłościwy panie — rzekł — spełnię rozkazanie wasze, ile sił starczy.

— A w podróż ludzi i co potrzeba Dobrosław wam dostarczy ze skarbca mojego — dodał Mieszko.

Nie dano Właстowi nawet tyle czasu, by do domu mógł powrócić; ludzi i konie, szaty i zapasy kazano wydać skarbowe. Tak niespodzianie znalazł się młody kapłan przed podróżą, która niebezpieczeństwy groziła, choć kilka godzin wprzódy wcale o niej nie myślał. Lecz, że sprawa wiary się z nią łączyła, nie zawahał się na chwilę. Nazajutrz dodnia musiał wyruszyć.

Wieczorem Srokicha, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszyła do swego gołąbka, chociaż od czasu, jak się w nim domyślała chrześcijanina, mniej dlań była czułą i z pewną doń przystępowała obawą. Miłość dla dziecka walczyła z odrazą do chrześcijaństwa. Stara spłakała się, mówiąc o losach Hoży, Lubonia, a nawet Dobrogniewy, której teraz żałowała, choć ta za życia niegdyś ciężką dla niej była.

Właśt pytany, nie przyznał się jej, dokąd jedzie, nie mogąc zdradzić tajemnicy, — ale we dworze wiedzieli wszyscy, iż się w jakąś podróż wybiera.

Ani zbyt licznym, ni zbyt szczupłym pocztem nie mógł wyruszyć nad Łabę. Czterech ludzi, którzy z Niemcami nieraz się już widzieli i u nich byli w niewoli lub na szpiegach, dobrano mu do orszaku.

Czasu niewoli swej Właśt przebywał dosyć długo u niemieckiego wojaka, który tu z Frankonji przywędrowawszy, osiadł na zameczku nad Łabą i rycerstwem, a raczej łupiestwem na Słowianach się zabawiał. Była to prawa ręka Gerona, owego strasznego Serbom i Polanom markgrafa, który tyle krwi przelał niewinnej, a zwano go Gozbertem.

Takich ludzi jak Gero i Gozbert potrzebowali cesarze niemieccy do tej walki zajadłej z pogany, którą wiedli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za pozór dobry służyło.

Teraz też zamyślał znowu udać się do niego, skąd łatwiejby mu już było do Quedlinburga jechać, szukać kapłana a pasterza...

Zameczek Gozberta sterczał na samej granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść wypadała za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców.

Burg Gozbertów, na cyplu między dwiema rzekami wystawiony, szczupły dosyć, ale uchodzący za niezdobyty, zwał się po słowiańsku Uściem; Niemiec go przerobił na Adlerburg. Dokoła tego gródka, wyjąwszy osadę u stóp wzgórza rozciągniętą, z samych Niemców złożoną, pustynia była szeroka. Niktby w sąsiedztwie

Gozberta i jego hałastry nie wytrwał, nie mogąc ani mienia, ani życia, ani dzieci, ni sług być pewnym.

Pachołkom pańskim tak czasu pokoju, jak czasu wojny wszystko było wolno. Nie poszanowali własności niczyjej, ani żadnego prawa... Sam stary pan i jego synowie, Dodo i Berto, z trudnością mogli ich w karbach utrzymać.

Bywały wypadki, że dla przykładu i wieszać i ścinać musiano, dawszy się tylko wyspowiadać, aby na tamtym świecie rachunek znaleźli skończony. Trafiało się, że ci apostołowie po drodze rabowali przez omyłkę kościoły, i w klasztorach nie szanowali klauzury zakonnic. Gdy publiczna pokuta w kościele, i bosy pochód ze stryczkiem na szyi nie pomógł raz i drugi, musiano wkońcu uciec się do miecza...

Gozbertowi ludzie sławni byli na okolicę, a w bitwach dobrze zbrojni i wdrożeni, okrutną rzeź sprawiali; jednakże woleli zawsze napadać na bezbronne osady, w których swobodniej mogli dokazywać.

Pomimo rodzaju życia, jaki wiódł sam pan i jego słudzy, on i oni nadzwyczaj byli pobożni. W tych czasach, im kto więcej grzeszył, tem czuł się do większej obowiązanym gorliwości i surowości względem drugich i siebie. Gozbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkiem, a święta, posty i kościelne uroczystości z nadzwyczajną surowością sam obchodził i dopilnowywał, by je wszyscy szanowali. Nieraz w wigilją dnia najstraszniejszej rzezi i rozpusty, rano wszyscy spowiadali się pobożnie, słuchali mszy i dopiero wziąwszy błogosławieństwo, szli na łupieże i morderstwa.

Wierząc w to poszanowanie Gozberta dla duchownych, Włast jechał wprost do niego, ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wreszcie to, że konie i ludzie, jakich miał z sobą, niepozorni byli, i chciwości obudzać nie mogli...

Rankiem wyjechawszy z lasów, przed południem zbliżyli się ku burgowi, u którego stóp pokazała się nędzna mieścina, prawie cała z drewnianych domków złożona. Ponad nią wyżej nieco wznosił się kościelny

dach śpiczasty z krzyżykiem. Na drodze krytej, wiodącej do zamku, widać było zwijających się ludzi konnych i pieszych, co Włastowi czyniło nadzieję, że Gozberta zastanie spoczywającego w gnieździe. Byli jeszcze o stai kilkoro od wzgórza, gdy trzech konnych puściło się ku nim ze psami. Byli to Dodo i Berto, synowie pańscy, swawolący sobie i dokazujący z końmi, których wzięła ciekawość dotrzeć do orszaku przybywających nieznanych ludzi.

Dodo, który był jednego wieku z Włastem i pamiętał go jeszcze z tych czasów, gdy się nad nim jak nad niewolnikiem znęcał, poznał zaraz dawnego towarzysza i wielkim go przywitał okrzykiem.

Włast zsiadł z konia, chcąc sobie pańskiego syna ująć grzecznością, lecz Dodo przypomniał w nim duchownego i z poszanowaniem pewnem zbliżył się do niego...

— Jakżeż się tu zabłąkałeś, ojcze Matjo? — zapytał zawsze śmiejący się, gruby już i otyły niemal jak ojciec młody Dodo... Czy cię twoi poganie precz wygnali?

— Jeszcze nie, miłościwy grafie — odparł Włast.— Przybyłem z dobrej woli wam i miłościwemu ojcu waszemu, grafowi Gozbertowi, się pokłonić...

— Jedźcież ze mną, rad wam pewnie będzie. Właśnie u nas dnia jutrzejszego w kościele nabożeństwo; duchownych kilku sprowadzono na nie, zdacie się i wy ze mszą świętą — rzekł Dodo... — Ojciec teraz z panami duchownymi obiaduje wesoło, chociaż to dzień postny; — ale przy rybach miód i wino potrzebne!...

Dodo i Berto, konie swe powściągnąwszy, jechali, tak rozmawiając, na zamek razem z Włastem, ale dostawszy się na stromą drogę, wiodącą do bramy, nie wytrzymali wolnego kroku i rzuciwszy podróżnych na zmęczonych wierzchowcach, sami w cwał, na wyprzódki puścili się na górę... Nierychło po nich, gdy już pozsiadali, Włast wdrapał się do wrót, które na podwórzec, stajniami i szopami otoczony, prowadziły.

Na prawo i lewo wąskie drzwi wiodły do komnat

pańskich, których rozporządzenie z dawniejszych czasów dobrze Włastowi znanem było. Tu zsiadłszy z konia i kilka słów Sulinowi szepnąwszy, Włast udał się w prawo, aby starego grafa pozdrowić... Poprzedzili go już z oznajmieniem dwaj synowie...

Na pierwszem piętrze, na które wiodły wąskie i ciemne wschody, w niezbyt obszernej salce, której strop z olbrzymich poczerniałych, rzeźbionych belek był złożony, za stołem zastawionym cynowemi kubkami i dzbanami, siedział właśnie stary graf, otoczony gośćmi swoimi. Obiad był już skończony, a kości od ryb pozostałe na miskach świadczyły, iż post był ściśle zachowany... a po twarzy Gozberta, zarumienionej silnie, poznać też było można, iż do dzbanka zaglądał.

Z prawej strony siedział w czarnej sukni duchowny z włosem siwym i twarzą poważną a surową, za nim drugi, młodszy od niego, w którego oczach połyskiwały rozum i życie jeszcze walką niewyczerpane... Oba mieli na piersi na łańcuchach krzyże złociste... Opodal nieco młodziuchny w sukni także kapłańskiej, z twarzyczką jeszcze zaledwie rozkwitłą, z oczyma spuszczonemi skromnie, pokornie, małe miejsce zajmował, jakby jak najmniej chciał być widocznym...

Po lewej ręce Gozberta, rozparty butnie, napół leżąc na stole, w kaftanie skórzanym, z ogromnym wąsem, z włosem czarnym najeżonym, z dumą na czole i w oczach, siedział rycerz, jakby tylko co ze zbroi rozdziany, spoglądając po towarzyszach swych z lekceważeniem. Za nim jeszcze, podobna mu, ale pokorniejsza postać wojaka tuliła się w cieniu pod ścianą... Dwaj synowie grafa stali, tylko co powróciwszy, przy ojcu.

Przez ciasne okna z zabudowanego podwórza światło mało co wpadało do izby, która wyglądała smutnie. W głębi jej niezgrabny, szeroki, nadzwyczajnych rozmiarów komin od jesiennego chłodu nałożonym ogniem obraniał. Pod jego kapturem kilku rycerzy pomieścić się mogło wygodnie.. Para kłód suchych dogorywała w jego głębi...

Na jednej ze ścian komnaty widać było olbrzymi krucyfiks drewniany, odziany do kolan białą koszulą, którego włosy rzeźbiarz, zwątpiwszy o dłócie, zastąpił ludzkiemi... Straszna ta postać, nieforemnie wycięta, w istocie bolesne czyniła wrażenie. Na innych ścianach pomalowane były, z niewielkim kunsztem jaskrawe kwiaty i liście, wśród których zaledwie dostrzec się dawały ludzkie jakieś postacie... Pod ścianami stały ciężkie ławy stare, z dębu wyciosane i skrzynie do siedzenia zamczyste. Na nich porzucone płaszcze, pozdejmowane świeżo stroje, odpasane miecze się walały... Kilka psów leżało i chodziło, szukając napróżno po podłodze zwykle im rzucanych kości.

Gdy Właśt przystąpił z pokornym ukłonem do grafa, stary zwrócił się ku niemu swą czerwoną twarzą i uśmiechnął, potem miejsce około duchownych wskazując mu na ławie, zawołał:

— Będziesz, ojcze Matja, między swoimi... siadaj, a jeżeliś głodny, każ sobie co dać — boć się jeszcze może znajdzie, a nim co będzie — napij się... Naczczo to zdrowo... po jedzeniu zdrowo, wśród jedzenia zdrowo, i nigdy nie szkodzi!

To mówiąc, nalał w kubek ze dzbana i prawie gwałtem wcisnął go Właśtowi, który, szepnąwszy cicho, że pije za zdrowie i pomyślność grafa, poszedł zabrać najniższe miejsce za młodym duchownym...

Oczy dwóch dostojników, siedzących wyżej u stołu, ciekawie się ku niemu zwróciły... Pokornie siadłszy, miał czas spocząć i rozpatrzeć się, gdyż rozparty na stole wojak, który na chwilę przerwał był jakieś opowiadanie, natychmiast począł ciągnąć je dalej. Głos jego z głębi szerokich piersi, jak z więzienia wychodzący, brzmiał dziwnie ostro i zdawał się przejęty goryczą jakąś i boleścią. Twarz też wyrażała i dumę i zniechęcenie razem...

III.

Rozmowa między gośćmi grafa Gozberta, gospodarzem i duchownymi toczyła się dalej, nieprzerwana przybyciem Własta, który, ustronne miejsce zająwszy, cicho się jej przysłuchiwał.

Odbijało się w niej to, co podówczas najmocniej Niemców zajmowało: szczęście i wielkie wyniesienie się Sasów, losy Ottona i wspomnienie ojca jego, Henryka.

Rozparty rycerz z twarzą dumną zdawał się lepiej od innych uwiadomiony o wszystkich przygodach cesarskiego domu, do którego krwią i powinowactwem należał, choć, wnosząc z mowy i szyderskich przycinków, niebardzo mu był życzliwym.

— Wy może i nie słyszeliście — mówił sparty na stole — o pierwszej żonie króla Henryka, bo świątobliwa Matylda pamięć tamtej zatarła, ale ludzie wiedzą i pamiętają piękną Hateburgę! Niezawsze nasz cesarski ród tak był kościołowi posłuszny i świątobliwy, jak teraz.

— Czemuż o tem nie mówicie raczej — odezwał się duchowny — jako ten pan nasz wielki, bohaterski, mężny, jakiemu równego cnotą i odwagą nie mieliśmy, potrafił zmóc zbuntowanego syna, zwyciężyć Berengarego i złamać wszystkich nieprzyjaciół swych, a precz odżec Ugrów, państwa granice rozszerzyć i nad Rzymem, stolicą świata, zapanowawszy, cesarską uwieńczyć się koroną...

— Mój ojcze — zawołał Wigman — póki człek żyje, sprawa ta nieskończona... Miłościwy cesarz dwa razy do Rzymu chodzić musiał robić porządek, jednych ze stolicy apostolskiej zrzucać, a drugich na niej sadzać... Kto wie, co jeszcze będzie?

— Niech nas Bóg uchowa, by gorzej lub inaczej być miało! — zawołał graf Gozbert.

Wigman się uśmiechnął chytrze.

— Tu jeszcze na wschodniej granicy dużo do roboty zostało — rzekł. — Czeski Bolko wprawdzie nam

na Ugrów pomógł, ale to była jego sprawa tak dobrze jak nasza, a kto wie, z kim jutro trzymać może?... Nie przysiągłbym, czy z Ugrami na nas on nie pójdzie... Ze Słowiany też, ile ich jest, roboty dosyć i na długo...

Gozbert się uśmiechnął.

— Nie boimy się ich, nie boimy! — Jakeśmy Bolka czeskiego wzięli, tak z pomocą Bożą i Mieszka polańskiego zmożemy...

Wigman się rozśmiał.

— Cny grafie, gospodarzu mój — rzekł — nie godzi się to, abym ja chleb wasz jedząc, wam ościami oczy wykałał... ale ci Słowianie, Polanie, Wilki, Milżyńcy i jak oni się tam zowią, to dla nas dobra rzecz... Są oni jak staw, w którym się ryba rodzi. Gdy Geronowi lub wam na stół szczupaka potrzeba, siędziecie na konie i jedziecie na rybołówkę na pewno... Trzeba wam niewiast, nabierzecie ich sobie do wyboru; trzeba parobków, — i tych dostarczą lasy i osady... tak samo bydła, owiec, i miodu i wszelkiego łupu...

Gozbert się cierpko uśmiechał, a Wigman mówił dalej:

— Mnie się widzi, miłościwy grafie, że gdyby ze Słowiany i Polanami pokój nastał, gdyby się oni pochrzcili i przyszli z pokojem, uczyniliby wam krzywdę niemałą...

— Dałby to Bóg — przerwał starszy z duchownych — aby wiarę świętą przyjęli!...

— Ale cóżby naówczas robił Gero na granicy wschodniej, coby poczynał cny Gozbert, nie mając nic do roboty?... a naostatek może i takiemu jak ja, odtrąconemu od pańskiego oblicza, Wigmanowi oni Słowianie na co się przydali...

Gozbert popił z kubka, wąsa pokręcając zadumany.

— Co się tyczy Słowian wszystkich — rzekł, — nie troskajcie się; do przyjęcia wiary przez nich daleko... W Czechach, gdzie się nagwałt kościoły budują, po lasach tak ofiary sprawiają, jak dawniej, lud

stoi przy swoich drewnianych bożyszczach i niełacno je porzuci...

Właśt, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec cicho.

— Da Bóg, że się to odmieni...

Spojrzeli nań duchowni i Gozbert, a z pogardą zdala oczyma zmierzył go Wigman, lekce go sobie ważąc widocznie.

— A jakże się to ma zmienić?... — zapytał Gozbert.

— Nie jest to już tajemnicą żadną, że kneź Mieszko żeni się z córką Bolka czeskiego, Dubrawką, która chrześcijanką jest... Z nią, przy pomocy Bożej, wiara Chrystusowa do nas zawita i rozkrzewi się.

Gdy Właśt wyrzekł słowa — do nas, — z uwagą większą poczęli nań spoglądać wszyscy. Wigman w niego wlepił oczy.

— Kapłanów nam tylko mężnych a gorliwych potrzeba... — dodał Właśt. — Szczególniej takich, coby język ludu rozumieli i przemawiać doń mogli.

— Sto lat upłynie, setki kapłanów zginie... — począł Wigman, — a wy, z waszą dziczą ślepą nie przejrzycie... Słowianin, jak szczenię, ślepo się rodzi, ale pies prędko przeziera, a on na zawsze ślepym zostaje!...

Na te uwłaczające narodowi wyrazy Właśt, zarumieniwszy się, zrazu odpowiedzieć nie umiał cesarskiemu powinowatemu, który z własnego porównania śmiał się sam, bo mu jakoś nie wtórowali drudzy.

— Duchowny jestem — odezwał się Właśt wkońcu — nie przystoi mi nic innego, tylko obelgę znieść i przebaczyć... Miłościwy panie — dodał jakby natchniony — jako od duchownego przyjmijcie to życzenie, aby was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oręża wam przed owymi ślepcami składać nie zmusił...

Słysząc tę odpowiedź, dumny Wigman z oczyma zaiskrzonemi i pięścią zaciśniętą zwrócił się do Właśta.

— Milcz ty, klecho jakiś — zawołał — a dziękuj swej sukni i gościnie tej, że ci na wieki pyska wszetecznego za to życzenie zamknąć nie każę... Wigman

przed cesarzem, bratem swym, nie ukorzy się nigdy... cóż dopiero przed parszywymi, jak wy, poganami...

Mowa ta gwałtowna, nieprzystojna, a niezasłużona znać się nikomu z przytomnych nie podobała, bo wszyscy umilkli; duchowni zaś na Własta spojrzeli, jakby chcąc się przekonać, co uczyni i jak się znajdzie.

— Dziękuję wam, miłościwy panie — odezwał się Włast, — iż mnie cierpliwości uczyć raczycie, a przypominacie naukę Zbawiciela, która uderzonemu w policzek drugi nadstawiać każe. Najnędzniejszy i niegodny sługa Boży, szczęśliwy jestem, gdy cierpieć mogę...

Wigman już prawie odpowiedzi tej nie słuchał, ze dzbana sobie nalał miodu i pić go zaczął chciwie, plecami się potem zwróciwszy do Własta, sparł tak na ręku, by na niego nie patrzał i mógł nawet o przytomności jego zapomnieć.

Czas jakiś panowało milczenie, duchowni wszyscy z pewną ciekawością i poszanowaniem spoglądali na Własta, który, już zupełnie ochłonąwszy i pobladłszy, spokojnie na swem miejscu siedział. Gozbert parę razy nań spojrzał tak, jakby też z odpowiedzi, którą za zuchwałą uważał, niebardzo rad był.

Już też i Wigman i Gozbert, zmęczeni tą rozmową i kuflami, ziewali, wyciągali się i szukali innego przedmiotu, a że nadchodziła godzina nieszpornego nabożeństwa, starszy z kapłanów wstał, prosząc, aby ich do zamkowej prowadzono kaplicy.

Syn grafa Gozberta, Dodo, wziąwszy ze ściany klucze, począł iść, wiodąc ich za sobą. Włast też im towarzyszył.

Zeszli z pierwszego piętra znowu w podwórze zamkowe i dostawszy się aż do końca jego pod stołb, gdy Dodo drzwi mocne dębowe otworzył, znaleźli się w niskiej i ciemnej izdebce, za kaplicę służącej. Z głębi oświecało ją jedno okno, naprzeciw którego ołtarz stał skromny, a przy ścianach ławy i siedzenia dębowe. Taż sama prostota, jak w mieszkaniu, panowała w domku Bożym, który świeczniki miał drewniane tylko i wszystek niemal sprzęt takiż. Chrystus też podobny

wiszący na krzyżu, okryty koszulką, z włosami na głowie, ścianę jedną zajmował.

Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory, a inni mu odpowiadali. Nabożeństwu temu jednak z zamkowej gawiedzi nikt nie był przytomnym, nawet młody graf Dodo do ojca powrócił.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy czterej kapłani, z kaplicy wyszedłszy, a przykrząc sobie znać towarzystwem dumnego Wigmana i zadusznem izby powietrzem, na ławie kamiennej w podwórcu naprzeciw studni usiedli dla rozmowy.

Właśt szczególniej obudzał ciekawość ich i radzi byli dowiedzieć się o losach jego a przygodach.

On też tajenia się przed nimi przyczyny nie miał i na zapytania odpowiadając, całą im swojego żywota historję opowiedział. Naostatek, gdy przyszło do podróży i jej celu, rozgrzany nadzieją uczynienia czegoś dla kraju, powstał Właśt z ławy i złożywszy ręce, jął mówić do starszych kapłanów:

— Ojcowie a panowie moi, do was zwracam teraz mowę moją serdeczną: ażali nie lepiej i nie zgodniej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić, niż burzyć go i niszczyć?... Pragniemy wiary i wołamy apostołów... Z niebezpieczeństwem życia dostałem się tu, ufając, iż dla nowej owczarni, dziś szczupłej jeszcze i maluczkiej, pasterza tu znajdę. Dajcie mi go...

Wysłuchawszy tej mowy, starszy mu odparł, że sam podobne apostolstwo między świeżo ledwie nawróconemi pogany mając w Mysznach, choćby pragnął, oddalić się nie może. Zarazem jednak ku towarzyszowi średnich lat, śmiałego oblicza i pogodnej twarzy się obrócił.

— Ojcze Jordanie — rzekł — językaście Słowian i obyczaju a zabobonów ich świadomi... Ażali wam, miasto spokojnej plebanji, wojownicze pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Milczał ks. Jordan i zadumał się.

— Więcbym miał moje owieczki opuścić na polu, a szukać obcych i nieznanych? — zapytał po chwili z uśmiechem.

— Mój ojcze — odparł Włast — owieczki też wasze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz dla nich się rychlej znajdzie, niż dla tych naszych zdziczałych, które wilcy chwytają na pustyni...

Wprawdzie kneź nasz Mieszko ani sam chrztu jeszcze nie przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwy to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin się odzywa i walczy z rodzącym się neofitą, w Bogu nadzieję mamy, iż zwyciężym ostatni... Przez niewiastę przyszedł grzech na świat — dodał Włast — ale też przez niewiastę przyszło na świat Odkupienie i przez niewiasty wszędzie, jak owe, co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody... I nam ją przyniesie Dubrawka, pani wielkiego męstwa, która się nie lęka rękę nieochrzczonemu podać kneziowi, aby go do chrztu przywiodła.

Ks. Jordan, wysłuchawszy mówiącego Właста, ujął go rękami obiema i dał mu pocałunek braterski, wołając:

— A wieluż was tam jest takich, jak wy... ojcze Matja?

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i dodał:

— Ojcze mój, takich, jak ja, znajdzie się pewnie wielu, a lepszych życzę i spodziewam się... Nabierzcie tylko ochoty do apostolstwa i jedźcie ze mną... jedźcie ze mną...

To mówiąc, ukląkł i za nogi go uścisnął, a powstawszy, mówił dalej.

— Ojcze mój: Niewymowną miłością kocham tych moich braci, zostających w ciemnościach, ten kraj mój odcięty od świata, który wy dzikim zowiecie i pogańskim. Tak... czci on bałwany i światła nie zna, bo mu go nie ukazano... ale, wierzcie mi, żadne plemię może tak usposobionem nie było do poznania i umiłowania prawdziwego Boga... Pradziadowie nasi znali też tylko jedno bóstwo najwyższe, wszechmogące, zabobon natworzył duchy pomniejsze; ojcowie nie znali wielożeństwa... niewiasty nasze niepokalaną sławiły się czysto-

ścią, mężowie gościnnością dla swoich zarówno jak dla obcych... Gdy słowo Boże padnie na tę rolę żyzną, wierzajcie mi, zrodzi ono owoce złote...

— Tak, mój synu — odparł starszy duchowny. — Chcę wierzyć, że cię nie zaślepia miłość ku swoim, — lecz rola ta żyzna chwastem od wieków zarosła, i krwią ją polewać trzeba..

— A cóż czynili apostołowie po odejściu Chrystusa Pana? ażali im nie polecono nawracać narody i nieść światło w najodleglejsze świata końce? — rzekł Włast.

Mrok padał, gdy duchownych wezwano na wieczerzę do grafa.. Zastali tu zastawiony stół rybami i mleczywem ponalewane dzbany, a Wigmana przed ogniem wyciągnionego na ławie... Wszyscy jak z rana pozajmowali miejsca swoje. Starszy kapłan odmówił Benedicte... i poczęła się biesiada zrazu milcząca... Pierwsi do misy sięgnęli Wigman i grafowie, potem duchowni, naostatek szary koniec, Włast i młody kleryk, przy nim siedzący...

Rozmowa nie była jak z rana poważną; Gozbert, unikając tego, nastroił ją wesoło, a choć miał u stołu kapłanów, nie wahał się dopuścić żartów cynicznych. Wigman wszakże nie dał się niemi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zdawał się drzemiącym i pogrążonym. Zamknął się cały w sobie, jakgdyby osnuwał coś potajemnie.

Gdy Gozbert doń mówił, zdawał się nie słuchać.

Tak, mimo usiłowań gospodarza, wieczerza dosyć upłynęła smutnie... Wigman tylko, gdy się psy pod stołem gryźć zaczęły o skorupy od jaja, ości od ryby i resztki jadła, które im rzucano... ozwał się, jak sam do siebie:

— I pies ma pamięć krzywdy, a pragnienie zemsty... jakżeby człowiek miał zapomnieć?

A gdy na mówiącego patrzano, dodał:

— Byłem raz u krewniaka mojego, Arnolda, który nad Bawarją miał władzę: siedzieliśmy u stołu z wielu innymi, gdy do człowieka jednego nagle poskoczył pies, ugryzł go i uciekł. A że nikomu innemu nic złego

nie uczynił, zdziwiło to nad miarę wszystkich... I postrzegliśmy, że człowiek ów drżał cały pomieszany; gdy go naglić poczęto, ozwał się głośno:

— Pies ten wiedział, co uczynił — pana jego, spotkawszy śpiącego w lesie, ubiłem...

Naówczas próżno obronić się go starał, dziś mnie obwinia i zemstę wywiera... i widzę to, że tu lub na przyszłym sądzie wszelki winowajca nie uniknie kary *).

Wychylił potem kubek i dodał jeszcze:

— A Wigman, choćby psem miał zostać, pomści się i ukąsi...

Nierad tej mowie, Gozbert popatrzał groźno na Wigmana, ale dumny krewniak cesarski, nie zważając na to bynajmniej, zamyślił się znowu i tak do końca wieczerzy, na gospodarza już ani patrząc, ani doń mówiąc, pozostał.

W milczeniu pijących porzucili duchowni, i przed północą, dla jutrzejszych mszy, udali się na spoczynek...

Gdy Właśt izby swej górnej, w której mu posłano wraz z klerykiem, okno otworzył, ujrzał w świetle księżyca, na belce z muru wystającej zawieszone ciało jednego ze świeżo wziętych jeńców słowiańskich, którego głowa, opadła na piersi, koniec męczarni zdawała się zwiastować... Okropny ten widok łzy mu na powieki wycisnął...

Na jedno oka mgnienie błysnęła mu wątpliwość — czy chrześcijanie ci prawdziwymi są synami Bożymi?— i wnet, jako grzech, odpychając ją, padł na kolana, aby się modlić.

IV.

W kilka dni później Właśt powracał już ze swej wycieczki — uspokojony tem, iż nie jechał sam.

Obok niego po prawej ręce, w milczeniu odmawia-

*) Ditmar.

jąc pacierze kapłańskie, ks. Jordan rozpatrywał się po kraju, w którego granice już wkroczyli...

Z niemałą trudnością udało mu się go nakłonić. Nie miał nic, czemby go mógł pociągnąć i zachęcić, nie ofiarował mu nic oprócz apostolstwa, widoku walki, a może męczeństwa.

Lecz obok poczwarnych istot, które walki te rodziły, religja chrześcijańska, ilekroć padła na serca czyste, na umysły wielkie, na wybranych — tworzyła z nich ludzi poświęcenia i świętych.

Ks. Jordan był kapłanem już z apostolstwem obeznanym, od młodości w tej pracy zahartowanym. Opowiadał on Ewangelję i po dzikich zakątkach, kędy się promień światła nie wcisnął nigdy jeszcze, i tym możnym nawpół nawróconym, co światło czyste obracali na swój użytek, czyniąc z niego przewrotnego sługę... Wiedział już jak mówić było potrzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, i do tych, co słyszane źle rozumieli.

Mąż był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha niezmożonej — pełen przytem wewnętrznego wesela i spokoju...

Wielka prostota i dobroć łączyły się w nim z rozumem jasnym... Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi do dawnej wiary przywiązanemu, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, nie nagłych a przechodzących, ale powracających i upartych. Uśmiechało mu się jednak być pasterzem trzody nowej i przez siebie samego stworzonej. A po drodze, nim na gród przybyć mieli, starał się zawczasu objaśnić o ludziach i zawiązku tego, co go tam oczekiwało.

Mieszka rad był odgadnąć, a o tym właśnie Włast mu najmniej umiał powiedzieć. Domyślali się go ci, co żyli z nim, — nikt powiedzieć nie mógł, by go znał.

Od granicy już Włast, któremu jego kraj najpiękniejszym się w świecie wydawał, ukazywał go ks. Jordanowi, wychwalając.

Kapłan znajdował go smutnym...

Przerażała go niezmierna ilość kamieni, słupów Trygłowowi i Światowidowi poświęconych, źródeł,

miejsc ofiarnych, dębów i gajów, w których ślady obiat i obrzędów pogańskich napotykali. Świadczyły one o przywiązaniu ludu do swej wiary, przepowiadały niezmierną pracę, jaka tu apostołów czekała.

Lecz Włast szeptał, że gdy wszystkie te miejsca, jak w Czechach, poznaczone zostaną krzyżami i niejako ochrzczone, będą służyć ku opamiętaniu i nawracaniu...

Ks. Jordan musiał zrzucić swą suknię duchowną, wdziać odzież, używaną w kraju, a że języka był świadom, mógł uchodzić za krajowca. Już w drodze rozmawiając z Włastem i jego towarzyszami, starał się swoją serbszczyznę nałamywać na język polański, mniej naówczas daleko od niej różny, niż później się wyrobił...

Powierzchowność nawet przyszłego pasterza, choć wojskową i rycerską nie była, nie raziła niczem nadzwyczajnem, a odznaczała się powagą, dozwalającą go brać za zamożnego władykę.

W ciągu drogi im dłużej obcował z nim Włast, im poznawał go bliżej, tem się więcej rozmiłował w nim, a przekonywał, iż go nie traf ślepy, ale Opatrzność wybrała sama na trudny obowiązek pierwszego apostoła — i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, a mało zbaczając, mogli się wprzód dostać do Krasnejgóry, niż nad Cybinę, Włast postanowił naprzód do siebie zawieźć ks. Jordana, dać mu tam spocząć, i dopiero drugiego albo trzeciego dnia wybrać się z nim na dwór książęcy.

Przyjął tę myśl podróżny, rad będąc, że lepiej pozna kraj, i już zdążali ku Krasnejgórze, o której Włast myślał nie bez tęsknoty i miłości. Wyrzucał sobie nawet to przywiązanie zbyteczne do miejsc, w których przebył dzieciństwo, prawie je grzesznem uważając.

Droga wiodła lasami, już potrosze z liści jesienią ogołoconemi. Z niecierpliwością pewną Włast wyglądał dworu i cieszył się, że poczciwego Jarmierza zobaczy... Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z bo-

ku osłaniał. Włast nie mógł pojąć, dlaczego dworu widać nie było... gdy nagle pobladł i konia wstrzymał, takie go opanowało wzruszenie. Całej siły ducha użyć musiał, aby się zdobyć na wyrazy:

— Bądź wola Twoja!

Stary dwór w Krasnejgórze był zgliszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe niedopalone belki... ogniska kamienne, obalone ściany. Z budowli nie pozostało nic. Pogorzelisko straszny widok przedstawiało... Kilku ludzi błąkało się około niego, a dopiero teraz ujrzał Włast Jarmierza leżącego na ziemi w opalonej odzieży...

Pożar nie musiał być dawny, gdyż choć wygasło wszystko, gdzie niegdzie węgle dymiły jeszcze. Za dworem, ze spalonych szop wypędzone stały trzody, a przy nich siedzieli ludzie, spoglądając ku miejscu, przez które przeszło zniszczenie.

Włast skoczył z konia, a Jarmierz podniósł się z ziemi powoli, podchodząc ku niemu z załamanemi rękami. Zbliżył się też i ks. Jordan...

— Mój Jarmierzu, jakże się to stało? Co było przyczyną? — odezwał się Włast, widząc niemego sługę, któremu rozpacz nie dozwalała ust otworzyć.

Jarmierz obejrzał się ostrożnie.

— Nie wiem... nic nie wiem — rzekł trwożliwie — w nocy ogień się wziął z czterech rogów zagrody — i nie było ratunku. Ocaliliśmy, co się wynieść dało.

Włast nie śmiał spytać o kaplicę... Jarmierz wskazał mu tylko leżące na kupie sprzęty, zapasy, odzieże i broń, między któremi i najdroższy kielich ofiarny się znajdował.

W lasku naprędce sklecony szałas dozwolił spocząć przynajmniej, bo noc nadchodząca do grodu przybycie utrudniała. Resztka zapasów starczyła dla niewymagającego ks. Jordana i gospodarza. Siedzieli milczący, spoglądając na spalony dom rodzicielski, którego ruina Włastowi z oczów łzy wyciskała.

Jarmierz upokorzony był i znękany tem, że pod je-

go opieką zostawione domostwo taki los spotkał. Pocichu zaczął opowiadać, że przed wieczorem dnia tego widziano kilku w okolicy kręcących się dziadów, Wargę i dwóch jego towarzyszów, że przed parobkami od kilku dni odgrażano się puścić z dymem dwór, w którym chrześcijanie się schadzali i swoje składali ofiary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż mściwa ręka podłożyła ogień, a parobcy, podmówieni, ratować nie chcieli, wcześnie jakoś swoje mienie wyniósłszy.

Włast wprędce opłakał swoją stratę i złożył ją jako jedną więcej ofiarę dla wiary, którą przyjął... należało myśleć o odbudowaniu.

Jarmierz już, nie czekając przybycia pana, wysłał z siekierami do lasu... Lecz taż sama ręka nie mogłaż rzucić żagwi i zniszczyć nowego domostwa?

Na to nie zważając, Włast budować rozkazał, postanowiwszy w duchu pierwszą izbę dokończoną poświęcić jako kaplicę Bogu — i uczynić ją domem modlitwy.

Smutny był nocleg ten pod szałasem, na modlitwie w części i na cichej rozmowie z Jarmierzem spędzony. Od niego dowiedział się Włast, że gdy płomię buchnęło, i gdy od niego nad całą okolicą rozgorzała łuna, którą i nad Cybiną widać było, przypadli komornicy wysłani od Mieszka na zwiady, i pomagali do ratunku. Kneź więc zawiadomionym był o stracie, jaka spotkała Właста.

Nad rankiem, odprawiwszy pacierze, dwaj duchowni ruszyli z tych zgliszczów ku Poznaniowi i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowo zaciężnych opatrywali i liczyli. Wszystko się tu zdawało przysposabiać, jak do wojny...

Ruch był na zamku wielki. Przyciągały oddziały jedne nieuzbrojone jeszcze, drugie z dowódcami odchodziły. Broń dobywano ze skarbców, liczono się z jej zapasami w Gnieźnie nad Cybiną, po innych gródkach Mieszkowych.

Zdala już bystre oko pańskie poznało przybywającego Właста i mały orszak jego, policzyło znać lu-

dzi i postrzegło nieznajomego w tej kupce. Zaledwie z koni zsiąść czas mieli, gdy Mieszko nadszedł z twarzą jak zawsze spokojną i wesołą. Nie spojrzał nawet na ks. Jordana, jakgdyby go widzieć nie chciał, i ozwał się zdala do syna Lubonia:

— Dobrze się stało, że starego dworu pozbyliście się — napół był już spróchniały. Musicie już wiedzieć o tem.

— Tak, miłościwy panie.

— Nie frasujcież się, stanie nowy... idźcież do Dobrosława...

Skinął ręką, a sam do Sydbóra powrócił; ks. Jordan, pilno mu się przypatrujący, nie rzekł słowa i poszedł za swym przewodnikiem. Dobrosław też, najrzawszy ich, śpieszył naprzeciw i zabrał ze sobą do izby, gdzie się swobodniej rozmówić mogli.

Gdy weszli do niej, a drzwi się za nimi zamknęły, Dobrosław rękę ks. Jordana ucałował i posadził na pierwszem miejscu, a sam zwrócił się do Własta z ubolewaniem.

— Kneziowscy ludzie — rzekł cicho — wysłani stąd na łunę, w powrocie z Krasnejgóry pochwycili w lesie dwu dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przyciągnięto ich tu na gród i posadzono do ciemnicy... a kneź, choć się waha i wzdraga, pono dla przykładu da ich obwiesić obu... Lecz, że lud ich szanuje, a narodu drażnić nie chce... nie wie sam jeszcze, jak postąpi... Obawiają się, aby z ich przyczyny krew się nie lała.

Własť, posłyszawszy to, natychmiast pobiegł, do nóg kneziowi padł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

Mieszko się zdziwił mocno.

— Oni ci przecie szkodę wyrządzili i zemsta ci się należy?

— Miłościwy panie — odezwał się Własť — chrześcijanie zemsty nie znają... nauka nasza nieprzyjaciołom nakazuje przebaczać i kochać ich... Błagam was...

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodo-

wi w chwili tej uwolni, więc gdy Włast prośby powtarzał, ręką skinął i rzekł mu:

— Czyńże z nimi, co sam zechcesz...

Nie tracąc chwili, Włast poszedł do ciemnicy, w której Wargę i towarzysza jego zamknięto. Gdy mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, ujrzał leżących na ziemi dwu dziadów, którzy go wzrokiem dzikim powitali milczący.

Warga go poznał i nie wątpił, że wydany na pomstę Włastowi, dozna strasznego losu. Nie ruszył się więc nawet, na wszystko będąc gotowym.

Włast się zbliżył.

— Za cóżeście pod moje domostwo ogień podłożyli? — zapytał.

Starcy dwaj popatrzyli długo na siebie, jakby się oczyma radzili, co odpowiedzieć mają. Po chwili Warga zamruczał:

— Co się pytasz? rób swoje...

— Nic wam złego nie uczyniłem — odezwał się Włast. — Ślepi jesteście i nie wiecie, co robicie, ani za co mnie prześladujecie... Wy uczyniliście mi krzywdę — dodał — ja wam za nią płacę dobrem i wyprosiłem u knezia, że mam prawo wypuścić was na wolę... Idźcie i uchodźcie... a pomnijcie, że ta wiara, co uczy dobrem płacić za złe, lepszą jest...

Warga, słuchając z pewnym rodzajem wzgardy, uśmiechał się, a gdy Włast dokończył, ruszył się wnet, biorąc za kij i dając znaki towarzyszowi, by za nim pośpieszał.

— Wasza wiara — mruknął — głupia jest... bo ty mnie puszczasz wolno, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, to zachowam...

Nie spojrzawszy na Właста, wychodził już z lochu, potem zwrócił się ode drzwi:

— Nie śmiecie Wardze nic uczynić — zawołał — nie śmiecie! wiecie, że on silny... i że za niego mścić się będą, dlatego puszczacie wolno... Nie bójcie się, drugi raz w ręce wam nie popadniemy, a dostaniecie się wy w nasze...

Dokończył śmiechem dzikim i poszedł.

Włast stał, zawrzał w nim gniew na chwilę, ale nowy chrześcijanin był wiernym nauce swojej i kłamu jej zadawać nie chciał, zniósł więc to urągowisko i pogróżki, przezwyciężył się i dał ujść obu dziadom, którzy natychmiast pobiegli ukryć się mu z przed oczów, znajomemi sobie drożynami przemykając się ku gajowi i świątyni.

Nauka, jaką im Włast dać chciał, była straconą, ale on w sumieniu swojem spokojnym pozostał.

Gdy Dobrosław oznajmił Mieszkowi o towarzyszu, którego z sobą Włast przywiózł, kneź nic mu nie odpowiedział. Zdało się, jakby znowu ulegając jakiemuś wpływowi czy obawie, cofnął swe postanowienie wcześniejsze, nie zapytał więcej o niego i zostawił Dobrosławowi wolę rozporządzenia się i działania, jak chciał.

Ks. Jordan więc za poradą jego został z nim razem, oczekując zręczności, by mógł przemawiać, nauczać i kierować. Na oko nic żadnej nie zwiastowało zmiany, z Czech tylko zapowiadano przybycie kniehini Dubrawki, ale i to pokryte było jakąś tajemnicą. Kneź małomówny, na zapytanie odpowiadał niejasno. Na zamku wszystko było w gotowości.

Jednego poranku Włastowi kazano jechać do Pragi, dodano mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli w pierwszej wycieczce, a gdy o cel podróży zapytał, Mieszko mu rzekł:

— Pokłońcie się ode mnie...

Rad, że się do chrześcijańskiego kraju dostanie, Włast był posłusznym, pożegnał ks. Jordana i pojechał.

Na zamku znowu wiodło się to samo stare życie bez zmiany, tylko nowy apostoł, któremu bezczynność dolegała, nie pytając nikogo, — z kijem w ręku począł szukać owieczek.

Często po całych dniach go na grodzie nie było, a gdy Dobrosław niespokojny, już miał wysyłać szukać go, wracał nagle wesół i rozpromieniony, zapewniając go, że Opatrzność Boska nad nim czuwa i nic mu się złego stać nie może. Niezmiernie prędko rozpa-

trzył się ks. Jordan w kraju i jego stosunkach, a zetknąwszy się z kilku ochrzczonymi dawniej, przez nich, jak po nici, trafił do innych, i tam, gdzie siane ziarno zejść mogło.

Około niego potajemnie skupiać się zaczęli wszyscy dotąd rozpierzchli, nabierając otuchy.

Mieszko widywał go i o nic nigdy nie pytał, udając, iż o niczem nie wie.

Jednego dnia z nim i Dobrosławem poszedł, wiodąc ich do gaju i świątyni, jakby to miejsce chciał im ukazać, ale nie rzekł nic. W kilka dni radził obu z Sydbórem jechać do Gniezna i obejrzeć Lechową górę, a ostrów na jeziorze, gdzie stały świątynie pogańskie.

Wśród tego spokoju, który usypiał pogan, tłumaczących go sobie, jak Warga, obawą, nagle, jednego dnia, Mieszko nadzwyczajne począł czynić przygotowania.

Dwóchset ludzi co najdorodniejszych dobrano z przybocznego orszaku i wydano dla nich odzież paradną, oręż drogi i konie ze stad najpiękniejsze. Ze skarbca podobywano naczynia najdroższe i przeniesiono do izb na dole, gdzie biesiady się odbywały.

Stały komnaty puste, smutne, ale z przepychem pańskim przygotowane na przyjęcie gościa wielkiego, aby czego tylko kniehini zapragnąć mogła, znalazło się pod ręką. Cienkie tkaniny, kobierce wschodnie, złote i srebrne naczynia, misy, nalewki, dzbany, świeczniki świeciły porozstawiane wszędzie. Śpiżarnie pełne były łakoci, piwnice napojów, a kwiaty, na jakie się jesień zdobyć mogła, i wonne zioła, porozrzucano wszędzie.

Gdzie dawniej wrzawa niespokojnych niewiast po całych dniach się rozlegała, teraz cicho już było, jak w grobie. Jedną z najpokaźniejszych izb w głębi dworca kneź kazał zostawić pustą, nie mówiąc o jej przeznaczeniu.

Tegoż wieczora Mieszko poszedł do siostry.

Domyślano się tam zawczasu, co się na zamku gotowało, a Górka niebardzo była może rada nowej pani

i nowemu porządkowi, nie wiedząc, jak się zgodzi z nieznaną bratową. Podejrzliwem okiem spoglądała na brata i przyjęła go z należnem poszanowaniem, ale milcząco.

Kneź usiadł zadumany i począł się jej przypatrywać.

— Nie jużci też, Górka... zamążpójście na myśl nie przychodzi? — zapytał nagle.

Siostra zarumieniła się mocno, bo po wiek wieków żadna niezamężna dziewica nigdy się przyznawać nie zwykła, by sobie stan zmienić życzyła.. Zawsze się to uważa za nieprzyzwoite pożądać czepca. I Górka też z dumą pańską odpowiedziała bratu, po chwili namysłu:

— Miłościwy panie, być może, iż wam się mnie pozbyć chce z domu, alem ja nie zatęskniła w nim nigdy...

— A przecie — ozwał się kneź — tak tu wiecznie nie możesz pozostać. Szkodaby krasy i młodości... Ale to moja rzecz męża wyszukać, wiano dać i sprawić wesele...

Górka się zarumieniła mocniej jeszcze; kneź spojrzał zukosa.

— Nie bój się — rzekł, — znajdę ci takiego, co będzie godnym piękniej, jak ty, kniehini... Ty wiesz, że ja Bolkową córkę biorę, abym jedną nogą w Czechach stał, czekając, póki dwoma nie będę mógł stąpić... Ona chrześcijanka idzie za mnie... ty też chrześcijanką zostać musisz, a poniesiesz z sobą tę wiarę do Ugrów, którym rękę podamy, aby Czechów trzymać zawsze grozą i nie dać się im uciskać... Dziki to naród, wojowniczy i straszny... Musieli się na nich wszyscy Niemcy zebrać do kupy nad Lechnją, aby zwyciężyć... a w domu oni niezwyciężeni... Tobie tam panować przystało i królować...

Górka nie odpowiedziała nic, bo niewieście naówczas, choćby rodu pańskiego, swojej woli mieć się nie godziło... Mieszko mówił nawpół do niej, wpół do siebie, uśmiechając się myśli swej:

— Nie obawiaj się, brat ci krzywdy uczynić nie da, a jeśli z domu jego wyjdziesz, nie pożałujesz zmiany... Od tej wiary nowej, którą Niemcy swoją zowią, nie obronimy się już... Zewsząd nas ogarnia... panuje wszędzie... wojować z nią nie można... ale przyjąwszy ją, nią wojować będziemy choćby z cesarzem.

W sprawie wiary Górka nie miała pono tak samo woli, jak w sprawie własnego losu; słuchała, wiedząc, że uczynić będzie musiała, co każą. Westchnęła tylko, bo ją straszono surowością chrześcijaństwa.

— Wiara to straszna!... — wymówiła pocichu.

Brat nie odpowiedział długo.

— Gdyby w istocie taką była, czyżby ją tyle ludzi mogło wyznawać?... — rzekł po namyśle.

Zamyślił się i westchnął, może mu na pamięć przyszły dawne gody i swoboda, lecz nie rzekł nic.

Siostrę pogłaskał po twarzy i zwolna wysunął się z dworu.

V.

Nazajutrz rano świetnie przybrany dwór, starszyzna, stolnicy, cześnicy, służba, pachołkowie, rycerstwo, Sydbór, który przywdział zbroję świecącą, naostatek Mieszko sam w płaszczu bramowanym złotem, wyjeżdżali z grodu nad Cybiną. Nikt nie wiedział, dokąd i na jak długo. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości.

Kogo? domyślać się tylko było można. Mieszko nie miał zwyczaju tłumaczyć się nikomu.

Dobrosław został w grodzie, mając dozór nad przygotowaniami.

Tegoż samego dnia ks. Jordan potajemnie wyszedł zamknąć się w izbie, przy dworcu przyszłej kniehini zostawionej. On i Dobrosław przez cały dzień nosili tam naczynia i szaty, nie wzywając nikogo do pomocy i nie biorąc z sobą ludzi.

W izbie tej, której okno zewnątrz napół przysłonięte było tak, że zajrzeć do niej nikt nie mógł, ks.

Jordan urządzał kaplicę, z tą radością i przejęciem, jakiego może doznawać kapłan, pierwszy ołtarz stawiąc w kraju pozbawionym prawdziwej wiary. Lice jego promieniało, trzęsły się ręce, gdy sam zaścielał ten stół ofiarny białemi ręczniki, ustawiał na nim świeczniki, ubierał go i przyozdabiał, gdy błogosławił, modląc się i krzyż na nim wzniósł, przed którym on i Dobrosław odmówili przyjętą modlitwę.

Pierwsza kaplica zamkowa nie wyglądała wspaniale; był to ołtarz jakby obozowy tego wojska, które tu za wiarę walczyć miało. Gromadka, co się u stóp jego zbierać mogła, szczupłą jeszcze była i izba ta aż nadto dla niej starczyła.

Tu w obecności jednego Dobrosława pierwszą mszę odprawił przyszły pasterz owczarni rozpierzchłej i zmuszonej ukrywać się długo jeszcze.

Mieszko o swojem nawróceniu nie mówił nic: Dobrosław kilka razy rzucał pytania i nie otrzymał odpowiedzi.

Orszak, który z kneziem na czele wyruszył z zamku na Cybinie, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jesienna pogoda powolnemu pochodowi sprzyjała. Dni wyrachowane być musiały.

Wieczorem położono się w lesie u samej rubieży na uroczysku, które się zwało Zawite. Rozbito namioty, postawiono szałasy, rozpalono ognie, wysłano dokoła straże i noc upłynęła cała niemal na czuwaniu.

Nazajutrz kazał kneź obóz zwinąć, lecz z miejsca nie ruszył.

Słońce ku południowi wybiło się ponad mgły i świeciło letnim blaskiem, gdy rogi słyszeć się dały zdala i straż nadbiegła, oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim.

Siadł Mieszko na koń, a dwór jego cały ustawił się w porządku.

Zdala już widać było okazały orszak, który kniehinię prowadził. Towarzyszył jej wedle obyczaju brat, mnoga liczba panów i dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i nieporachowany sznur wozów, które szły jed-

ne za drugiemi, strzeżone przez zbrojnych ludzi. Oddział pancernych zamykał wkońcu wspaniały ten pochód, któremu przygrywali na trąbach i rogach gędźbiarze.

Kniehini jechała obok brata na pięknym koniu, w suknię złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym, złotemi blaszkami naszywanym.

Na widok Mieszka zarumieniła się męska jej twarz i oczy śmiało nań spojrzały. Nie było to trwożliwe dziewczę, ale towarzyszka pańska i niewiasta, czująca się królową.

Bolko młodszy o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, poczem oba z koni zsiadłszy, szli do Dubrawki, która też z wierzchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko inaczej ją chciał witać... i śmiejąc się, objąwszy wpół, cale pogańskim obyczajem, zarumienioną w twarz pocałował. Podano sobie ręce. Wesele malowało się na licach.

— Jesteście, miłościwa pani — odezwał się Mieszko — już na mojej, a razem na swej ziemi, gdzie ja gospodarzem... Przystało tę dobrą godzinę uczcić dobrą myślą...

To mówiąc, skinął na stolników swych i rękę jedną Dubrawce, drugą podawszy Bolkowi, powiódł ich pod dęby nade drogą, gdzie rozesłane było sukno i naczynia stały z jadłem i napojami. Dla obu też orszaków beczki były wpogotowiu. Tymczasem gędźbiarze grali wesoło na trąbach i rogach, a lica się śmiały wszystkim.

Dwa dwory, czeski i polski, po raz pierwszy zbliżały się ku sobie przyjacielsko, podając sobie dłonie i próbując języka, który obu posługiwał zarówno, prawie będąc jednakim.

Z kniehinią mnogi lud jechał, niewiasty, usługa, dworacy, duchowni, panowie... lecz na przyjęcie było wpogotowiu wszystko i starczyłoby dla liczniejszej jeszcze drużyny.

Wmieszany w ten dwór stał Włast w towarzystwie

kilku duchownych, między którymi surowa twarz i uboga suknia ojca Prokopa zwracały oczy Mieszkowego orszaku. Dziwnie wydawał się im ten człowiek stary, w odzieży prostej, w obuwiu wyszarzanem, z głową postrzyżoną, podobny do żebraka, a śmiało obracający się wśród świetnego orszaku panów, który mu okazywał uszanowanie.

Nie biesiadowano tu długo, gdy oba kneziowie, powstawszy, dali znak dalszego pochodu. Przyprowadzono konie i Mieszko stanął na swoim obok Dubrawki, której lice nie zdradzało najmniejszej obawy, uśmiechając się owszem weselem i ciekawością.

Od granicy poczynał się ten kraj nieochrzczony jeszcze, pełen jawnych oznak pogańskiego bałwochwalstwa, na którego widok lica duchownych pochmurniały. Dubrawka jednak nie ulękła się stojących na rozdrożach bałwanów i zdawała się na nie uwagi nie zwracać. Wesołemi żarty skracano podróż, którą z nadzwyczajnym odbywano pośpiechem.

Gdy na drugim przystanku spocząć koniom było potrzeba, Mieszko, ujrzawszy Własta, zawołał go ku sobie i łaskawie pozdrowił.

— Weź kilku ludzi i lepsze konie — rzekł, — pojedźcie przodem o nas oznajmić, aby wszystko było wpogotowiu.

Tak więc, choć znużony drogą, Włast musiał natychmiast, nie spoczywając, przodować orszakowi.

Ostrożność ta była zbyteczna, gdyż na grodzie dzień i noc stał lud mnogi, gotów na przyjęcie kniehini i starszyzna, żupanowie, władycy, kmiecie już byli zgromadzeni. Oni i orszaki ich napełniały nietylko gród, ale zalegały pola nad Cybiną i Wartą. Mnogie też tłumy ciekawych z uczuciami różnemi zbiegły się patrzeć na przybywającą panią.

Roiło się dokoła ludem, nad drogą wszędzie stały szeregami ciżby niezliczone w oczekiwaniu na to widowisko, którego następstwa napełniały trwogą... Z tą panią nową jechała wiara nowa, rozpoczynało się życie jakieś nowe, którego przeczucia niepokoiły.

Niewiasty płakały, mężowie stali sparci na kijach, zadumani... Starcy przebiegali tłumy z pieśnią żałosną. Czuli wszyscy, iż dzień ten zapowiadał życie odmienne. Jakie? nikt nie śnił naówczas, wiedzieli tylko, że ze starem rozbrat wziąć było potrzeba, a z niem zrosło się wszystko, co najdroższem było.

Pośrodkiem tych gromad milczących, które mogły mniej śmiałą, niż Dubrawka, niewiastę przejąć trwogą, przesuwał się orszak Mieszków i czescy rycerze a panowie.

Już o mil kilka od Poznania drogi były nabite ludem, ale zarazem poczty wojenne stały na nich, siłę Mieszkową ukazując obcym.

Nie ustępowały one Czechom pokaźnością, ani urodą, ani orężem. Minęły te czasy, gdy Polanie nasiekiwanemi pałkami i smolonemi oszczepami walczyć musieli, mało mając kruszcu i oręża. Za Ziemomysła już zdobyto i zakupiono dosyć zbroi i mieczów też nie brakło... Żelaza miano obficie i łatwiej nabywać je było w nadmorskich miastach handlowych. Wojny z Niemcami dostarczały go także.

Skarbiec Mieszków nie ustępował najzasobniejszym, i nie wyczerpywał się, ale powiększał... Na Czechach wprawdzie widać było ogładę, jaką im ściślejsze z cesarstwem i zachodem stosunki przyniosły, ale w wojsku Mieszka więcej było starego słowiańskiego ducha i resztek tego tajemniczego świata, który też w sobie miał wyrobione długiemi wiekami życie...

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów wjeżdżała na nową swoją stolicę Dubrawka, tak niewzruszonym umysłem i ciekawemi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Wełtawą nieznajomego jej jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swojego dworca oczyma zazdrosnemi, może i załzawionemi przypatrywała się Górka tej nowej pani... przeciw której wyjść nie śmiała.

U drzwi dworu zsiadłszy, Mieszko podał rękę żonie i wprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu sta-

li panowie jego, poważne starce z siwemi brody i dorodni mężowie, pokłonami witając panią, zgóry spoglądającą na nowych poddanych swoich...

Skromny dworzec drewniany ubogo się musiał wydać kniehini, do murowanych ścian nawykłej: nie było tu nic, coby chrześcijaństwo przypominało, lecz drewniana chata Mieszka świeciła nagromadzonemi bogactwy, które nawet panów czeskich zdziwiły...

Stoły się uginały pod ciężarem kowanych sreber... wystawionych więcej na pokaz i zdumienie, niż z potrzeby...

Przyjąwszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, Dubrawka zwróciła się do Mieszka.

— Panie miłościwy — rzekła,—nie uczuję się ja tu żoną twą, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie pobłogosławi...

Mieszko trochę się zmarszczył...

— Kniehini moja — rzekł — obejrzyjcie się po komnatach i podwórzach — policzcie tych ludzi, co nas otaczają... to są, jak ja, poganie wszyscy... Gdybym ja dziś waszemu się Bogowi pokłonił, kto wie, coby mnie czekało jutro... Dajcie mi czas... a pracujcie ze mną.

— Lecz żyć z wami nie mogę inaczej — odpowiedziała Dubrawka. — Niech ślub zostanie potajemnym, a przecie on dopełnić się musi.

Przystąpił Bolko z naleganiem. Mieszko stał jakby w niepewności, co miał począć. Nie położono mu wprzódy warunku tego, ani się spodziewał, by ulec musiał, a dnia tego zasmucać nie chciał waśnią. Nie rzekł nic; obrócił się, patrząc po przytomnych, czy oczyma znak dał komu, czy szepnął słowo... nikt nie dopatrzył, — lecz wnet odezwał się do Bolka i Dubrawki, — iż im dworce swe i izby wszystkie i komnaty dla żony zgotowane chce okazać... Szli więc zwolna... Mieszko, wiodąc kniehinię, Bolko jeszcze jako stał we zbroi i rynsztunku podróżnym, Dobrosław jako przełożony nad dworem.

Czescy i polscy panowie zostali, stojąc w biesiadnej

izbie i czekając na powrót pana. Trzy złotogłowem okryte krzesła u osobnego stołu zgotowane dla nich były...

Przez izby i podniesienia Mieszko z pierwszego dworu skierował się ku mieszkaniom królowej. Tu już niewieście towarzyszki, służbę pani i jej dworaków przyjmowała Różana, która się bogaciej i wykwintniej, niż kiedykolwiek, przybrała.

Dubrawka przeszła szereg izb, komór, składów, pełnych bogactw, nie spoglądając prawie na nie... Ostatnie drzwi stały zamknięte przed nimi... W ostatniej chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą otwarły się ze wnętrza i za niemi dała się widzieć światłami płonąca kaplica... U ołtarza bogato obwieszonego stał ks. Jordan, mając przy sobie ojca Matję i ojca Prokopa.

Mieszko szedł widocznie chmurny i prawie gniewny, lecz milczący i posłuszny!...

Dubrawce oczy się śmiały...

Wnet za nimi zatrzasły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków ks. Jordan pokropił naprzód wodą chrztu knezia milczącego, a potem szybko obrzęd ślubu dopełnił.

W tych obrzędach musiano ze względu na szczególne położenie, na ważność ich, odstąpić od wielu warunków, zapomnieć o wielu ceremonjach, dopuścić się umyślnie zaniedbań... Szło o to, aby chrześcijańska przysięga związała przyszłych małżonków... Drżącym głosem pobłogosławił im ks. Jordan... i związał dłonie...

Dubrawka dopomagała małżonkowi, aby wykonał to, co dla ważności obrzędu koniecznem było. Na twarzy Mieszka malował się niepokój ciągły i zniecierpliwienie, które trwało dopóki nie wyszli z kaplicy i nie wrócili do oglądania komnat, z drugiej strony dworca położonych. Z twarzą weselszą jeszcze Dubrawka z mężem i bratem wróciła do biesiadnej izby... aby zasiąść w wianku dziewiczym, którego, jak mówiła, nigdy zrzucać nie chciała, na przygotowanem siedzeniu obok męża i brata...

Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniehini, którą każdy ciekawy był nietylko zobaczyć, lecz odgadnąć. Nie zdawało się to trudnem. Na pierwsze wejrzenie Dubrawka, nadto będąc dumną, by się ukrywała z czemkolwiek, wydawała się z wesołem usposobieniem, z odwagą i męskim niemal charakterem. Mieszko przy niej zdał się daleko do odgadnięcia trudniejszym. Śmiała się ochoczo i głośno, wyzywała żarty i oświadczała wręcz, że zabawy i pląsy lubiła bardzo...

Polańskim panom, nawykłym do bojaźliwych niewolnic zahukanych, kniehini wydała się jakby nową cale istotą. Dla dzikich nieco ludzi miała urok ta śmiałość czeskiej niewiasty... stojącej odrazu niemal narówni z mężczyznami, okiem, mową i odwagą...

Mieszko śmiał się z nią razem, łagodnie i dobrotliwie, zdawał się niemal uległym, przecież kniehini czuła w duszy, że niełacno go pokonać i podbić potrafi.

Instynkt mógł ją tego nauczyć.

Śmiałość i samowola, z jaką się Dubrawka ciągle okazywała jawnie, słabego człowieka byłyby uczyniły niepewnym siebie i chmurnym. Mieszko brał to lekko, wtórował śmiechowi i wesołości, jakby je w dziecku spotykał.

Pod koniec uczty, przeciągającej się długo, goście, wedle zwyczaju, zaczęli nowo zaślubionym składać podarki... i u nóg młodej pani zebrała się góra cała osobliwszych rzeczy, które o zamożności starych rodów świadczyły...

Dziękował Mieszko śmiało i wymownie — jakby stara znajoma, dziękowała młoda pani. Dziwowali się jej wszyscy, że tak odrazu przystała do ludzi, do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych. Mieszko też poglądał niekiedy z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było...

Po uczcie, która się przeciągała, nastąpiły pląsy i tany, ale kniehini, choć im poklaskiwała, okazując, że nie są jej obojętne, tego dnia nie chciała iść z drugimi

i pozostała przy mężu. Wkrótce też Bolko ją odprowadził do dworca, a Mieszko znikł także, zostawując Sydbóra w zastępstwie swem, by gości uraczał, nie dając im się oddalić...

Weselne ucztowanie musiało trwać dni kilka bez przerwy w każdym domu, tem bardziej w książęcym...

Nazajutrz też od rana stoły były pozastawiane wewnątrz dworca, i po dworcach karmiono poczty wojenne polskie i czeskie, które się zabawiały wyścigami, rzucaniem pocisków i strzelaniem... Jak poprzedzającego tak tego dnia tłumy ludu okrywały wały, przypatrując się widowisku i biesiadzie.

Szczęściem surowy dozór zapobiegł, by wśród tego rozochocenia chrześcijanie z poganami, Polacy z Czechami nie powaśnili się o lada co. Czeski dwór, czując wyższość swoją, lekce czasem sobie cenił i prześmiewał Polan, a w tych niecierpliwa krew wrzała, i hamować było trzeba nieustannie, aby z małej sprzeczki duża bójka nie urosła. Chodziła też starszyzna, naglądając i łagodząc natychmiast, gdziekolwiek głośniejszy krzyk usłyszała lub zaognione postrzegła lica.

Ludzie z pocztów kneziowskich i do dworu należący, już przygotowani i oswojeni z wielu nawyknieniami chrześcijańskiemi, godzili się z nimi, słuchali opowiadań i poufale przestawali. Wewnątrz grodu wesoło szło i ochoczo, lecz gromady, które stały zdala na wałach, wpatrując się w igrzyska te, i kupa starców, wyglądających ze świętego gaju, groźną i smutną miała postawę.

Na dworcu tymczasem i sama kniehini i towarzyszki jej wyprawiały wesołe pląsy, nuciły śpiewy.... a polańscy panowie podziwiali te niewiasty, jakim podobnych nie widzieli. Dubrawka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą i niecierpliwa, równie jak ojciec Prokop, nie wahała się coraz rzucić słowo o nowej wierze.

Dziwnie się to apostołowanie wśród zabawy mogło wydawać, lecz młoda pani przejęta była swem posłannictwem i w środkach spełnienia nie przebierała; panowie też czescy naśladowali ją w tem porywczem apo-

stołowaniu, i pod koniec dnia spochmurniały twarze, między Czechami a Polanami zaczynało się dawać czuć oziębienie, rozdział jakiś, coraz widoczniejszy. Mieszko zdala patrzał i milczał, nie mówił nic, ale chmurniejszym był...

Trzeciego dnia nie ustawały stoły pańskie i zabawa, lecz nie szła ona jak zrazu. Poprzedzającego dnia bójek na grodzie było kilka, lud warczał jakoś na przybyszów...

Czwartego rana sam na sam naradzał się kneź z Sydbórem i Dobrosławem, gdy, śpiewając, z wesołą twarzą i pańskiem wejrzeniem weszła Dubrawka. Na widok jej Mieszko też przybrał pogodniejsze oblicze, a oczyma swoim towarzyszom wskazał, aby ich samych zostawili.

— Mieszku — ozwała się, widząc ich ustępujących, Dubrawka — weseliliśmy się ochoczo trzy dni całe, czas przystępować do dzieła!

Mieszko popatrzał trochę zdumiony...

— Duchowni czekają... niema co zwlekać i nawracanie a chrzest rozpoczynać należy.

— Piękna kniehini moja! — rzekł Mieszko. — Jeśli niewiasty twojego dworu zechcecie nawracać — czyńcie to proszę, ale co do mojego narodu — zostawcie mnie staranie. Jedyny to sposób byłby, żeby nic nie uczynić lub głową nałożyć, gdybyśmy się porwali nagle i nie przygotowawczy!...

To mówiąc, wstał, pocałował żonę, śmiejąc się, i rzekł do niej:

— To moja sprawa...

Stała jeszcze zdumiona i trochę zmieszana Dubrawka, gdy kneź dodał:

— Jeden z tych, których wyście z sobą przywieźli, wczoraj o mało życiem nie przypłacił nieopatrzności... bo go ledwie z rąk zajadłych ludzi wyrwano. Twoi Czesi nie zdali się do nawracania, bo nas nie znają. Miłościwa pani, damy im podarki bogate, ale ich stąd odprawim do domu...

Dubrawka, która najwięcej liczyła na swój dwór,

zasmuciła się bardzo, lecz Mieszkowi się przeciwić nie było sposobu... Z twarzy mu patrzało, że choć śmiał się, żelazną miał wolę...

— Nie zlękniecież się zostać tu wśród nas, pogan, samej? — dodał Mieszko.

Dubrawka, choć może w istocie czuła trwogę, okazać się jej wstydziła. Męska jej dusza brzydziła się nią.

— Z wami przecież zostanę — obawiać się nie mam czego...

Mieszko się dziękczynnie uśmiechnął.

— Ja — rzekł — znajdę duchownych, wyszukam ludzi — godzinę naznaczę, a gdy ta przyjdzie i powiem, że chrzest muszą przyjmować — przyjmą... Kto się oprze — zginie. Lecz nim się to stanie, mój dwór i moje wojsko mojem być musi, aby mi naród nie był groźnym... W jednym dniu odmieni się twarz tej ziemi... a no, dzień ten ja jeden wiem... Miłościwa moja — ja sam poganinem jeszcze jestem... nawróćcie wprzódy mnie i nauczcie... słucham was często i nie rozumiem. Co u nas cnotą było, u was jest występkiem; co u nas zowie się pięknem, wam się wydawało złem.

Ruszył ramionami.

— Mięsa mi zakazują jeść... a skądże ja wezmę siłę? Zemsta zbroniona, a któż się mnie będzie lękał?

Dubrawka słuchała go.. i zwolna może przekonała się, że to nawrócenie, które się jej tak łatwem wydawało... było dziełem nie jednego słowa...

Musiała spuścić głowę i zamilknąć. Mieszko ujął ją pod rękę.

— Tymczasem uchodźmy a weselmy się, a wy, kniahini moja, zabawiajcie się ze swoimi, których pożegnać musicie. Czechów odprawić trzeba dlatego, aby naród nie rzekł, żem ja ich dla wprowadzenia nowej wiary potrzebował...

Wyszli milczący i skierowali się ku dworowi, w którym pomieszane głosy, gędźby, śpiewy, wrzawę i śmiechy słychać było.

Grali Czesi na rogach i piszczałkach, kilku gęśla-

rzy u drzwi śpiewało, za stołami piła starszyzna i pokrzykiwała... inni nucili pieśni razem, aż się rozlegało.

Wszystko to umilkło, gdy się ukazał kneź z żoną, ale natychmiast skinął, aby byli myśli wesołej...

I znowu huczało a brzmiało dokoła...

Tego wieczora Włast wyprosił się u knezia, aby mu wolno było do Krasnejgóry zbiec na godzinę. Skinął mu głową przyzwalająco, i ojciec Matja, któremu wrzawa weselna przykrą była, natychmiast dosiadł konia, biegnąc na swoje zgorzelisko...

Mrok już padał, gdy się znowu znalazł na skraju lasu, i jak pierwszym razem, zastawszy tu spalony dwór, teraz znowu uląkł się i stanął osłupiały.

Niemniej go zdziwiło to, co tu ujrzał, bo mu się też cudem niemal wydało! W miejscu zgliszcza stał już nowy dworzec, daleko obszerniejszy od pierwszego, gotowy, dokończony, pokryty, ogrodzony tynami... odbudowany cały do najmniejszej szopki...

Oczom zrazu wierzyć nie chcąc, Włast podjechał pod wrota, i miał zsiadać, gdy z drugiej strony nadbiegł Jarmierz, a za nim kilku parobków. Ze zdumienia, nie wiedząc, co mówić, Włast wprost poszedł do dworu... Jarmierz mu towarzyszył. Gdy się sami znaleźli w progu, odwrócił się ku niemu Włast i spytał:

— Jakto być mogło, ażeby dwór stanął tak rychło?

— Z rozkazu knezia ludzi gromada naszła wielka — odezwał się Jarmierz. — Jam z moimi patrzał tylko z założonemi rękami...

Dworzec nowy pobudowany był podobnie do starego, lecz wyższy od niego, pokaźniejszy i obszerniejszy. W miejscu komory, w której zmarł Luboń i gdzie była kaplica... staraniem Dobrosława stanął nowy ołtarz ze wszelkim do służby Bożej przyborem.

Tu naprzód, na kolana padłszy, Włast, zalany łzami, modlił się długo...

Wstał jeszcze poruszony i przejęty cały, gdy w progu ujrzał postać niewieścią... Nie mógł on poznać jej zrazu, bo osłonioną miała twarz i głowę czepcem zamężnych niewiast... Dopiero, zbliżywszy się do niej,

gdy mu się do kolan kłaniała, ujrzał w niej siostrę swą, Hożę.

— A skądże ty tutaj? — zapytał — jakim sposobem?

Hoża poczęła od rzewnego płaczu... zaszła się, tuląc twarz w chustach, i nie mogła mówić długo...

— Gdzie mąż twój? — zapytał Właśt...

Po nowych łzach i płaczu domyśleć się mógł brat, iż jakiś los nieszczęśliwy spotkać musiał Wojsława; nie chciał już naglić o odpowiedź, bo Hoża coraz nowemi zalewała się łzami.

Jarmierz, który za nią stał, szepnął mu na ucho, że dziesiętnicy Mieszkowi długo się za Wojsławem z jego rozkazu uganiali, wreszcie nocą go napadli w chacie leśnej, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał...

Hoża, opłakując męża, nie wiedząc, co począć ze swem sieroctwem i wdowieństwem, pieszo przywlokła się do rodzicielskiego domu, w którym musiała szukać przytułku...

Upewnił ją Właśt, że może pozostać i mieszkać jak u rodzica, pocieszając zasmuconą. Zdziwiło go tylko, że kneź, który go widywał ciągle i mawiał z nim prawie co dnia, ani o odbudowaniu dworu, ani o sprawiedliwości domierzonej nad Wojsławem nie wspomniał nigdy.

Pan był milczący i zamknięty.

Tak, w nowo odbudowanym dworze, pierwszy wieczór spędził Właśt, któremu siostra po staremu usługiwać chciała... Nie dopuścił jednak tego, rozkazał jej usiąść razem do stołu, przy którym i Jarmierz zajął miejsce... Radowało się serce jego myślą tą, że Opatrzność zesłała mu siostrę, aby, jak ojciec, nawróconą została. Zdało mu się też, że i Jarmierza, już przygotowanego, łatwo do przyjęcia nowej wiary skłonić potrafi...

Ale pierwszego tego wieczora zaraz, gdy z niecierpliwych ust wyrywały mu się już wyrazy natchnione, przekonać się mógł, jak daleko stały pojęcia tych bied-

nych ludzi, w nieświadomości wychowanych, wykarmionych życiem innem od chrześcijańskich wyobrażeń...

Hoża wprawdzie słuchała go chętnie, lecz więcej ją zdumiewało to, co mówił, niż przekonywało...

Włast postanowił cierpliwie, powolnie, wytrwale poświęcić się zyskaniu tych dusz... W myśli jego było połączenie siostry z Jarmierzem i oddanie im po ojcu majętności. Sam on dla siebie nie potrzebował nic, chciał wymówić sobie tylko kaplicę i w tym domu pierwszych chrześcijan gromadzić.

Bliskość zamku, położenie w lesie i na ustroni czyniło miejsce dogodnem... Zdawało mu się, że ci, co z dymem raz dwór puścili, drugi już raz ważyć się nań i porwać nie będą śmieli.

Najpiękniejszemi marzeniami kołysany, po długiej wieczornej u domowego ołtarza modlitwie, Włast legł spocząć, nazajutrz dodnia chcąc powrócić do zamku, w którym spodziewał się zastać więcej ciszy i spokoju... Rano przy drzwiach zamkniętych odprawiwszy tu pierwszą Ofiarę za duszę ojca, pomodliwszy się na grobie jego, pożegnawszy czule siostrę, przeprowadzany długo przez Jarmierza, Włast na duchu spokojny i szczęśliwy na zamek nad Cybiną powracał..

Zawiódł się tylko, sądząc, iż tu już pokój panował, teraz bowiem, po przyjęciu Czechów, następowało huczne ich pożegnanie.

VI.

Po odprawieniu poczęstnem Czechów, obdarzonych sowicie, których Mieszko wkrótce do granicy odesłał, — cisza znowu na zamek wróciła, i napozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszano ani chramu w Gnieźnie na górze Lecha, ani starej na grodzie nad Cybiną świątyni — kapłani chrześcijańscy nie odprawiali jawnie obrządków nowej wiary, żadnemi oznakami nie objawiała się ona nazewnątrz.

Ks. Jordan odprawiał pocichu mszę świętą w zamkowej kaplicy, ale Dubrawka z trudnością mogła na nią męża przyciągnąć. Nowo i dawniej nawróceni gromadzili się pocichu na Krasnejgórze. Gdy następowały dnie, które kościół zwykł uroczyście obchodzić, — drogami różnemi zewsząd ściągali ludzie do dworu Luboniów i zbierali się w małej kapliczce. Częstokroć przebywali tu po dwa i trzy dni, przyjmowani przez Własta, spędzając większą część godzin na nabożeństwie.

Śpiewy dawały się słyszeć coraz śmielej i choć się napozór jeszcze ukrywano, z każdym dniem w wyznawcach Chrystusowych odwaga rosła. Dodawało jej to, co się działo na zamku kneziowskim, a nikomu tajnem nie było.

Jarmierz z obawy napaści jakiej pilno około dworu stróżował, wpuszczał do zagrody tylko znajomych ludzi. Zdawało się też, iż wróżbici i gorliwsi obrońcy bałwochwalstwa, choć się uparcie przy niem trzymali, cofali się w głąb lasów i ukrywać starali. Można było sądzić, że stracili odwagę do dalszych wystąpień.

Około dworu czasem się niepostrzeżenie snuli różni ludzie; nie zwracano na nich uwagi, gdyż się zdala trzymali, a parobcy i czeladź, mająca stosunki podejrzane, zręcznie się ukrywała z niemi.

Jarmierz był już ochrzczony, gorliwie uczył się obowiązków chrześcijanina; Hoża też, nie opierając się woli brata, słuchała go i zdawała się nauki brać do serca.

Na zamku, choć Mieszko napozór nie czynił nic, robiło się bardzo wiele. Ks. Jordan był duszą wszystkiego; choć Niemiec pochodzeniem, był prawdziwym chrześcijaninem i przywiązał się dawno do Słowian, teraz do Polan, których stał się bratem serdecznym. Pan Bóg go stworzył do tego posłannictwa, dając mu anielską cierpliwość, wesele, a przytomność ducha, nieopuszczające go nigdy.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego ks. Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał się spoufalać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami

i datkami, a potem na proste umysły umiał działać bardzo prostemi środkami. Toż samo, na inny tylko sposób, Dobrosław robił u dworu.

Nie upłynął tydzień, ażeby w kaplicy książęcej nie ochrzczono kogoś potajemnie — a każdy neofita stawał się natychmiast narzędziem do nawracania towarzyszów.

Z władyków i żupanów kilkunastu już dało się skłonić do przyjęcia chrztu i ci w domach swych tygodniami ugaszczali ks. Jordana. Wiara chrześcijańska miała dla nich, oprócz tego uroku, jaki jej tylko był właściwym — jakąś potęgę wyższości, siły, którą z sobą niosła, mającej kraj podnieść, odrodzić i postawić go na stopniu równym innym.

Możniejsi wiedzieli, jak stały naówczas chrześcijańskie narody, zamożnością, obfitością wszystkiego, umiejętnością życia w pokoju i wojnie. Przykład Mieszka, połączonego z żoną chrześcijanką, gotowego do przyjęcia uroczystego tej wiary (z czego nie czyniono tajemnicy), skłaniał możniejszych do naśladowania.

Dubrawka otwarcie ich do tego namawiała i nagliła o pośpiech.

Chociaż wszystko napozór jakaś osłaniała tajemnica, lud, który stał przy swych starych bogach, — wróżbici i gęślarze, — starszyzna, ofiarnicy wiedzieli dobrze, co się po dworach działo, co na zamku gotowano w milczeniu. Obawiając się jawny stawić opór, zbiegali starowiercy w głębie lasów, knowali i przemyślali nad zemstą, grozili nią, ale na nic się porywać nie śmieli. Starszyzna czekać kazała pomyślniejszej doby, wojny lub zawikłania. Szukano wodza, a znaleźć go było trudno.

Mieszko był milczący i nieczynny, — lecz znali go — był im strasznym. Wiedziano, że to, co go otacza, dwór, wojsko, urzędnicy będą mu ślepo posłuszni. Nie było zresztą pozoru do poruszenia ludu, bo jawnie kneź nic nie uczynił przeciwko staremu obyczajowi.

Z każdym dniem tymczasem rosło, a mnożyło się

chrześcijaństwo, — najmniej jednak między ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków.

Na oko więc spokój był największy, ale kneź wiedział przez swych ludzi, że po lasach wrzało i opór się przysposabiał. Dlatego może, chcąc być pewniejszym zwycięstwa, zwlekał kroki stanowcze... W ciszy uroczystej przysposabiało się to dzieło, które o przyszłości narodu stanowić miało.

Wśród tego niewidomego trudu, ucierano się na granicy z Geronem i jego namiestnikami. Mieszko wychodził sam, wysyłał Sydbóra — walczył ze szczęściem różnem.

Nadchodziły święta Wielkanocne.

Ks. Jordan wielkie ponosił utrapienie z kneziem, do postu go nie mogąc nałamać, w czem mu i Dubrawka mało pomogła. Mieszko wcale ich słuchać nie chciał, mięso na stół przynosić kazał, żonę do jedzenia zmuszał i lekce sobie to ważył. Miał się już ów czterdziestodniowy post ku końcowi, gdy jednego dnia nagle zapowiedziano podróż jakąś.

Dubrawka, śmiejąc się, spytała go, czyliby od tej nakazanej wstrzemięźliwości uciekał. Rozciągała się ona bowiem, jak widzimy z opowiadań Ditmara, nietylko do użycia mięsa, ale do wszelkich innych przyjemności cielesnych, od których się czasu postu powściągać musiano.

Mieszko jakoś na te przestrogi i namowy był głuchym dotąd i pytanie Dubrawki zbył dwuznacznem głowy ruszeniem.

Badała go, dokąd jechał, — ale śmiechem i milczeniem odpowiadał; próbowała się dowiedzieć, czy zabawi długo. Rzekł obojętnie, że tego naprzód obrachować nie może.

Podróż ta zapowiadała coś tajemniczego, niezwyczajnego. Książę wyruszał zwykle w licznym poczcie, teraz zaledwie kilkunastu wyznaczył ludzi. Między innymi, co było najdziwniejsza, i ks. Jordan miał mu towarzyszyć. Suknie i konie, z których baczna Dubrawka odgadnąć coś chciała, wybrane były tak, jakby kneź

się ze swem dostojeństwem niebardzo chciał objawiać. Orszak też ani zbyt lichym być miał, ani nadto pokaźnym...

Trwoga jakaś ogarnęła żonę. Znając męstwo męża, mogła się obawiać, że się zuchwale z garścią tą gdzieś rzucić może. Próbowała się dowiedzieć od ks. Jordana o cel wycieczki, lecz kapłan jej słowem swem zaręczył, że nie zna go, nie wie o niczem, a wezwany, posłusznym być musi.

Jednej nocy, dobrze przed ranem, nim się reszta dworu przebudziła, kneź siadł na koń i z tą szczupłą garstką zniknął z grodu. Nie wiedziano nawet, w którą udał się stronę.

Mieszko, nikomu się nie zwierzywszy z tego, dążył ku granicy niemieckiej do Sasów.

Na pół drogi zjechał się z nim Chotek, nawrócony, dawniej wódz Lutyków, z którym stosunki były częste, choć tajemne; Mieszko połączył się z nim, przybrał imię Wrotka knezia, krewniaka jego, i w podwojonym orszaku wkroczyli na niemieckie ziemie.

Nie lękał się od nikogo zdrady gdyż, najmniejszej po sobie nie okazując obawy, — jechał jako sprzymierzeniec cesarski, przerzynając się ku Quedlinburgowi, gdzie zwykłym swym obyczajem cesarz Otto święta miał przepędzać.

Znając dotąd tylko z posłuchów kraje niemieckie, Mieszko po raz pierwszy mógł się im przypatrzeć zbliska, i przekonać o wielkiej różnicy między niemi a ziemiami słowiańskiemi.

Przejeżdżali miasta, osady, mijali zamki, świadczące o urządzeniu kraju zupełnie różnem, i napozór tak silnem — że wojna nigdy go całkiem spustoszyć nie mogła... Ludzie tu trzymali się spójnie i karnie, wszędzie nad sobą mając władzę surową.

Podróż szła powoli, a w drodze było się czemu przypatrywać. Kościoły i klasztory, stojące po wszystkich znaczniejszych osadach, wyglądały wspaniale; dwa razy ks. Jordan zapukał do wrót gościnnych opactw i monasterów, i zgromadzeniom tym, a kun-

sztom, które one uprawiały, Mieszko się przyglądał ze zdumieniem. W owej epoce przepisywanie ozdobne rękopisów, malowanie, rzeźba, złotnictwo, szczególniej dla potrzeb kościoła i klasztorów, były w rękach zakonników. Oni kuli sprzęty ze srebra, złota i bronzu, i okrywali je świetnemi barwami. Duchowieństwo świeckie i zakonne nietylko w tem, we wszystkiem przodowało.

Tryb życia i porządek był tu cale inny. Siła, która wcale nie istniała u Słowian, — bo tam kapłanami byli naczelnicy rodzin, starszyzna, kneziowie, wróżbici; siła osobnego stanu kapłańskiego, występująca obok i narówni z władzą świecką, podpierającą ją, kierująca nią razem, tu się objawiała Mieszkowi, jako nowa i nieznana.

W obecnej chwili cesarska potęga Ottona była tak wielką, że sobie przywłaszczała zwierzchnictwo i nad duchowieństwem; właśnie był cesarz zrzucił Jana XII, a Leona VIII na stolicy osadził, zapewniając dla swych następców prawo ustanawiania głowy kościoła, — a jednak cesarz ten sam ulegać musiał duchowieństwu i w niczem sprzeciwiać mu się nie mógł. Otaczało go ono czcią, — ale stało na straży prawa i sumienia, wskazywało drogi, broniło fałszywych, groziło karami, rzucało anathemy...

Była to siła nieznana słowiańskiemu panu; a tej poddać się i on musiał. Stała ona ponad wszystkiem,— cesarz kłonił przed nią głowę.

Po drodze ustępować musieli z drogi orszakom biskupów, świetniejszym, niż świeckich hrabiów i książąt, potężnie zbrojnym, ciągnącym z bogatemi dwory, okazałością i powagą — a choć edykta zakazywały zbroi i hełmu duchownym (wyrzucano ich używanie Janowi XIII), wielu prałatów jechało przy mieczach i we zbroi.

Ks. Jordan opowiadał ciągle, ile to ziem i osad należało do kościołów, ile szlachty wpisało się w ich opiekę i poddaństwo. On mu był tłumaczem wielu zagadkowych rzeczy, które poganinowi, na pierwszy rzut

oka, zrozumieć było trudno. Uderzały one silnie człowieka nieobeznanego z tym światem nowym, z jego hierarchją i porządkami, ale Mieszko umiał tak pokrywać swe zdziwienie, iż się z niem nie wydawał wcale...

Nie unikali spotkań i znajomości; Chotek, towarzyszący Mieszkowi, znał tu wodzów i grafów wielu, przed którymi pokornym był sługą, choć w duszy ich nienawidził, — wdawano się więc w rozmowy, i ciekawych spraw nasłuchać się było można.

Kneź, z którego twarzy biła buta nieposkromiona, jak mógł pokornego Lutyka udawał... Ten i ów pytał ich, poco i z czem jechali; — Mieszko mruczał, że z pokłonem i ciekawością jedzie, aby tak możnego władcę, jak cesarz Otto, zobaczyć. Nikogo to nie dziwiło, ciągnęli również, jak widziano, posłowie od Ugrów, Bulgarów, Duńczyków i Greków.

Było to w wielkim tygodniu; wiosna acz wczesna, niestała była i przemienna, deszcz i śnieg ze słońcem walczyły, drogi kałużami stały, rzeczki były wezbrane i podróż uprzykrzona szła powoli. A gdy ku Quedlinburgowi się zbliżali, coraz było tłumniej na gościńcach.

Wzgórzystsza coraz okolica, piękna dla oka, jeszcze się w zieloną trawę nie była całkiem przybrała, łąki już tylko młodą trawą się okryły... Tu oczów od najrozmaitszych widowisk oderwać było trudno; tłumami płynęły ku miastu poczty książąt, grafów, markgrafów, biskupów i wszelkiego ludu. Wśród nich spotykały się i słowiańskie książątka zawojowane, ciągnące z żalami i prośbami do cesarza. Konne te poczty, zbrojne różnie, każdy odziany inaczej, mówiące językami najrozmaitszemi, spoglądały na siebie ciekawie, często niebardzo przyjaźnie, szydersko nawet i wzgardliwie. Grekom śmieszne wydawały się obcisłe frankijskie stroje, Bulgarom słomiane saskie okrycia głów, a tym, co z odkrytemi włosami jechali, czapki Włochów zdały się próżnym ciężarem.

Mieszko, choć pańsko wyglądał z lica, z małym swym, niepokaźnym orszakiem, ginął w tej powodzi.

Było mu to może na rękę, gdyż więcej pragnął widzieć, niżeli być widzianym. Wiodło mu się też bardzo szczęśliwie, i nie zwracał oczów na siebie, aż o pół dnia drogi do miejsca, ku któremu dążyli, — całe niespodzianie, a bez niczyjej winy, o mało zdradzonym nie został...

Z rana, spuszczając się z góry, natrafili na liczny i okazały poczet, który zdala ciekawość knezia obudził. Dla dognania go puszczono konie kłusem, i, w chwili, gdy się mijać mieli, obróciwszy się, Mieszko poznał na przedzie jadącego szwagra swojego, młodego Bolka czeskiego. On też przez niego postrzeżonym został i poznanym; nie pozostało mu więc nic, jeno zatrzymawszy konia, przyznać się do potajemnej wycieczki pod cudzem imieniem.

— Spodziewam się — rzekł Mieszko, — że ani wy, ani ludzie wasi nie zechcecie wydać, kim jestem. Jadę, abym się przypatrzył oczyma własnemi temu, o czem mi ludzie opowiadali, — ale nie chcę, aby o mnie wiedziano.

Bolko nietylko zgodził się na to chętnie, ale dla bezpieczeństwa większego, zaprosił, aby się Mieszko z nim połączył, by jadąc w jego orszaku, mniej jeszcze oczów zwracał na siebie. Tak się też stało i skromnie w poczet Czechów się wmieszawszy z ludźmi swoimi, chętnie zgodził się kneź na podrzędne stanowisko, Bolkowi dając pierwszeństwo.

Chociaż w tym roku napływ na dwór cesarski mniejszym był może, niż w innych latach, zawsze jeszcze był dość znacznym, aby dać pojęcie o potędze cesarza Ottona. W murach miasta, na zamku, cesarz zaledwie i najbliżsi go z rodziny i dworu, a najdostojniejsi z duchowieństwa, arcybiskupi, książęta Kolonji, Trewiru, Moguncji pomieścić się mogli, reszta gospody sobie pod namiotami w polu szukać musiała nad obu ramionami Budy.

Poczty pańskie, niemal wszystkie dokoła, na równinie i stokach wzgórzy otaczających rozkładały się obozami, a namioty różnobarwne, szałasy i budy wiel-

ką już przestrzeń zajmowały... Gdzie niegdzie ponad niemi powiewały małe chorągiewki z przeróżnemi znaki.

Wśród ciżby wojskowej i ciurów tłum najróżnorodniejszych handlarzy, kupców, kuglarzy i posługaczy roił się, wykrzykując i nawołując. Bliżej bramy miasta, przy wozach okrytych, kupcy z Wenecji i Amalfi dobijali się do wnijścia dla sprzedaży... Na tysiące liczyć było można poczty panów, które już Bolka i Mieszka poprzedziły, tak że, chcąc sobie dogodne i niezbyt odległe znaleźć miejsce na obozowisko, musieli długo szukać, dobierać, a potem się o nie prawie z orężem w ręku dobijać jeszcze.

Z samego miasta mocnemi mury i wieżami obwarowanego, widoczniejszemi były, niż pałac cesarski, klasztory i kościoły, niedawno jeszcze z wielką wspaniałością wzniesione a obwarowane. Cesarskiej krwi niewiasty pobożne pierwszemi tu były opactwa przeoryszami; w zamkowym kościele sascy panowie wystawili grób dla siebie; tu spoczął Henryk ojciec Ottona i matka jego. Kopuły i krzyże kościelne wysoko panowały nad grodem.

Zaledwie spocząwszy na wytkniętem obozowisku, które Bolko znamieniem swem na włóczni osadzonem naznaczyć kazał, wdziawszy suknie i przypasawszy miecze, Bolko i Mieszko razem poszli do kościoła. Na nieszpornem nabożeństwie najłatwiej mogli ujrzeć pobożnego pana, którego oba oglądać byli ciekawi.

Z nimi i za nimi szedł tłum mnogi z obozu ku kościołom, wśród którego różne narodowości rozpoznać lub domyślać się mogli.

Do kościoła zaledwie się już mogli docisnąć. Mieszko po raz pierwszy oglądał zbliska budowę z takim kunsztem i okazałością, jakby nie ludzką ręką wzniesioną. Kamienne jej wyniosłe ściany, sklepienia wiszące w powietrzu, ozdoby, oświecenie, bogactwo ołtarzów, choć teraz nawpół zasłonami żałobnemi okrytych, szaty duchownych, naczynia ofiarne, postacie Ukrzyżowanego, gołąb złocisty nad ołtarzem, zdający

się ulatywać w powietrzu, skrzydlate anioły, olbrzymie posągi, przejmujące grozą, surowe i straszne, odgłos śpiewów pełnych boleści, uroczysty spokój świątyni i pokora wszystkich w niej znajdujących się, uczyniły wrażenie jakiejś trwogi i niepokoju na mieszkańcach i panu krajów, żyjących w pierwotnych wieków prostocie.

Trony — cesarski i biskupi, stojące naprzeciw siebie, zwróciły naprzód jego oczy. Na jednym z nich siedział w czapce ze złocistem kołem i przepaską kamieniami sadzoną mąż surowej twarzy, z brodą ciemną, nieostrzyżoną, z pochylonem czołem, zamyślony i smutny. Twarz to była rycerza i pana, człowieka nawykłego walczyć z losem i przełamywać, co stało na drodze, poorana marszczkami, fałdami, porznięta, ogorzała, zmęczona.

Domyśleć się było można w nim ojca, co musiał walczyć z synem, z bratem, papieżem, z cesarzem bizantyjskim, z Saraceny i Ugrami, ze Słowiany i własnym narodem, który zwyciężył wszystkich i teraz spoczywał w swej sile, marząc o połączeniu dwóch koron cesarskich na jednej skroni, przez Teofanję dla syna wyswataną. Odziany płaszczem purpurowym, obszytym klejnotami, spiętym klamrą iskrzącą na piersi, w przepasanej kosztownym pasem od miecza tunice, w szkarłatnem obuwiu, Otto siedział na tronie złotym, którego dwie lwie paszczęki z pod fałdów płaszcza wyglądały. Zamyślony słuchał pieśni, która się lała powoli, jak krew z rany. Nie rozumiejąc słów jej, czuć było jęk, jakby konających z rozpaczy...

Tuż przy tronie, na stopniach aż do dołu i posadzki, ustawieni byli, jak posągi nieruchome, cesarscy urzędnicy, wedle dostojeństwa, dzierżący miecze, laski, tarcze pańskie i godła władzy... Z odkrytemi głowy, ze wzrokiem spuszczonym, obwieszeni łańcuchami, okryci płaszczami bogatemi... czuwali na straży przy panu.

Naprzeciw, na drugim tronie, niższym, ale również wspaniałym jak cesarski, pod baldachimem także sie-

dział starzec z brodą siwą, z głową okrytą czapką podróżną złocistą, od której dwa końce szyte spadały, w płaszczu bogatym, ze złotą laską pasterską w ręku. Otaczał go równie prawie liczny orszak duchowieństwa, przyklękającego przed nim, przynoszącego mu światło i kadzidło... podtrzymującego księgi w złotych okładzinach, rękami ich gołemi dotknąć nie śmiejąc.

Przed nimi obu i nad nimi wznosił się ołtarz, a wśród niego na prostym krzyżu z ledwie ociosanego drzewa umęczony Zbawiciel, ranami okryty, konający, odarty, w cierniowej koronie, królował wyżej purpury i złota, w majestacie boleści.

Mieszko, duchem poganin jeszcze, nie rozumiał tego Boga, ale drżał przed nim...

Niżej stał tłum ogromny: w żelazo okuci rycerze, cali w łuskowych kaftanach, niektórzy z tarczami krągłemi, po których Duńczyków poznać było można; inni z owalnemi rzymskiemi, inni ogromnemi puklerzami gockiemi, z mieczami u nasadzanych pasów złotych, w blachach, w okryciach jasnych, w strojach najrozmaitszych, Longobardowie, Włochy, Skandynawy, Grecy, Dalmaci, Bulgarowie, Francuzi...

Na każdej z tych twarzy czarnych, bladych, śniadych, czerwonych, żółtych, napiętnowanej pochodzeniem odmiennem, inny charakter, inne tryskało uczucie i myśl, to rozbudzona, to napół uśpiona, to w pieluchach dziecięcych drzemiąca...

Wszystkie te sprzeczności, niesforności, zapaśnictwa w milczącej czci łączyła jedność wiary i jedna karna podległość władzy.

Potęga tego Boga i pana chrześcijan, który w jego imieniu sprawiał rządy nad światem, nigdzie się wyraźniej odmalować nie mogła, jak tu i w tej chwili. Na skinienie tych dwu tronów w najodleglejsze krańce ziemi gotowe były biec te hufce zbrojne.

Mógłże Mieszko walczyć z tą siłą, jak fale wezbranego morza, wylewającą się na ziemię?

Stał on wpatrzony, zamyślony, a w głowie jego przesuwało się zarazem wspomnienie o wszystkich zie-

miach jednej mowy, rozdzielonych, rozproszonych, rozbitych, które on mógł w Imię samej Bożej potęgi zjednoczyć.

Mieszko, czy Bolko, ktokolwiekby miał rozum i siłę, nie miałżeby państwa od granic Bizancjum aż po rubieże Ottona?

Upokorzenie, uczucie słabości, jakiego doznał na chwilę, ustąpiło dumie pewnej i nadziei. Sascy książęta w swem gnieździe nad Łabą byliż dawniej potężniejsi od niego?...

Ażeby dorosnąć do tej potęgi, potrzeba było tylko siłę tych dwu tronów uśpić, sprzymierzyć się z nią, pokłonić jej, cierpieć, milczeć, uniżyć się, by się podnieść, a może dopiero w spadku pokoleniom zostawić owoc tego upokorzenia i ofiary.

Gdy w chórze brzmiały żałobne pieśni kościelne, Mieszko stał, myśląc o sobie, o przeszłości rodu i narodu swojego, okiem trwożliwem badał tę twarz cesarską, niepojętą dlań, bo widział na niej teraz pokorę tylko i smutek. Tak pokornym musiał on być, aby pozyskać siłę...

Ściśnięci wśród mnóstwa napełniającego świątynię, stali aż do końca długich modłów i śpiewów. Umilkły one wreszcie i cesarz, przyklęknąwszy, ruszył ze swojego tronu, przeprowadzany przez biskupa i duchowieństwo. Niesiono przed nim światło i kadzono mu, jak bóstwu. Szeregiem przed nim postępowali dostojnicy dzierżący miecze, tarcze, laski, rozgarniający tłum, strzegący, aby się suknia pańska nie otarła o ciżbę pośliednią. W tym orszaku szedł Billing saski i Otto król syn cesarski i Luitgarda i książęta bawarscy i mnodzy inni.

We drzwiach świątyni znikało powoli widzenie, kościół ciemniał, mrok i cisza zalegała go, lampy płonęły tylko u grobu Chrystusa...

Bolko i Mieszko stali długo, przypatrując się odpływającym tłumom, które po ulicach miasta, w podwórcach pałacu i drzwiach domostw znikały.

I im pora była odchodzić do obozu, gdyż do obli-

cza cesarskiego nawet zdaleka nie przystępował, kto chciał. Poszli więc w milczeniu, nie mówiąc nawet do siebie, i dostawszy się do bramy, znaleźli się na obozowisku. Tu paliły się latarnie, gdzie niegdzie pobrzękiwała muzyka i mimo żałoby odzywały się śpiewki, konie rżały, a okolica przypominała przeddzień bitwy, gdy się wojsko położy napół, wpół czuwa, aby nazajutrz do boju gotowem było.

Mieszko, uścisnąwszy szwagra, nie mówiąc słowa o tem, co widział, pod swoim namiotem legł na spoczynek.

VII.

Pierwszego dnia Wielkiej Nocy cesarz Otto po nabożeństwie dawał posłuchanie zdala przybyłym posłom, panom i książętom. Bolkowi czeskiemu ten dzień tam do złożenia hołdu był wyznaczony.

Każdy z książąt szedł z pocztem swoim, który w pierwszej izbie zwykle pozostawał. Przystęp do cesarza nie był łatwym; otaczał go dwór wielki, ogarniali proszący, skarżący się, domagający posiłków i pomocy, przybyli zdaleka. Wielu odsyłał pan do swych kanclerzy, pisarzy i starszyzny licznej nad miarę, z niektórymi wymieniał słowo dobre, innych całkiem przypuścić nie dozwolił. Stali ci, co gniew na siebie ściągnęli, po trzy dni w podwórcach, a wkońcu czasem wyniesiono im odpowiedź, aby na rok następny przybyli *).

Cesarz dla Bolka, jako świeżego sprzymierzeńca, mając w pamięci Ugrów może i Lechowe pole, łaskawszym się okazał. Wpuszczono go dla pokłonu, a Mieszko, wmieszawszy się między poczet szwagra, zdala się tylko przypatrzyć mógł majestatowi cesarskiemu. Otto siedział na złocistem krześle, okrytem poduszkami szkarłatnemi, w jedwabnej sukni lekkiej, perłami obszywanej. Poza nim stał dwór cały w łańcuchach,

*) Ditmar.

szkarłatach, drogich futrach i pasach kamieniami sadzonych. Niedaleko tronu srebrny stół pozłocisty, na którym widać było wyryty wizerunek stolicy Bizancjum, zastawiony kubki i naczyniami złocistemi, okryty tuwialniami szytemi, błyszczał, jak ołtarz kościelny. Obok starego Ottona stał syn w złotogłowiu i jedwabiach, sparty na wielkim mieczu, którego pochwa iskrzyła się od szmaragdów i rubinów. Bogactwa zdawały się nagromadzone umyślnie dokoła, aby olśnić tych, co cesarzowi pokłonić się przychodzili. Wszystko, na co ówczesna sztuka grecka, handel wschodu, zręczność Włochów i Gallów zdobyć się mogła, otaczało cesarza. Szkarłaty, o które się tak dobijał Luitprand dla Ottona, jak o rękę Teofanji dla syna jego, rozlegały się wszędzie. Podłogę wyścielały kobierce, ściany okrywały szyte ręką królowej Matyldy, córki Luitgardy i Matyldy opony wzorzyste.

Wszystko to jednak najmniej Mieszka zdumiewało; w swym skarbcu, w drewnianym dworze nad Cybiną, miał tyleż drogiego kruszcu, co Otto. Zazdrościł mu nie złota i jedwabiu, ale powagi i siły, zjednoczonych ludów, podbitych narodów, szerokich granic i mnogości hołdowników. Zdala patrzył na cesarza, na syna, jakby badał myśl ich i ducha...

Bolka przyjął Otto łaskawie, o ojca starego zapytał; o Ugrów, których posłowie przybyli, zagadnął... skinął i odprawił.

Tegoż dnia wezwano Bolka z pocztem jego przedniejszym do pańskiego stołu, i mieli cześć obiadować z niemieckimi książęty, poglądającymi na chrzczonych Słowian jak na stworzenia, co ledwie ludźmi nazwać się mogły. Mieszko słuchał, jak się na niego odgrażano i jak mu wróżono zagładę. Napróżno Bolko oznajmił, iż wkrótce wiara chrześcijańska ogłoszoną zostanie u Polan, szydzono z tego i naśmiewano się.

Któryś z markgrafów ozwał się, że jeden tylko Gero chrzci skutecznie Słowian, przypominając tę ucztę, na którą zaprosiwszy kilkudziesięciu wodzów słowiańskich, markgraf ich wszystkich w pień wyrznąć kazał.

Już ku końcowi utrapionej biesiady przyszło im być świadkami niespodzianego wcale wypadku.

W podwórzu wrzawliwe zaczęły się odzywać głosy: najwięcej jeden górujący zuchwale nad innemi. Poskoczyła więc pośpiesznie służba cesarska, aby uśmierzyć wrzawę, gdyż Ottona brwi groźnie się marszczyć zaczynały. W drugiej komnacie, do której drzwi były odsłonione, siedział cesarz u srebrnego stołu, z córkami i synem. Dano mu znać, iż gwałtownie i natarczywie dobijał się przypuszczenia Wigman, graf Lunenburgski.

Był to krewniak cesarski, którego Włast spotkał na zamku grafa Gozberta, niespokojny duch, któremu zdało się może, że jak Ludolf i Thankmar, potrafi zmusić Ottona do dania mu jakiej marchji nad granicą lub księstwa wewnątrz Niemiec.

Znano go wszakże zbyt dobrze, aby mu ufać miano. Wigman miewał sobie poruczane zlecenia i dowództwa, a nigdy z żadnej sprawy nie wyszedł inaczej, jak z waśnią i bójką. Dosyć było imienia Wigmana, by cesarzowi popsuć biesiadę i myśl wesołą, wysłał natychmiast przeciw niemu podkomorzego, czekać mu w podwórzu rozkazując.

Wigmanowi, który się mianował jakimś siostrzeńcem Ottonowym, w podwórzu między gawiedzią, wystawionemu na pośmiewisko, stać się nie chciało. Odparł więc hardo, że czekać będzie, ale nie z pachołkami, tylko w cesarskich komnatach i wszedł gwałtem prawie do pierwszej z nich, gdzie właśnie między innymi książęty i grafami Bolko z Mieszkiem siedzieli. A że niejeden już raz kneź się z nim oko w oko w bitwach spotykał i dobrze się znali, uląkł się przeto Mieszko, aby nie był przezeń wskazanym, i podparłszy się na stole, twarz sobie w części zasłonił.

Gdyby Wigman go publicznie po imieniu nazwał, a podstępne przybycie na dwór cesarski odkryło się, Mieszkowi groziło niebezpieczeństwo, bo nie będąc jeszcze sprzymierzeńcem Ottona, za szpiega wypatrującego mógłby być wzięty.

Szczęściem dla niego, Wigman wszedł jeszcze cały oburzony i gniewny za doznane przyjęcie obelżywe i niewiele widział, co się wokoło niego działo. Stanąwszy naprzeciwko drzwi i stołu cesarskiego, wlepił oczy w Ottona i już ich z niego nie spuścił. Cesarz zaś, który i widział go pewnie i słyszał, i przez podkomorzego był o nim zawiadomiony, choć siedział naprzeciw, ani nań spojrzał, ani okazał, że się oń troszczy. Śmiał się i rozmawiał umyślnie, niby objawiając, że go to nic nie obchodzi, a przeciągnął siedzenie u stołu, aby zuchwałego człowieka upokorzyć.

Wigman, któremu pewnie stało na to, aby wystąpił przed cesarzem, jak dla niego przystało, ubrał się ubogo, odarto, niemal brudno, we zbroję porwaną, w chodaki poszarpane, miecz na ladajakim pasku... aby okazał, jak krewniaka w nędzy opuszczono. Lecz mimo to duma biła mu z zasępionej twarzy i strój jeszcze wybitniej podnosił butę człowieka, który się równym krwią z Ottonem sądził.

Wszyscy książęta, siedząc u stołu, widząc, na co się tu zanosi, radzi byli doczekać końca sprawy, a spodziewać się było można, że cesarz publicznie, doznawszy hałaśliwej napaści, która jego dostojeństwu uwłaczała, zechce ją powetować tak, aby wszyscy byli świadkami upokorzenia dumnego panka.

Gdy się to przedłużało, Mieszko ciągle twarz musiał odwracać i ukrywać, aby przypadkiem w oko nie wpaść nieprzyjacielowi.

Naostatek, gdy zdjęto z przed cesarza misy srebrne i obrusy szyte, a uczta była skończona, wyszedł podkomorzy cesarski, dając znak, ażeby się Wigman przybliżył.

Jakby odniechcenia zwolna począł iść Wigman, niby pyszniąc się swą odartą odzieżą i we drzwiach naprzeciwko Ottona stanąwszy, ledwie głowę przed nim skłonił.

Dopiero teraz cesarz z groźnem obliczem, zmierzywszy go oczyma, potarł gęstą i długą brodę i stłumionym głosem zapytał go, czego chce.

— Czego ja chcę, miłościwy panie — ochrypłym i gniewnym tonem ozwał się Wigman — łatwo to odgadnąć, spojrzawszy na mnie i przypomniawszy, kto jestem. Wszyscy nawet ci, co wojowali z cesarzem i miecz na niego podnieśli, wyposażeni są, a Wigman nie ma nic... Czas, ażeby się to skończyło.

Otto słuchał, nie patrząc nań.

— I Wigman — rzekł — wyposażony był przez cesarza... a wypłacił mu się nieposłuszeństwem i zdradą... niechże cierpi...

— Cesarskiemu domowi nie przynosi to zaszczytu — mruknął Wigman — gdy się krew jego wala, nie mając przytułku... i jak płatny ciura służyć musi...

— Gdy krew zła, to ją z żyły puszczają — odparł Otto.

Wigman się cynicznie rozśmiał.

— Nie przyszedłem prosić o łaskę, ale o sprawiedliwość... — rzekł. — Na to was Bóg posadził na tej stolicy, abyście ją sprawiali...

— I pełnię ją — odparł Otto groźnie — z większem miłosierdziem, niż surowością... Jeżelim zaprawdę zgrzeszył, to chyba łaskawością względem tych, którzy się nigdy opamiętać i nigdy poprawić nie umieją, nawet, gdy się im daje czas do pokuty.

— Spójrzcież na mnie — począł, podnosząc głos, Wigman, — spójrzcie, a może wyrozumiecie, iż mam słuszność przychodzić tu z żalem i skargą. Przystałoż mi tem być, czemeście mnie uczynili?

To mówiąc i śmiejąc się szydersko, pokazał na poszarpaną odzież i zbroję.

— Nie myśmy z was uczynili takiego nędzarza, ale wy sami — zawołał cesarz. — Zamiast siedzieć na waszem hrabstwie, kumaliście się ze wszystkimi buntownikami, próbowaliście zbierać Słowian przeciw nam, wskazywaliście im drogę, chodziliście z nimi...

— Tak samo syn rodzony wasz chodził przeciw ojcu, gdy mu się niesprawiedliwość stała... Prawda, szukałem obrony u Słowian, nie mogąc sprawiedliwości znaleźć u ciebie.

— Idźże i dziś do nich, niech ci pomogą! — odparł popędliwie Otto, wskazując ku drzwiom.

Wigman stał, patrząc dumnie i szydersko.

— To ostatnie cesarskie słowo? — zapytał.

— Proście Boga, aby ono było ostatniem — zawołał Otto, — bo po niem mogłoby z ust moich wyjść jeszcze inne, któreby na wieki sprawę między mną a tobą rozstrzygnęło.

Wigman, posłyszawszy to, nie zmienił postawy, nie uląkł się i nie ruszył.

— Dobrze jest — rzekł ponuro — iż tego wyroku, groźby i przyjęcia licznych mam świadków. Nie powiedzą ludzie, że Wigman się nie upokorzył przed swym panem, nie prosił... i że został odepchnięty.

Cesarz odwrócił twarz; syn i córki stali w milczeniu, nieco się cofnąwszy, widocznie strwożeni. Świadkowie w pierwszej izbie mimowolnie z zajęciem oczekiwali końca tej rozprawy, która mogła się rozstrzygnąć więzieniem lub wygnaniem. Otto wszakże ścierpiał tę dumę krewniaka, a gdy ten stał ciągle nieruchomy, dodał:

— Jedźcie, gdzie wam nakazano być, pod rozkazy Gerona, czyńcie, co on poleci... a po upływie roku, gdy nic wam do zarzucenia nie będzie, zobaczymy, co wam sprawić będziemy mogli.

— Pod rozkazy Gerona? ja? pod jego zwierzchnictwo?... — krzyknął Wigman. — Jabym to ścierpiał, aby mi jeden taki prosty człek przewodził? aby mnie upokarzał i wysługiwał się?...

Cesarz nie chciał już odpowiadać; Wigman, zaczekawszy i widząc, że zmiany wyprosić nie potrafi, ruszył się nareszcie.

— Niech więc się stanie, co przeznaczono—rzekł.— Nie z ręki waszej, miłościwy panie, ale z ręki Boga przyjmuję, na co mnie skazujecie... będę wiedział, co mam czynić. A jakiekolwiek następstwa z tego wynikną, niech spadną na tego, co je wywołał... Wigman jest nędznym, ubogim wojakiem, nie mającym przyja-

ciela ani sprzymierzeńca — dodał — ale Bóg wielki... znajdą się może, co go poratują i siłę mu dadzą...

Ta odgróżka rozgniewała Ottona, który się zwrócił do swojego dworu.

— Dziękuj Bogu, zuchwały człecze — zawołał — iż dnia Zmartwychwstania Pańskiego, dnia triumfu i wesela nie chcę surowością pokalać... Oddal się natychmiast.

Otto ukazał powtórnie na drzwi.

Zaczynali się ruszać przyboczni jego i Wigman, zapewne obawiając się, aby zuchwalszy który ręki na nim nie położył, z twarzą gniewem zmienioną, cofać się począł. Milczenie straszne w obu komnatach towarzyszyło temu powolnemu pochodowi. Jakby obawiając się napaści, Wigman na mieczu położył dłoń i niema wątpliwości, że gdyby był naówczas kto przystąpił doń, bezkarnieby mu to nie uszło.

Cesarz zdala śledził oczyma każdy krok zuchwałego krewniaka, który nareszcie zwolna i jakby umyślnie mierzył kroki, doszedł do progu pierwszej komnaty, stąd jeszcze groźny wzrok odwrócił na cesarza, popatrzył nań wyzywająco i tak samo, nie śpiesząc, aby nie okazać bojaźni, wyszedł z pałacu.

Jakkolwiek cesarz moc swą i powagę okazał, nieprzyjemne po sobie wrażenie zostawiło to spotkanie. Nikt nie śmiał słowa rzec, ani podnieść oczów. Jeden z podkomorzych wyjrzał za odchodzącym i śledził go w dziedzińcu. Tu Wigman dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko ludzi, z których jeden wziął tarczę jego, drugi ogromny miecz jednosieczny bez pochwy, z podwórka zamkowego wyjechał.

Łacno się było domyśleć po tem rozstaniu z cesarzem, że Wigman, który już podobnego używał środka, uda się do Słowian i burzyć będzie na granicach plemiona, które najmniejszą nadzieją połechtać się dawały i nakłonić do buntu. Otto wszakże dosyć był teraz mocen na granicy, dzięki Geronowi i przymierzu z Czechami, by się warchoła, jak Wigman, nie lękać, mogąc raczej spodziewać, iż Słowianie sami wkońcu go po-

chwycą i wydadzą lub zamordują. Nie kazano go więc zatrzymać, ani go się starano ułagodzić i przejednać, puszczając go wolno na losy, jakie go spotkać mogły.

Mieszko w czasie tej rozmowy przysłuchiwał się jej z nadzwyczajną uwagą, pierwszy raz słysząc cesarza; z głosu i mowy usiłował go odgadnąć. Posłużył mu Wigman więcej do poznania Ottona, niż cały pobyt w Quedlinburgu.

Dnia tego przed wieczorem jeszcze, na podwórzach młodzież rodzaj gonitwy rycerskiej odprawiała, której sam cesarz z wysokiego ganku się przypatrywał, poczem z duchownymi i panami przybocznymi na radę poszedł i na niej dopóźna pozostał. Niemniej jednak podkomorzowie i stolnicy, przy ciągle zastawionych stołach, gości cesarskich przyjmowali. Tak upłynęły na nabożeństwach, turniejach, biesiadach, radach i posłuchaniach dni następne, w czasie których ośmielony tem, iż go nikt nie poznawał, Mieszko korzystał z pobytu, aby się całemu porządkowi dworu cesarskiego i jego wspaniałościom przypatrzyć. Ciągle w orszaku Bolka, jako jego powinowaty, skromnie się zachowując, sądził Mieszko, iż nań wcale oczów nie zwracano i nikt o nim wiedzieć nie mógł. Nieodstępnym będąc przy Bolku, jego o wydanie tajemnicy wcale posądzać nie myślał, ani się go obawiał.

Nadeszły wreszcie dni ostatnie, gdy cesarz, jak zwykle, zaledwie święta odprawiwszy, w podróż się nazad do Włoch wybierał, których posiadanie więcej go może obchodziło, niż sprawy niemieckie. Dlatego tu gotów był łagodzić, jednać i uspokajać, ażeby tam całą siłę móc obrócić.

Ostatniego dnia uroczyście żegnali przybyli cesarza i każdy, wedle stopnia i stanu swojego był obdarzony. Dary te składały się z kosztownych naczyń, pasów i mieczów rycerskich dla przedniejszych osób, bogatych futer i płaszczów jedwabnych, a dla pośledniejszych z sukien wełnianych, futer zwykłych i odzieży rozmaitej. Wymagał tego i obyczaj i cześć cesarza, aby nikt stąd nie odszedł z próżnemi rękami. Na to ostatnie

posłuchanie dopuszczano każdy poczet i każdego z książąt i panów osobno, aby rycerz mógł ustnie wypowiedzieć im, czego nadal po nich wymagał. Niektórym z nich dawał zlecenia poufne, które na osobności powierzone być musiały. Przyszła tedy kolej na Bolka, a temu też baczność na Ugrów poleconą być miała, i szedł on do cesarza, gdy Mieszko, który podarku chciał uwłaczającego sobie uniknąć, zażądał, aby mu dał zostać.

Działo się to w obecności podkomorzego cesarskiego i Mieszko na ucho się zwierzał z żądaniem swemu szwagrowi, który nie wiedział, co począć, gdy urzędnik, snać się domyślając może, o co szło, wyraził życzenie cesarza, by Bolko swoich towarzyszów poprowadził, nie odpuszczając. Nie chcąc podejrzenia wzbudzić jakiegoś, Mieszko, przodem puściwszy Sławnika, szedł, starając się jak najmniej być na widoku.

Otto przyjmował wszystkich, siedząc na krześle tronowem takiem, jakie wprzódy stało w kościele. Miał na sobie płaszcz purpurowy i sandały szkarłatne ze złotem. Gdy wchodzący pokłonili mu się, a Bolko przystąpił naprzód, wielce to zmieszało Mieszka, iż Otto zamiast na Czechów zwrócić uwagę, pilno mu się przypatrywać zaczął. Kilku słowy potem pozdrowić kazawszy starego Bolesława, podać kazał cesarz kubek złoty, roboty misternej, sadzony perłami i kamieniami, i poprosił, by na pamiątkę go przyjął. Innym też dostały się szuby i płaszcze, i Mieszko już się bezpiecznym sądził, gdy cesarz znowu nań pilno bardzo wzrok skierował. Szepnął coś do ucha podskarbiemu swojemu, a ten mu przyniósł miecz z pasem nadzwyczaj wytwornej roboty, a ceny wysokiej. Poglądali wszyscy zdziwieni, komuby go cesarz chciał dać, gdyż już nikogo tak dostojnego nie było, aby tak drogocenna rzecz dostać mu się mogła.

Ująwszy miecz w rękę, Otto skinął ku Mieszkowi i odezwał się doń z uśmiechem:

— Nie znam was, miły kneziu... nie wiem nawet, kto jesteście... Dosyć mi tego, że ze sprzymierzeńcem

moim i dobrym przyjacielem przybywacie... Chciałbym, abyście i wy też byli mi przyjaznym, przyjmijcie ten miecz z życzeniem, abyście go nigdy przeciwko mnie nie podnieśli, a raczej z nim w pomoc mi przyszli w potrzebie, tak ja gotów będę was wesprzeć, gdybyście żądali...

Mieszko nie mógł nie przyjąć cesarskiego daru, lecz zarazem uląkł się mocno, domyślając, iż był poznanym lub zdradzonym. Na twarzy Ottona malowało się raczej zadowolenie i radość, niż gniew i podejrzenie. Bolko pobladł w obawie, by nie został posądzonym o wydanie tajemnicy. Nastąpiło krótkie milczenie, a cesarz dodał jeszcze, uśmiechając się:

— Na mieczu tym krzyż jest wyryty... niech wam przypomni, iż on jedynie jest znamieniem zwycięstwa... i że tam, gdzie on nie panuje, ani pokój, ni szczęście panować nigdy nie mogą...

Wszyscy zatem, jeszcze raz się pokłoniwszy cesarzowi, odchodzili, a Mieszko, który miecz swój niósł, nie mogąc go ani przypasać, ani ukryć, ściągnął na siebie oczy całego dworu. Oczywistą było rzeczą, iż Otto w nim poznał lub był uwiadomionym o księciu polańskim. Inni domyślali się jeszcze więcej i inaczej, niż było. Szeptano, spoglądając ciekawie na obdarzonego.

Zaledwie w podwórze wyszli, gdy Bolko się zwrócił do szwagra, poprzysięgając mu, iż nie zdradził on, ani żaden z jego ludzi, ale inny ktoś chyba poznać i ukazać go musiał. Mieszko łatwo temu uwierzył, chociaż niepojętem się to zdawało, a podarunek miecza tak bogatego omyłką żadną być nie mógł.

Tem prędzej teraz, obawiając się, aby wieść o nim się nie rozeszła, Mieszko chciał odjeżdżać: posłano po ks. Jordana, który przez cały ten czas u księży przy kościele św. Wiperta bawił. Padało nań podejrzenie najmocniejsze, że on przed duchownymi mógł się wydać z tajemnicą, a jeden z nich do cesarza ją zaniósł. Ks. Jordan jednak nie przyznawał się do tego.

Natychmiast obóz zwijać poczęto i do drogi się sposobić. Inni też goście wyjeżdżali, każdy w swą stro-

nę, kupcy z bud i szałasów towary na wozy pakowali, ruszając dalej w głąb kraju. Okolica miasta ludna i życia pełna, co godzina puściejszą się stawała. Cesarz wkrótce Quedlinburg miał opuścić i wojsko, towarzyszące mu, już stało wpogotowiu.

Nie wszyscy równie wesoło opuszczali gród cesarski; wielu, jak Wigman, groźbami odprawionych zostało, inni, czego chcieli, nie dopięli, duchowieństwo tylko całe, pobożnością i dobroczynnością pana wzruszone, opiewało chwałę jego.

Część drogi mając razem ze szwagrem odbywać, Bolko starał się wyrozumieć z niego, jakie dwór cesarski i potęga jego uczyniła na nim wrażenie, nie potrafił jednak dobyć zeń nic jasnego. Mieszko uśmiechał się, dobrej był myśli, rad z podróży, potakiwał bratu, ale tego, co czuł, nie wydawał.

Rozstali się ku granicy już, tam gdzie się wprzódy spotkali i Mieszko z małym orszakiem swoim puścił się ku Poznaniowi. Następnego dnia o Wigmanie dostał języka Chotek, który towarzyszył kneziowi, jakoby z Wolinami się związał i coś na pograniczu zamierzał, przeciwko Polanom, albo nawet Ottonowi, lub obojgu razem. Tem też śpieszniej ku domowi dążyć było potrzeba. Chotek wyprawiony został, aby miał oko na swoich i w razie potrzeby z Mieszkiem się łączył.

Domyślano się, że Wigman, cesarzowi się chcąc zasłużyć, rzuci się do podbojów za Odrę, albo — bo i to być mogło, — obróci się przeciw niemu, ze Słowian sobie zastęp groźny tworząc, by go zastraszył i wyjednał sobie, czego pragnął. Na jednej i drugiej stronie widywano już tego człowieka, który się łatwo przerzucał, gdzie widział korzyść swą lub rozgłos mógł zyskać.

Jeszcze z nim trzymali nieraz nadgraniczni markgrafowie, gdy już na nich wiązał się z nieprzyjacioły. Dla Słowian taki człowiek, jak on, był pożądanym sprzymierzeńcem, gdyż wojować umiał, odwagę miał, Niemców znał dobrze, a nigdy nieuspokojonego ducha, ciągle coś knuł nowego, nie spoczywając na chwilę.

Tak, jak był nocą i niemal pokryjomu z grodu swojego zniknął Mieszko, jednej znowu wiosennej nocy, gdy go się nie spodziewano, zjawił się tu pocichu i poszedł Dubrawkę powitać.

Nie powiedział jej, kędy był, przywiózł tylko pozdrowienie od brata i podarek, co do myślenia dawało, że w Czechach mógł bawić, bo Dubrawka o podróży Bolka nie wiedziała.

Tegoż samego dnia posłano do Sydbóra do Gniezna, aby wojska miał wpogotowiu i na dany znak ściągnął z niemi.

Na zamku ruch się wszczął wielki, posłańcy i szpiegi wyprawiono na granicę, ludzi zewsząd spędzano i w przyborach tych do wojny, na czatach stojąc niemal, Mieszko pogodniejszej doczekał się wiosny.

VIII.

Chodzące po kraju groźne wieści, które przez gadatliwy dwór Dubrawki mogły być puszczane, kazały się co chwila spodziewać obalenia świątyń pogańskich i powołania ludu do chrztu, tak jak się to w Czechach stało... Niemal codzień i co godzina wyczekiwano rozkazu, któremu się jawnie opierać nie było sposobu... Mieszko miał z sobą i przy sobie najdzielniejszą młodzież, ludzi do boju wyciągniętych i zupełnie sobie oddanych, a z tymi tłum walczyć nie czuł się na siłach.

W szeregach ich znajdowało się już wielu chrześcijan, liczba ich rosła, starszyzna nawracała się jawnie, cała ludność, bliższa Poznania i Gniezna, powoli już się dzieliła na dwa obozy, stroniąc od siebie i tając przed sobą. Chrześcijanie coraz śmielszymi się stawali, bałwochwalcy coraz bojaźliwszymi... Nie w jednej rodzinie ojciec taił się przed synem, brat przed bratem...

Duszą oporu byli starcy, dziadowie, wróżbici, śpiewacy, stróże przy chramach i lud zamieszkały w głębi kraju... Apostołowie jeszcze tam nie byli doszli, i żad-

nej nie czując zmiany, ani zgóry nakazu, pochlebiali sobie mieszkańcy osad odleglejszych, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą swą wiarę...

Przedłużone milczenie, obojętność pozorna knezia rozmaicie go sobie tłumaczyć dozwalały. Było i takich wielu, którzy sądzili, że Mieszko uwodzi chrześcijan, aby im tem większą zadał klęskę... Stary Warga, wedle potrzeby, raz przeciwko niemu jątrzył, to znowu w nim kazał pokładać nadzieję.

Przybycie Dubrawki zrazu zdawało się zwiastować chwilę stanowczą, lecz gdy miesiące upływały, a nic nie przedsiębrano i kontyny stały całe, różnie myśleć poczęto. Warga i jego towarzysze, co się starali lud jątrzyć i do oporu przygotowywać, gdy nie było dłużej powodu żadnego do wystąpienia, stracili wpływ i zaufanie. Wzdychano z nimi, pojono ich, ale nie wiązano się słowem żadnem. Na zbiorowiskach w dnie uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbiegały, teraz coraz puściej było.

Wypadek niespodziany na nowo ostygłe te uczucia przywiązania do dawnych obyczajów rozbudził.

O mil dwie od Warty i Cybiny, w głąb kraju, w lasach było jedno z miejsc najwięcej czczonych i jak świątynia szanowanych. Uroczysko zwało się Białem, rzeczka, co je przebiegała, Białką lub Świętą. Wody jej w chorobach miały cudowną siłę leczącą, gaj, otaczający wzgórze, za poświęcony i nietykalny się uważał. W pośrodku jego wznosiła się oddawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa, które Bielem nazywano. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a bałwan był z drzewa sękowatego niezgrabnie i grubo wyciosany i przedstawiał niby tułub z głową czapką okrytą; bez rąk, bez nóg, z wyrościami, które piersi uwydatniały. Obok Biela, żłobkowato wyrobione, dwa inne, jak misy kamienne, przeznaczone były na składanie w nich ofiar... Poza gajem przy dwóch dębach w szałasie mieszkał zawsze wróżbit stary, który przybywającym pielgrzymom rady dawał, wskazywał, jak i gdzie

wody świętej użyć mieli, wróżył im z ziemi i ognia i żywił się z ich datków...

Jednego dnia przybywające zdala niewiasty znalazły starego Złogę w szałasie niby uśpionym, a w istocie umarłym... Nic nie okazywało, ażeby ktoś na nim gwałt popełnił. Złoga był niezmiernie stary, najstarsi gospodarze przypominali go sobie niemłodym już i siwym. Nie było więc nic dziwnego, że nareszcie usunąć się musiał, gdy się siły wyczerpały...

Dano znać do najbliższej osady o śmierci Złogi; zebrali się pokrewni jego do palenia ciała i pogrzebu, zbiegło się dosyć dziadów i bab, szło o zajęcie miejsca po nim, które było łakome.

Wszczęły się o to spory, bo wielu rościło do tego prawa, nikt nie chciał współzawodnika dopuścić, odgrażali się jedni i drudzy, a skończyło się na tem, iż szałas zburzono, i na Białem nie było nikogo. Miało się to rozstrzygać na jakimś wiecu na Kupałę, tymczasem Biel został bez stróża sam jeden...

Jednego dnia przybyły baby z zimnicą do strumienia i przestraszyły się, ujrzawszy, że bałwan został obalony, kamienie poroztaczane, a ręka złośliwa, co tego dokonała, podłożyła suchych gałęzi pod kłodę i napół ją spaliła.

Ponieważ Biel powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy uważany, lament i płacz, narzekanie i oburzenie wstrząsnęło całą ludnością. Wszyscy biegli oglądać spustoszone uroczysko, łamali ręce, płakali.

Naturalnie, nikogo o takie porwanie się na stary posąg posądzać nawet nie było można, tylko chrześcijan. Obejrzano się po okolicy, zaczęto dowiadywać się o przejeżdżających w tych dniach, o widzianych w bliskości, ale śladu winowajcy nie było.

Warga, który nadbiegł na miejsce, skorzystał z rozdrażnienia i począł namawiać do wystąpienia nocą, w umówiony dzień przeciw wszystkim dworom i chatom, które posądzono o odstępstwo. Dwory miały być popalone, chrześcijanie zamordowani.

— Gdy się to stanie — mówił — Mieszko zadrży i nie będzie śmiał się porywać!

W pierwszej chwili wszyscy mu potakiwali; gniew i pragnienie zemsty było wielkie; lecz drugiego dnia jakiś dziad wpadł na myśl inną, i zdaniem wielu rozumniejszą jeszcze.

— Dobrze — rzekł — niechaj tak będzie, ale wprzód popróbować trzeba. Pójdziemy wszyscy, choćby w tysiąc ludzi na skargę do Mieszka, że nam się stała krzywda, która nieszczęście, grad, pioruny, głód na okolicę sprowadzi, zobaczymy, co powie.

Warga śmiał się, — ale inni jakoś przystali. — Uchwalono gromadą iść z podarkiem i skargą do miłościwego pana. Nim się jednak ludzie zmówili i zebrali — drugiego dnia dano znać z okolicy na Dąbrowach, że słup kamienny, który tam też stał od niepamiętnych czasów, nocą ręka jakaś zuchwała obaliła, a staczając się z pagórka, bóg na kawały się rozpadł.

Ludzie na nowo zapalili się gniewem i od Bielca pobiegli na Dąbrowę płakać nad okruchami zwalonego słupa. Tu znaleziono ślady koni kilku pod dębami i dowody, że ludzi musiało być wielu, boby też temu jeden nie podołał. Warga wołał o zemstę i wskazywał dwory podejrzane, ale ludzie uparli się gromadami iść do knezia.

Upieczono kołacze, przygotowano szyte ręczniki, kury i jaja, bo bez ofiary jakiejkolwiek nie szło się naówczas ani z prośbą, ani z żalem, ani o sprawiedliwość. Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na czele i wszyscy pociągnęli nad Cybinę.

Pochód ten w porządku odbył się powoli; po drodze łączyli się z nim, dla powiększenia tłumu ludzie dobrej woli. Nie tajono się wcale, z czem szli, i Mieszko na pół dnia prawie wprzódy uwiadomiony był o wszystkiem. Wierni mu przyszli dać znać zawczasu — nie odpowiedział nic. Na grodzie nikt nawet się nie ruszył.

Gromada, przed wałami się ustawiwszy, wyznaczy-

ła, kto mówić miał i w milczeniu ciągnęła przed dworzec pański, a przybywszy tu, stanęła w porządku i milczeniu uroczystem. Mieszko, który widział wszystko z za okiennicy, wysłał stolnika swego spytać, czego chcieli.

Temu opowiedzieli starsi, jak się rzecz miała. Kazano czekać. Naostatek Mieszko wyszedł, a starszyzna przyszła i podarki złożyć i do kolan mu upaść.

Kneź miał jakoś oblicze wesołe.

Mówić zaczęto, a jak to zwykle bywa, prawiono szeroko, poprawiał jeden drugiego, przerywał, powtarzano szczegóły, powieść przeciągnęła się bardzo długo. Siedząc na ławie w przedsieniu, Mieszko słuchał z uwagą.

Gdy się wkońcu przebrało opowiadania i jedni drugich zaczęli skłaniać do milczenia, aby też posłuchać, co pan zawyrokuje, zapytał kneź, kto był sprawcą tego.

Na to pytanie długo odpowiedzi zabrakło. Ten i ów zbierał się na nią, ale w istocie nikt nie znał sprawcy, ani się go domyślał. Obwiniać chrześcijan nie było powodu ni dowodu. Mruczano, potrząsano ramionami, a Mieszko powtarzał pytanie — kto to uczynił? Starszy i śmielszy, ubogi kmieć Drzewica, ozwał się wreszcie:

— Miłościwy panie, gdybyśmy wiedzieli, kto winien, samibyśmy go karali, bo za nasze bogi ująć się musimy. Wy, miłościwy kneziu, wiecie wszystko, każcie śledzić i ukarzcie — pomóżcie nam.

— Słuchaj, Drzewico — odparł Mieszko — a mocne to były bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny i grad i pomór na bydło i głód mogły zesłać.

— Za cóż na was mścić się mają, kiedyście wy niewinni? — rzekł Mieszko. — A jeżeli potęgę i siłę mają, to się same nią obronią i pomszczą.

Wszczął się szmer, bo niedobrze zrozumiano jeszcze. Mieszko powtórzył toż samo. Naostatek dodał, że winowajcy niema, sprawiedliwości więc być nie mo-

że, a bogom trzeba zostawić pomstę za siebie. Mają pioruny, — zabiją winnego.

Wtem z ciżby, rozpychając ją, wybił się gwałtem Warga z włosem rozczochranym, zapalony, jak w gorączce. Zaledwie się skłoniwszy kneziowi, krzyknął podniesionym głosem:

— Co tu szukać winnego? albo to my nie wiemy, kto przeciw nam i bogom starym powstaje? Palcami pokazać łatwo tych, co niemiecką wiarę do nas prowadzą! Namnożyło się tego nasienia, jest go dosyć wszędzie! Nie kto winien, tylko oni: ich karać, gubić i wypędzić! My sobie krzywdy wyrządzić nie damy, a nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją zrobimy.

Mieszko się popatrzał na mówiącego i skinął na swoich komorników, aby go wzięli. Tłum oniemiał.

— Ja cię znam, stary — rzekł, — tyś raz już dwór w Krasnejgórze podpalił. Puszczono cię na wolność, — teraz sprawiedliwość chcesz sobie sam znów mierzyć. Sprawiedliwość należy do mnie...

Gdy komornicy zabrali się go z tłumu wziąć, zamruczała gromada. Starsi prosić zaczęli za Wargą, on sam zmilkł blady. Mieszko kazał go puścić, ale tak groźno nań spojrzał, że dziad, słowa nie rzekłszy, znikł gdzieś w tłumie.

— Sprawiedliwości wam nie dam, bo niema nad kim jej spełnić — dokończył kneź. — Bogi są mocne, obronią się same. Było u nas z wieków wieka tak, że każdy czcił boga, jakiego chciał, i nikt mu nic nie mówił. Przynieśli jedni Trygława, drudzy Radegasta, trzeci Światowida, inni Wołosa, stawili ich i kłaniali się im. Od Redarów, od Wilków, od Lutyków, od Wolinów, od Dulebów przynoszono bóstwa, — nikt się temu nie przeciwił. Tak ma być i nadal. Niech ci, co chrześcijańskiego Boga wyznają, czczą go w spokoju, a kto się na nich dopuści gwałtu — tego ukarzę ja!

Rzekłszy to, wstał Mieszko, popatrzył na milczącą gromadę i skinieniem ręki ją odprawił.

Pokłoniła się starszyzna i w głębokiem milczeniu odchodzić zaczęła.

Warga tak się ukrywać umiał i tak go zasłaniano, że dopóki za wały nie wyszli, widać go wcale nie było. Lękał się, aby go jeszcze nie wzięto.

Próba więc nie powiodła się wcale. Długi czas szli wszyscy z głowy pospuszczanemi, milczący, smutni, pogrążeni; — nikt słowa odezwać się nie śmiał. Opodal od zamku, zmęczeni, położyli się na łące nad Wartą.

Tu dopiero powoli usta się rozwiązywać zaczęły do narzekań i utyskiwania. Śmielsi szemrali, drudzy, z obawą patrząc na nich, milczeli, bojąc się niemal słuchać. Warga długo siedział ponury i gniewny.

— U nich sprawiedliwości prosić! — zawołał wkońcu — u nich! kiedy tam pełen dwór chrześcijan i oni, nie kto przewodzi. Co tu pytać? poco prosić? Nie było nic u nas, póki Lubonia syn nie wrócił zakażony niemiecką wiarą! Spaliliśmy mu dwór... tak! nie dosyć. Jego z nim spalić trzeba. Przez niego weszło wszystko. Do niego się oni schodzą, z nim radzą... Ale drugi raz nie wezmą mnie już... bo mnie tu nie będzie.

Nikt na tę pogróżkę nie odpowiedział, a Warga też nie zdawał się dbać wiele o to, mruczał sam do siebie, mówiąc, z oczyma wlepionemi w ziemię, miotał się, krzyczał to głośniej, to ciszej i długo nie mógł się uspokoić.

Z nikogo jednak nie wywołał potakiwania, nikt mu się w pomoc nie ofiarował; owszem, Drzewica się odezwał, że kneź miał słuszność, że nikt nikomu nigdy nie bronił boga sobie wybierać, jakiego chciał.

Drudzy też, dla miłego spokoju może, staremu choć głowami potakiwali; Warga zmilkł i długo siedział zadumany, wstał potem, nie obejrzawszy się na nikogo, nie rzekłszy nic, i poszedł przez pole bez drogi, gdzie go oczy niosły. Nikt go nie zawrócił i nie strzymał. Niektórzy gorliwsi byli tego zdania, że i Biela i słup na Dąbrowach należało postawić na nowo. Na to się godzili wszyscy i gorąco zaraz rozebrali między siebie robotę.

Tegoż wieczora wiedziano o tem na Krasnejgórze,

przybiegł ktoś z grodu i doniósł o skardze gromady, o danej jej odpowiedzi, a nawet o Wargi odgróżkach. Jarmierz nie powiedział nic Włastowi, ale straże około dworu ustawił, i przez całą noc czuwać im kazał.

Mieszko tymczasem, zamiast ociągania się i obawy, tegoż dnia pilnie zajął się przygotowaniami do publicznego przyjęcia chrześcijańskiej wiary...

Wysłano do Czech po kilku duchownych w pomoc ks. Jordanowi, żądając też od Bolka, aby dał ludzi, coby z kamienia budować umieli kościoły, wedle obyczaju chrześcijańskiego i wszelkiego rzemieślnika do przygotowania sprzętu, jaki był do ofiar i urządzania nowych świątyń potrzebnym.

Znowu w tę podróż musiał być wyprawionym Włast, który służył chętnie we wszystkiem, co nawrócenie zupełnie przyśpieszyć mogło. Tymczasem, nie objawiając na co, wozić kazano kamień na zamki w Gnieźnie i Poznaniu.

Wielkie przygotowania działy się po grodach, choć o ich celu nie ogłaszano ludowi... Ks. Jordan tylko chodził, przysposabiając, kogo mógł, do przyjęcia chrztu, zarazem objawiając o wielkich darach, jakie kneź miał dla chętnych czynić... Białe szaty z płótna i sukna szyto secinami na zamku u Górki i Dubrawki i składano je stosami.

Jordan, opowiadając ewangelję, zwiastował zarazem, że ona wszystkich uczyni braćmi w Chrystusie, połączy i porówna, że kneź stanie się dla nowonawróconych ojcem a zarazem i bratem.

Pomimo wzburzenia umysłów, jakie obalenie Biela i słupa na Dąbrowach wywołało, — nie było prawie nocy, aby gdzieś posąg na rozdrożu lub uroczysku nie upadł i nie został zniszczony. Zdawało się, że je niewidzialna jakaś ręka wywraca, bo nigdzie sprawcy ani nawet śladu dojść było podobna...

Czekano kary bogów napróżno — nie broniły się już stare bogi.

Resztę ich, które stały po domach i zapadłych kątach, chowali pobożni i kryć się zaczynali z niemi.

Warga, który usiłował do czynnego i rozpaczliwego skłonić oporu, zaledwie nieznaczną garstkę wkoło siebie zgromadził i ukrywać się z nią musiał. Smutek padł na kraj cały...

Gdy się to działo, Mieszko szukał sposobności do jakiegoś wystąpienia, któreby mu przymierze konieczne z cesarzem Ottonem ułatwiło... Los mu je nastręczył...

Już w Quedlinburgu mogli się wszyscy domyślać, że dumny Wigman, odprawiony niemal z pogardą przez cesarza, szukać będzie sposobności wojowania przeciwko niemu. Miano nań oko, ale znikł pomiędzy słowiańskiemi książątkami, u nich szukając schronienia.

Wszczął się był spór o pograniczne posiadłości między obodryckim wodzem Mstiwojem a Zeliborem wagirskim. Oba oni już zawojowani, radzi nie radzi, zależeli od saskiego markgrafa Hermana.

Spór mieli rozstrzygać Herman i Zelibora, uznawszy winnym napaści i gwałtu, skazał go na wydziedziczenie i odebranie mu władzy. Zelibor, nie myśląc się poddać, powołał Wigmana do siebie. Oba więc porwali się do broni.

Zaledwie to się stało i nim przysposobić się mogli, Mstiwoj z Hermanem naszli na osadę i gród Zelibora, wzięli je prawie bez oporu, a oba wodze ucieczką ratować się musieli. Do tych waśni Mieszko się mieszać nie myślał wcale, lecz pilno się im przypatrywał, mając tam ludzi zawsze i dostając łatwo języka.

Zbiegły Wigman siedział teraz u Wolińców nad Odrą, a że spokojnie wytrwać nie mógł, z nimi razem napadał już kilkakroć na ziemie Mieszkowe... Teraz więc był czas, broniąc własnych posiadłości, razem cesarzowi uczynić przysługę i uwolnić go od niespokojnego krewniaka.

Właśt, jadąc do Pragi, zaniósł tam także do Bolka prośbę, aby parę hufców zbrojnych dobrze w pomoc Mieszkowi przybywało...

I gdy z jednej strony chrztem się zajmować zda-

wali wszyscy, kneź, któremu dolegał spoczynek, gotował się do wystąpienia przeciwko Wigmanowi.

Jednego wieczora powracający Włast przywiódł z sobą gromadkę duchownych i kupkę rzemieślników a kunsztmistrzów, i dwa świetne piękne oddziały czeskiej jazdy. Wszystko się z zamku wyroiło, ujrzawszy ten dosyć mnogi lud, napływający do grodu.

Wybiegła i Dubrawka z niezmierną radością, witając swych Czechów, szczególniej duchownych, co jej do przysposobienia wielkiego dzieła pomocą być mieli. Ona w istocie duszą jego była i przynaglała, aby co rychlej spełnić się mogło. Dając jej czynić, co chciała, Mieszko zawsze jeszcze milczał i zwlekał.

Teraz chwila już zdawała się być bliską.

Na powitanie Czechów wyszedł i Mieszko sam, dowódców dwu oddziałów zapraszając na dworzec, razem z duchownymi.

Resztę przybyłych wnet rozmieszczono na grodzie, gdzie dla nich wszystko było przygotowanem. Omyliła się wszakże Dubrawka, sądząc, że poczty czeskie przybyły, aby uroczystości wielkiej więcej dodać świetności. Kilka dni pozwolono im spoczywać. Rzemieślnikom natychmiast wyznaczono pomoc, schronienie i usługę, a Mieszko, rozporządziwszy wszystkiem i księży zdawszy ks. Jordanowi, sam zaczął się przysposabiać do wycieczki jakiejś.

Wszystka piechota, a tej było najwięcej jeszcze, wyruszyła cicho na granicę ku Odrze, drugiego dnia ujrzano Czechów występujących w tę stronę, trzeciego rana sam kneź, pożegnawszy żonę, siadł na konia i wraz z Sydbórem ruszał w pole...

Już trudno było cierpliwej Dubrawce na nową tę patrzeć zwłokę, napół że łzami, wpół gniewna, gdy Mieszko miecz ów cesarski przypasywać kazał, zapytała go, coby to znaczyć miało.

— Kniahini ty moja — odezwał się Mieszko spokojnie. — Dajcie mi mojemi sprawy rozporządzać wedle myśli mojej... Ja wrzeciona nie tykam, ani was

prząść myślę uczyć, dopuśćcież mi wojować, jako wiem i umiem.

— Ale pocóż nową rozpoczynać wojnę wprzódy nie uczyniwszy w domu co najpilniejsza, aby na nią Boże mieć błogosławieństwo? — przerwała Dubrawka.

I na to pytanie rozśmiał się nieco Mieszko — ręką tylko w powietrzu zamachnąwszy, jakby mieczem...

— Na wszystko będzie pora, miłościwa a niecierpliwa pani moja — rzekł. — Ludzie się tymczasem lepiej przysposobią, oswoją i obejdą z tem, co ich czeka... Księża jeszcze wiele z moimi i ze mną mieć będą do czynienia, nim nas na chrześcijan przemienią. Gdy ujrzę, że czas po temu, nie zwlekę... a teraz w pole trzeba na łowy... i bywajcie mi zdrową, miłościwa pani.

Miłościwa pani smutnie przyjęła rozkazy, lecz nauczyła się już w pożyciu z mężem, iż go powolnie tylko przekonać i skłaniać było można. Trwał przy swojem twardo i niełatwo obrócić się dawał, gdy powziął postanowienie.

Wyciągnął więc i tym razem w pole, nie rzekłszy nawet dokąd, a na zamku zostali apostołowie pod kierunkiem ks. Jordana pracujący, w Krasnejgórze zaś Właśt na swą rękę zwołujący do winnicy...

A pod grodem w chałupach siedzieli sprowadzeni rzemieślnicy, kując srebro, lejąc śpiże, wyrzynając drzewo, ucząc obrabiać kamienie a palić wapno... Przy nich już parobcy tutejsi, przypatrując się im, otwierali oczy i sposobili ręce do roboty, która dla nich miała urok nowości...

Od pługa i miecza — do młota i dłóta przejście łatwem nie było.

IX.

W obozie nad Odrą jednego wieczora cesarski krewniak, nie tak, jakeśmy go widzieli w Quedlinburgu odarty i opuszczony, ale w zbroi lśniącej, na koniu dzielnym, w hełmie skórzanym, łuskami żelaznemi

naszywanym, z kitą czerwoną, w płaszczu niebieskim na ramionach, opatrywał szeregi nowych swych przyjaciół.

Sam jeden tu był wśród tego ludu, do którego i on nie przystawał, i orszak, co go otaczał, jakby cudzy przy nim wyglądał. Dziwnie zaprawdę wydawał się ten niemiecki rycerz, przygodami osobliwemi ze dworu najświetniejszego w Europie wygnany pomiędzy lud napół surowy i do innego należący świata. Między tym wodzem a jego ludźmi trudno było powinowactwa dopatrzeć.

Ziemko i Hłaska jechali przy zbrojnym Niemcu.

Dwaj Wolińcy, w rozpaczy, dla wybicia się z jarzma niemieckiego, Niemca się chwycili. Zdawało się im, że ten cesarski krewny, a sławiony rycerz, najlepiej mógł ich poprowadzić. Nim jednak na Niemców napaść mieli, chcieli na Polanach spróbować i łupem się opatrzywszy, a jak im się zdało, pobiwszy może — większą siłą występować dla wyswobodzenia, na markgrafów.

Na Mieszku próba tylko uczynioną być miała.

Wigman się zabawiał z Wolińcami, Ziemko i Hłaska, w oczy mu patrząc, jak wyroczni go słuchali...

Świetne mieli nadzieje... Naprzód Polan zwojować i albo ich zmóc a złupić, lub ze sobą na markgrafa pociągnąć. Zdawało się to łatwem — urok niemieckiego wodza oślepiał biednych Słowian, a stare waśnie graniczne kazały zapominać, że mieli walczyć z pobratymcami.

Pycha Wigmana, który się bezmiernie wśród tych prostodusznych ludzi czynił wielkim a pewnym siebie, wiarę w nich wlewała... Czynił ten wódz nowy z nimi, co chciał, ufali mu jako zbawcy, a przyszłej wielkości swej założycielowi...

Niemiecki comes tymczasem, objeżdżając szeregi tego ludu, dziwnie jakoś nań poglądał. Nie było to wojsko — ale tłum mężny i bitny, ochoczy do walki, a niesforny.

Na kilka oddziałów podzieleni Wolińce leżeli obo-

zem nad rzeczką, na wysokim brzegu, a było ich tak sporo, że jak okiem zajrzeć w dolinie, łąka ludźmi była usłana. Starszyzna tylko miała parę namiotów szarych, na tykach rozpiętych. Dla Wigmana na wzgórzu paradniejszy ustawiono; reszta pod gołem niebem i w małych szałasach koczowała przy ogniskach.

Niewiele jazdy i to dosyć niepokaźnej udało się Ziemkowi zgromadzić. Na małych konikach siedzieli więksi stosunkowo od nich wojownicy w prostych sukmanach, z łukami na plecach, z młotami i siekierami u siodeł, z dzidami różnych rozmiarów w dłoni. Z twarzy tych ludzi, którym włosy długie i gęste sterczały z za nakrycia głowy po większej części, widać było dzikie i nieustraszone męstwo — lecz nie to, co się powodować umie i łączyć spójnie w gromadę, ale rachujące samo na siebie tylko i nie dające ni pokierować sobą, ni powstrzymać.

Jak konie rwały się i wierzgały, a kąsały, w kupie ustać nie mogąc, ludzie ucierali się, łajali i przechwalali głośno.

Po niemieckich pocztach, milczących i posłusznych, ta butna ciżba Wigmanowi osobliwą wydać się musiała. Poglądał na nią oczyma zdumionemi, a Ziemko i Hłaska, jadąc tuż, w jego oczach usiłowali czytać, co myślał o ich drużynie, której sił i męstwa byli pewni.

Comes liczył tylko, ile ich było, bo na nic innego, jak na lik, znać rachować nie mógł.

To Ziemko, to Hłaska, po bokach jadąc, zagadywali go, wskazując na swych ludzi; rycerz niemiecki tylko głową potrząsał i ramionami ruszał.

Tak przepatrzywszy jednych, u których żelaznego okrycia ledwie można było gdzie dopatrzyć, ruszyli ku pieszemu ludowi, którego daleko więcej było. Kazano leżącym i spoczywającym wstawać, a zbijać się w rzędy, aby i tych okazać, czem byli.

Dosyć nieochoczo ruszył się tłum, mrucząc, i wstali jak dęby ogromni, szerokich ramion, niezbyt odziani, napół bosi wojacy, u których oszczepów i pałek więcej było, niż innej broni. Zato niemal wszyscy mie-

li tarcze, tak jak i Polanie, z desek cienkich drewnianych pospajane, dwa i trzy razy obciągnięte skórą, gdzie niegdzie gwoździami nabijane i sztabkami.

Z gwarem, na nogi wstając, Wolińcy stawali kupami, każdy chwyciwszy broń, jaką miał.

Wigman pomyślał w duchu, iż gdyby oręż a wprawa nic nie ważyła, straszneby były te gromady ludzi silnych, nie lękających się śmierci, chciwych boju dla niego samego, dla krwi i gorączki, jaką walka daje. I znowu z konia Niemiec liczył sobie tych ludzi, na mnogości ich pokładając nadzieję.

Lecz na Mieszka, który niewiele może lepszego miał żołnierza, zdawało się to dostatecznem, gdy taki wódz prowadził.

Dwaj wodzowie jak najlepszą mieli otuchę; czy ją Wigman podzielał, odgadnąć było trudno. Objechawszy szeregi, zawrócił nazad ku wzgórkowi i namiotowi. Naglili go Ziemko i Hłaska, aby im co rzekł; powiedział im, że lud piękny...

Czegoś mu na duszy tęskno było, popatrzywszy gdzie, z kim był, i komu miał dowodzić. Przed namiotem zsiedli z koni, jeszcze raz pytać go zaczęli, odpowiedział im mało, pozdrowił dumnie ręką i wszedł, opłotek uchyliwszy, do wnętrza.

Jeden stary, jak pan, sługa, Niemiec, Hatton, czekał tu na niego. Ten jeden nie opuścił go i nie zdradził, a choć miał wstręt iść przeciw cesarzowi z poganami razem wojować, Wigmana nie rzucił. Był to człowiek przykuty do comesa, który, porzuciwszy go, nie wiedziałby zaprawdę, co uczynić z sobą. Mały, krępy, posiwiały pachołek, stworzenie milczące i posłuszne, stworzone było, aby przy kimś wisiało. Los mu nastręczył Wigmana. Z nim i świetne przeżył lata i teraz gorzkiemi truł się dniami.

Gdy Wigman pod namiot wszedł, zerwał się stary Hatton, aby mu zbroję zdjąć, i wnet począł swą usługę. Milczący comes dawał mu czynić z sobą, co chciał, był zadumany i ponury.

— Hattonie! co mówisz na to? — począł ponuro

Niemiec. — Z Quedlinburga do obozu Wolińców? z gościny u tego Ottona do Ziemka? hę? dobrześmy padli?...

Hatton ramionami ruszył. Milczał długo.

— Miłościwy grafie — rzekł wkońcu — a nie lepsze to, jak los Eryka, Bakki, Hermana, Wiryna i Ezeryna?...

— Pewnie... ależ ci omal Hilliwarda biskupa nie zabili, przeto ich Otto w Quedlinburgu pościnać kazał... a ja?... ja tylko swojego broniłem gardła...

Hatton mruczał.

— Mów ty, mruku, głośniej, chceszli, bym cię zrozumiał! — krzyknął Wigman.

— Broniliście, miłościwy panie, gardła, nie trzeba było pleców żałować... — odparł giermek.

— Krzyże mam twarde! to nieszczęście moje... — zawołał Wigman — w żyłach moich krew Ottonów płynie!...

Hatton skinął głową potakująco. Rozpinał mu kaftan łuską wyszywany, pod którym drugi skórzany widać było. (Noszono ich po kilka na sobie).

— U nich... u nas... — mówił dalej Wigman — wszystko pod humor i od fantazji... Gdybym na Ottona dobrego trafił, dobrzeby mi było; los mój chciał, abym na złego padł...

— Pamiętasz, Hattonie — dodał — Gintera, ratysbońskiego biskupa? I co mu dało biskupią dostojność?...

Hatton milczący głową potakiwał.

— Otto szedł rano na mszę w Ratysbonie do klasztoru świętego Emmerama. Po drodze powiedział sobie: Stołek biskupi wakuje... komu go dać? komu?... niechaj los wybiera... Pierwszy duchowny, którego spotkam, biskupem będzie... U furty klasztoru ubogi Ginter mu otwiera... Co mi dasz za biskupią infułę? — pyta Otton. — Miłościwy panie — śmiejąc się, odparł biedny księżyna, — nie mam nic swojego oprócz podartych na nogach chodaków... I został biskupem... — dorzucił Wigman. — Tak samo ja w dobrą godzinę mogłem być saskim księciem w miejsce Hermana...

Hatton ostatni kawał zbroi odczepiał i znowu mruczał coś niezrozumiale.

— A coby ci po tem przyszło, miłościwy panie — rzekł chmurno. — Albo w łaskach będący Herman nie wywołał na się gniewu cesarskiego za to, że go w Magdeburgu przy biciu w dzwony i oświeconym kościele przyjmowano, że śmiał tam spać w łóżku cesarskiem i u cesarskiego siedzieć stołu? Albo go nie wyklął biskup Bruno tego szczęśliwego Hermana, któremu zazdrościcie...

— Wolałbym być jednak wyklętym przez Brunona — zawołał Wigman — niż odepchniętym przez cesarza... Ale łaska familji niestała rzecz... Wolałbym być jego bękartem, niż krewniakiem...

Hatton rękami poruszył, jakby zaprzeczał tym rozpaczliwym oświadczeniom.

— Pewnie — potwierdził Wigman, wzdychając. — Alboż nie wiesz, że bękarta swojego z niewolnicy, ze Słowianki, z prostej dziewki narodzonego, Wilhelma, uczynił Otto arcybiskupem mogunckim?... Jego synom, jego córkom, jego nieprawnemu potomstwu wszystko było wolno... a nam, biednym, milczeć tylko i cierpieć. Wilhelm został arcybiskupem, a wdowa po Konradzie frankońskim, choć Kononowi potajemnie ślubowała, wyparła się go i Burchard wystąpił w jej obronie, a rękę mu obciął, co za wysoko sięgała!...

Mówił tak Wigman z bólem wielkim, aż zamilkł wreszcie, głos coraz był smutniejszym i siła a duma w tej chwili zdawały się złamane. Gdy Hatton mu zbroję zdjął i odstąpił, Wigman, na stole ujrzawszy krzyż, klął się modlić.

Z pokorą i skruchą załamał dłonie przed Chrystusem i na głos począł odmawiać modlitwy; Hatton, który w kącie stał, jakby mimowolnie też ręce złożył i za panem je powtarzał. Modlił się tak długo, a wśród szmeru modłów tych dolatywały dzikie okrzyki Wolińców z obozu, jakby szydziły z ich nabożeństwa.

Wigman legł wreszcie na pościel przygotowaną, ale do snu mu było daleko — oczy miał otwarte, sparty

na dłoni, dumał może o cesarzu, o sobie i dziwnych losach swoich.

Zaczynało zmierzchać, gdy dało się słyszeć sykanie przed namiotem. Hatton zerwał się i wyszedł. Wigman, głowę zwróciwszy, czekał.

Po chwili giermek wprowadził Ziemka.

Szedł on pośpiesznie bardzo i z ożywioną twarzą i wzrokiem.

— O Mieszku wieść przyniesiono — rzekł szybko.

— Rad jej będę... Gdzież on jest?

— Stoi o pół dnia drogi od nas, pewnie się niczego nie spodziewając... co poczniemy? Mamyli czekać na niego, czy następować?

Wigman powstał z łoża i siadł.

— Licznyż ma poczet z sobą?... gdzie się położył?...

Na to Ziemko odpowiedzieć nie umiał. Przywołano tego, który przyszedł z wieścią. Był to stary człek, o kiju, w koszuli, w sakwach przez plecy, boso, trochę przelękły, a bardzo niespokojny. Ziemko badać go począł. Widział on tylko piechotę w obozie, a zapytany ręczył, że jej pewnie i połowy nie było tej, jaką Wolińce mieli. Obóz był na łące, wśród zarośli i gajów, rozłożony bezpiecznie, jakby się sąsiedztwa niczyjego nie spodziewał.

Ziemko patrzał w oczy Niemcowi, który się wahał długo.

— Jeżeli swoim ufacie, czemubyśmy naprzeciw nich iść nie mieli? — rzekł Wigman. — Zawsze ten przewagę ma, kto pierwszy naciera...

— Więc ruszym jutro o świcie...

Comes ani zaprzeczał, ni zachęcał; położył się znów, skinąwszy głową, i w myślach swych zatopił.

Nazajutrz jako dzień ruszyło się wszystko z obozowiska, ustawiać poczęło, siedli wodzowie na konie. Wigman znowu opięty kaftanem łuskowym wyjechał z Hattonem, który małą tarczę i zapaśny miecz wiózł za nim.

Dzień obiecywał się skwarny.

Oddziały wyruszyły powoli, każdy poprzedzany sta-

nicą swą, na których orły, ptaki i potworne stworzenia grubo były wyrzezane. Stanica Ziemka wystawiała wołu białego.

Ruszając z noclegu, zanucili pieśń jakąś dziwnie brzmiącą w uszach Wigmana, który pocichu modlitwy odmawiał.

W obozie Mieszka on, Sydbór i dwaj czescy dowódcy stali od rana wpogotowiu. Wiedziano tu o Wigmanie i o Wolińcach, o ich sile, i kneź, rano wstawszy, Czechów jazdę z dwu stron na boki wyprawił, poleciwszy jej, by się dopiero na skinienie i hasło ruszyła.

Posadzone na wysokiej sośnie pacholę czatowało, by dać znak, gdy się Wolińcy spodziewani ukażą. Równo prawie z hasłem, przez chłopaka danem, zdala i śpiewy usłyszano. Mieszkowy lud niecierpliwy był, ale mu się ruszać nie kazano. Stać tak mieli, ażby na nich nadszedł nieprzyjaciel.

Gdy się wdali kupy owe ukazały, Mieszko i Sydbór skoczyli na koniach przodem, postali im na widoku trochę i puścili nazad śpiesznie, a nawet i ludziom, niby popłoszonym, zwolna się cofać nakazano.

Ujrzawszy to, Wigman i Ziemko, którzy przodem szli, z okrzykiem gromadom swoim dali znak, aby się na nieprzyjaciela rzuciły.

Stał się w obozie Mieszka jakby zamęt i oddziały jego jedne po drugich za gajami znikać poczęły.

W pogoń się puścili Wolińcy, z okrzykiem coraz głośniejszym, ze wrzawą i zapałem niezmiernym. Wigman na koniu przed nimi.

Mieszkowi ustępowali, lecz tak zwolna, że się dogonić dali... ustępowali głębiej między gaje, i jakby się ulękli Wolińców, nawet im nie stawili czoła.

Tem silniej nacierali Ziemko i Hłaska, tem gwałtowniej zagrzewać począł Wigman.

Już byli kilkoro staj od nieprzyjaciela, gdy na dany znak piechota Mieszkowa odwróciła się na Wolińców i do bitwy stanęła. Z obu stron rzucono się na siebie z porywczością wielką.

Zastęp Wolińców bez porządku wysypał się, wylał,

rzucił na Polan; podniesiono tarcze i pałki walić o nie zaczęły. Świsnęły strzały... posypały się pociski...

W tej chwili, gdy jeszcze Wolińcy pewni byli prawie zwycięstwa, z lewej i prawej strony na tyłach, na odgłos trąbki Sydbóra, wystąpiły ukryte w zaroślach dwa czeskiej jazdy oddziały.

Zatętniała ziemia pod kopytami i nim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotę a konnicę Sławnika; już Czesi im siedzieli na karkach. Z drugiej strony oddział piechoty Sydbóra, ludzie dobrani i wprawni do boju, kładł trupem Wolińców, zaczynających się rozsypywać i w ucieczce szukać ratunku.

Ziemko i Hłaska, widząc się w położeniu rozpaczliwem, poszli naprzód, aby ratować swoich, albo ginąć z nimi. Wigman z konia swego, na wzgórzu stojąc, już widział, że bitwa była przegraną.

Siły piesze Mieszka nie większe były może, niż Wolińców, lecz ujęte w porządniejsze szeregi, jazdy nie mieli prawie sprzymierzeńcy Wigmana, a czeska była wyborna i uzbrojona, jak niemiecka. Chwilę comes patrzał na tę rzeź, z której ratować się już nie było nadziei, wreszcie z pogardą i dumą zawrócił konia i wolnym krokiem ustępować począł. Jedynym ratunkiem była ucieczka...

Serce się krwawiło na myśl sromotnego uchodzenia przed nieprzyjacielem, Wigman nie śpieszył, gdy przypadłszy doń Hatton, zaklinać go zaczął, aby uchodził. Czas jeszcze było się cofnąć i ujść pogoni Czechów, zajętych rozpraszaniem gromady, która po gajach szukała bezpiecznego schronienia.

Wigman już konia miał uderzyć, gdy z naiskrzonemi oczyma, w porwanej sukni, z krwawą twarzą dopędził go Ziemko i za cugle konia pochwycił. Rozpacz malowała się na jego obliczu.

— Ha, — zawołał — dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń stąd wyniesie?

Wigman zaczerwienił się od tej wymówki, jak po-

liczek mu ciśniętej; można było sądzić, że mieczem, który trzymał w ręku, przebije zuchwałego śmiałka. Powstrzymał się jednak, drgnął cały i z konia zeskoczył.

Z dobytym mieczem, nie odpowiadając słowa, poszedł, gdzie wrzała bitwa.

Koń rzucony, nie dając się pochwycić Hattonowi, który chciał cugle porwać, spłoszony krzykiem, rzucił się cwałem w pole.

Wigman w ciężkiej zbroi został pieszo. Około niego, łamiąc ręce i przeklinając dzień i godzinę nieszczęśliwą, szedł Ziemko, ale na przekleństwa i wymówki jego nie odwracał się nawet Wigman. Obskoczyła ich wnet kupa Mieszkowej piechoty. Starszyzna Wolińców i Wigman z nią musieli się cofać, odcinając. Comes milczący szedł, nie okazując wściekłości, ale ilekroć się odwrócił, płatał straszliwie napastników. Od żelaznych łusk jego kaftana odskakiwały miecze, kruszyły się na nim oszczepy. Ziemko i Hłaska bronili się też z rozpaczą ludzi, którzy, wiedząc, że nie obronią życia, drogo je przynajmniej kazali opłacić wrogowi.

W dolinie wkrótce nie było już wojsk walczących z sobą, tylko kupki przelękłych, unoszących życie ludzi, które ścigali zwycięzcy. Tam, gdzie się starły pierwsze szeregi, leżały wałem trupy pobite i przez Czechów posiekane. W krzakach i zaroślach tulili się ranni. Zielona łąka stratowana, skrwawiona, potrzaskanemi usypana pociskami, była jakby strasznym śmietnikiem grobowym. W prawo i lewo wśród lasów słychać było wycie i jęki. Uciekali jedni, gonili drudzy na wszystkie strony.

Jeden oddział z Sydbórem puścił się ścigać Wigmana, o którym wiedziano, że prowadził Wolińców. Mieszko nie chciał mu dać ujść i byłby go sam pędził, gdyby mu fałszywie innej kupki nie wskazano, w której się miał comes znajdować. Pogoń ta, rozpoczęta około południa, przeciągnęła się do wieczora. Następowali Polanie na Wigmana i tych, co przy nim byli,

ale go ująć, ani zabić nie mogli. Zmniejszała się gromadka jego towarzyszów, wołano nań, aby się poddał, krew mu z ran ciekła, lecz krewniak cesarski z dumą swojego rodu ginąć wolał, niż temu tłumowi zdać oręż i życie na łaskę... Krok w krok szli za nim zmęczeni jak on, ale równie chciwi pochwycenia go, jak on ocalenia, napastnicy; łajano się wzajem po słowiańsku i niemiecku... i mrok padał, a końca tej walce upartej nie było. Wigmanowi udało się nieco oddalić od pogoni, pomogły mu gąszcze w lesie, zdawało się, że ujść potrafi. Ziemko już był zginął, Hłaska się odbił w pochodzie, został on sam, a z nim Hatton tylko, który go i tu nie chciał opuścić.

Nadeszła noc i ciemność...

Jeszcze w prawo i w lewo słyszeli przedzierających się tych, co ich ścigali, ale wkrótce ucichły głosy i Wigman padł na ziemię napół żywy. Ostrza włóczni tkwiły w jego kaftanie i krew się z pod nich sączyła.

Z niecierpliwością wyrywać je począł Wigman, choć nowej przyczyniał boleści. Ranny Hatton przywlókł się, chcąc go ratować, lecz siły już sam nie miał, upadł u nóg jego i ducha wyzionął.

Wigman popatrzył nań, jakby na wiernego psa, ubitego na łowach, w oku mu się zakręciła łza, rękę drżącą przyłożył do jego czoła. Oblane było potem, ale już zimne, stygło bardziej pod jego dłonią.

Został sam, ranny, z poszczerbionym mieczem, nie wiedząc, gdzie był i co miał począć z sobą. Umierać tak w lesie, na pustkowiu, czy usiłować się jeszcze ocalić? Dokoła cicho było, las tylko szumiał i czasem niezrozumiały krzyk ptaka, jakby czemś zbudzonego, przerywał głuche milczenie.

Wigman pozostał tak długo, patrząc na trupa sługi, rozciągniętego u nóg swoich, to na niebo, które gdzie niegdzie z między gałęzi świeciło gwiazdkami. Sam nie wiedział, jak długo tak leżał, aż gdy powstać zapragnął, uczuł się złamanym i bezsilnym. Uśmiech wykrzywił mu usta białe; zmógł się naostatek i poruszył na mieczu. Powolnym krokiem począł się sunąć, nie

wiedząc, dokąd go doprowadzi dalsza nocna ucieczka. Bojowe krzyki, hasła, nawoływania, — wszystko ucichło. Las tylko szumiał mu nad głową i wiatr czasami przerzynał się przez gałęzie, jakby duchy w polocie uderzały o nie.

Wigman już nie miał nadziei ocalenia życia, ale cześć swą rycerską ocalił, miecza się pozbył, z ran płynęła krew, lecz do niewoli się nie dostał... Chciał pomodlić się i skonać gdzieś spokojnie, chciał... sam już nie wiedział czego. Instynkt jakiś kazał mu szukać przytułku. Wlókł się więc lasem, trzymając skraju jego, podpierając na skrwawionym mieczu, myśląc o Hattonie, którego ciało zostało bez chrześcijańskiego pogrzebu.

Myśliwy i wojak trochę znał niebo i gwiazdy, bo się po nocach nieraz przez puszczę przedzierał. Na niebie wóz północny wskazywał mu zbliżanie się poranku, ku wschodowi biała łuna, poprzedzająca dzień, się zarysowała. Nie wiedząc, dokąd, szedł dalej Wigman, niekiedy odpoczywając przy drzewach, gdy wdali na wybrzeżu lasu zdało mu się, że ujrzał zagrodę. Zbliżając się, rozpoznał w istocie wysokie ostrokoły, które ją otaczały, dach okryty dranicami, drewniany dymnik i żóraw studni.

Pragnienie go paliło.

Około chaty cisza panowała i nierychło, gdy się ku niej zbliżał, psy ujadać zaczęły. Głos ten był mu prawie miłym, zwiastował ludzi... mógł się znaleźć ktoś litościwy.

Wigman stanął u wrót zamkniętych, z których drugiej strony zebrane psy wrzawę nań ogromną podniosły. Skrzypnęły drzwi chaty i wyszedł człowiek. Dniało już, mógł więc dojrzeć tę postać olbrzymią, która się wnijścia dopraszała, milcząc.

Była to chata słowiańskiego ubogiego ziemianina, jak wszystkie stojąca otworem dla każdego proszącego o schronienie. Gościnność była u Słowian prawem, z którego i wroga nie wyjmowano.

Z siermięgą narzuconą na plecy wyszedł milczący

gospodarz otworzyć wrota. Spojrzał na okrwawionego rycerza, poznał w nim Niemca i, nic nie mówiąc, poprowadził za sobą. Psy, zdala idąc za nim, ujadały i wyły.

Słaniając się, przywlókł Wigman do wnętrza chaty, gdzie już od węgli w ognisku zapalono łuczywo; obejrzał się tylko i rzucił na ławę. Krew po nim ciekła, wyglądał straszno i gospodarz, ujrzawszy go, ręce załamał.

Podparty na stole Niemiec spoczywał, ręką tylko wskazał, że ma pragnienie. Przyniesiono mu wody.

Gdy się to działo w chacie, a psy jeszcze się uspokoić nie mogły, na podwórku wrzawa powstała.

Wigman, usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, który przy sobie postawił; chciał wstać, ale sił już nie miał.

Wtem w progu chaty zjawili się ścigający niedobitków po lesie Mieszkowi ludzie, kilku prostych ciurów. Od progu też dał się słyszeć krzyk radosny; mieli go nakoniec w ręku.

Z podniesionemi pałkami i oszczepami poczęli się cisnąć, otaczając Wigmana, który, miecz podniósłszy z za stołu, groził im jeszcze.

Naczelnik wołał, aby się poddał.

— Ja? wam?... nigdy!... niech tu przyjdzie wasz kneź sam, tylko jemu jednemu miecz oddam... a nie, bronić się będę do ostatniego tchu i kropli krwi... Precz, hałastro!...

Na chwilę wstrzymali się ludzie, lecz wnet poczęli znowu naciskać, i jeden z nich pałką się na Wigmana zamierzył, który, oburącz miecz chwyciwszy, i pałkę odbił i miecz zakrwawił.

Ta rozpaczliwa obrona wstrzymała napaść. Nie było potrzeby nieszczęśliwego dobijać, kiedy cały krwią był okryty i chwiał się na nogach; poczęto szukać starszego i słać za Sydbórem, który był blisko. Mieszkowi żołnierze zostali tak w pewnem oddaleniu, szanując nieszczęście w człowieku, którego chwile były policzone.

Wigman słabł widocznie, lecz oczy mu jeszcze świeciły groźnie i twarzą zdawał się napastnikom urągać.

Trwało to chwilę, gdy Sydbór nadbiegł śpiesznie, przebił się przez kupkę ludzi i stanął naprzeciw Wigmana.

— Poddaj się, lub zginiesz!...

— Któś ty? — zapytał comes.

— Brat Mieszka.

Nastąpiło milczenie. Wigman popatrzył na swój miecz oblany krwią, chwycił go za ostrze i rękojeścią wyciągnął do Sydbóra. Oczy mu znowu zapałały dziko i wargi się trzęsły.

— Oddaj ten miecz zwyciężonego Wigmana panu swojemu — rzekł — i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swojemu cesarzowi, Otto wdzięczen mu będzie za to... i wynagrodzi go pewnie.

Gdy Sydbór, wpatrując się w niego ciekawie, stał, miecz biorąc, Wigman szepnął:

— Dajże mi umrzeć spokojnie...

I jak stał za stołem, posunąwszy się jeszcze, padł na kolana na ziemię, złożył ręce i głośno po niemiecku modlić się zaczął.

W tej przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili się z trwogą i poszanowaniem od niego. On nie widział już ich i nikogo, modlił się gorąco... Ze krwią razem płynęły mu łzy, a z ust dobywały się niezrozumiałe wyrazy i głębokie westchnienia; kilkakroć dłonią okrwawioną uderzył się w piersi, poczem czoło sparł na skrzyżowanych dłoniach, zasłonił oczy, jak ci rzymscy gladjatorowie, co rzucali na twarz kraj szaty, aby się nie wydać z bólu wyrazem... nie widać było nic, tylko drżące dłonie i zbielałe czoło. Zsunął się powoli na ławę i skonał.

Tam, gdzie siedział i klęczał, stała kałuża krwi skrzepłej.

Sydbór i wszyscy świadkowie tej śmierci długo stali, wpatrując się w nieszczęśliwego. Dzień się robił coraz jaśniejszy i do chaty zaglądał już, gdy zatęt-

niło i kneź Mieszko z drużyną podjechał pod zagrodę. Wybiegł Sydbór, miecz Wigmana niosąc i winszując mu zwycięstwa.

Wolińcy byli na głowę pobici, poszli w rozsypkę i mnogim trupem usłali pobojowisko — najniebezpieczniejszy z nieprzyjaciół Wigman nie żył.

Mieszko wszedł spojrzeć tylko na trupa, zmierzył oczyma tę dumną, nawet w chwili zgonu postać i, nie rzekłszy słowa, chatę opuścił, nakazując pogrzeb przystojny nieprzyjacielowi.

Wkrótce około zagrody zbierać się zaczęły rozproszone oddziały, które przez noc całą ścigały uchodzących. Ziemko i Hłaska polegli oba, zwycięstwo było zupełne i na długo trwogą napełnić mogło Nadodrzańców.

Czesi i Polany zebrali się tu znowu, znosząc łupy i obliczając straty, które bardzo szczupłe były. Zdobyczy nie wzięto wielkiej, oprócz silnego niewolnika i niewiele wartego uzbrojenia.

Odpocząwszy nieco, kneź zdał dowództwo Sydbórowi, napowrót ciągnąć mu każąc do Poznania, a sam w kilkanaście koni tylko puścił się przodem, zabrawszy z sobą Wigmanów miecz, jako zwycięstwa swojego pamiątkę.

Tak skończył niespokojny ów warchoł, który z Geronem razem napadł naprzód Polan, potem na nich wiódł Wolińców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze Słowiany i za Słowian... i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim.

Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogiłę comesowi, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz, dowiedziawszy się o tem z pogranicza, nie rzekł nic, żal mu go było może...

Nazajutrz w Regensburgu uroczyste za duszę grafa odprawiono nabożeństwo.

X.

Jak niegdyś ojciec Własta przyjmował na Krasnejgórze swych powinowatych i sąsiadów, gdy mu syn powrócił, tak teraz jesienią o. Matja na dzień Wszystkich Świętych zaprosił chrześcijan nawróconych do siebie, aby z nimi razem nabożeństwo i skromną odprawili biesiadę. Nie potrzebował się on taić ze swą wiarą, która codzień jawniej po całym kraju występowała, ustały nawet nadzwyczajne ostrożności, gdyż nie zdawało się, ażeby gorliwsi bałwochwalstwa wyznawcy śmieli się porwać na chrześcijan, do których kniahini, znaczna część dworu jawnie, a kneź też, choć nie ogłaszając się z tem, należał.

Bałwochwalstwo ustępowało milczące, strwożone, ale się tuliło uparte tam, gdzie je dosięgnąć było najtrudniej.... w lasy i niedostępne uroczyska.

Tu, kto z nowych apostołów śmiał się puścić, niosąc krzyż i ewangelję, znajdował opór tak groźny, iż, życie unosząc, uchodzić musiał. Gdy wpobliżu grodów już wszystkie na drogach bałwany, oznaki pogaństwa, poobalano — dalej w lasach strzeżone były pilnie i żadna ręka ich nie tknęła.

Gromady starców, bab, parobków, w pałki pouzbrajanych, obsiadały brzegi świętych strumieni, rozdroża, dęby, i przystępu do nich broniły.

W lasach między Gnieznem a Poznaniem — na miejscu wywróconych bogów, kryjomo stawiano krzyże, ale nazajutrz znajdowano je połamane i popalone.

Nigdzie do tej walki nie występowano jawnie, a jednak nie ustawała ona, ciągnąc się nieprzerwanie... Chrześcijaństwo zyskiwało wyznawców — bałwochwalcy coraz się do rozpaczliwszej pobudzali obrony...

Dom Własta, do którego oprócz nowych chrześcijan, nikt prawie nie zaglądał, przybrał postać nową i miał wszystkie oznaki, jakie mieszkania chrześcijan na zachodzie odróżniały.

Znikły dawne uzbrojenia, rynsztunki, łuki i tarcze,

które Jarmierz pochował do komór. Ojciec Matja uczynił klasztor niemal ze swojego dworu. Sam teraz przywdział ciemną suknię, podobną do tych, które nosili synowie św. Benedykta na Monte Cassino, u których czas jakiś przebywał — a izby przybrał jak cele klasztorne w wizerunki Zbawiciela, w bizanckie obrazki Matki Jego, w krzyże i godła wiary swojej. U każdych drzwi wisiała przybita kropielnica... a kaplica, coraz nowemi zbogacona nabytkami, świeciła kosztownym sprzętem i bogatemi aparatami. Ołtarz umajały kwiaty, zmieniane codzień. Przed nim ojciec Matja modlił się za duszę ojca i za nawrócenie kraju, którego miłość była dlań pobudką nieustannego apostolstwa.

On i ks. Jordan, kilku Czechów, którzy im pomagali, nauczali codziennie gromady tych, co już chrzest przyjąwszy, napół jeszcze bałwochwalcami pozostali. Wielu tu wiarę jak szatę nową wdziewało obojętnie, a żyli starym obyczajem, usiłując z sobą pogodzić nieodżałowaną przeszłość z nieuniknioną przyszłością.

Hoża już także z rąk brata przyjęła chrzest i zwała się Hanną, Jarmierz wziął imię Andrzeja, ślub połączył tę parę, którą Włast uczynił u siebie gospodarzami, lecz i z tymi najbliższymi też same miał ojciec Matja trudności, co z obcymi. Powoli krzewiła się wiara, niełatwo przyswajano jej obowiązki.

Jesień już późna na uroczysty ten dzień Wszystkich Świętych obdarzyła niezwykłem ciepłem i pogodą. Pajęczyny jedwabne rozściełały się po polach, na drzewach ostatki liści pożółkłych jeszcze się trzymały, zasiane żyta już zdawały się wiosny obietnicą, tak zieleniały bujno.

Lekki przymrozek posrebrzył je tego rana.

We dworze już przed brzaskiem wszystko było w ruchu, pieczono i warzono dla gości, ustawiano stoły po izbach i w szopce... bo się spodziewano wielu. Włast z dawnych tradycyj, które się dobrze godziły z chrześcijańską nauką, zachował gościnność polańską dla wszystkich. Każdy, kto do drzwi jego zapukał,

przyjętym był, choćby i do chrześcijan nie należał. Jałmużnę rozdawano obficie.

Rano, razem z gośćmi dalszymi, przybył z zamku ks. Jordan i dwaj czescy kapłani... przysposobiano się do mszy, a tymczasem coraz ktoś nadciągał nowy. Byli to po większej części nawróceni żupani i kmiecie, ale i uboższego ludu przychodziły nieśmiałe gromadki. Większa część przybyszy, jako znak na piersiach zawieszała krzyżyk przy chrzcie dany, który najczęściej jedyną był w nich chrześcijaństwa cechą.

Mała kapliczka nie mogła pomieścić przychodzących, lecz ołtarz stał naprzeciw otwartego okna, tak że z podwórza przy nim widzieć było można kapłana, i tu ustawiały się też szeregi. Tymczasem Jarmierz ze służbą przysposobił stoły, chleb i przyjęcie.

Chrześcijańska ta nowa społeczność powierzchownie się jeszcze nie różniła niczem od dawnej pogańskiej szaty, oręże, wszystko zostało toż samo, tylko łagodniejsze już widać było oblicza i ciszej sprawiali się zbrojni goście.

Przed południem, gdy już i podwórko i izby pełne były samych prawie mężczyzn, ks. Jordan z dwoma duchownymi wyszedł przed ołtarz ubogi ze mszą świętą. Cisza uroczysta zalegała dokoła. Większa część tych chrześcijan niewiele modlitw umiała... modlono się duchem tylko; dopiero gdy po Ofierze rozpoczęto litanję, cała gromadka powtarzać zaczęła głośno — zmiłuj się i módl się za nami!

Może, jak opowiada o innych Słowianach Ditmar, że Kyrje elejson — przez nieświadomość przekręcali na Ukra oleza (u krzaku olszyna), tak i tu niejeden słów nie rozumiał lub odmienił, lecz sama chęć starczyła ubogim na duchu za modlitwę.

Nabożeństwo odbyło się poważnie wśród ciszy i musiało radować apostołów, widzących już owoce swojego trudu. Z promieniejącą twarzą, pomodliwszy się u ołtarza, ojciec Matja zdejmował białą komżę i miał śpieszyć do gości, gdy Jarmierz wpadł, dając mu znać, że

od Poznania widać ciągnący orszak, w którym się domyślano knezia...

Wyszedłszy przed wrota, w istocie ujrzał Włast kilkanaście koni, które się zwolna ku dworowi zbliżały, a na ich czele mężczyznę i dorodną niewiastę... Za nimi szły psy, a chłopak niósł na ręku sokoła.

Wyjechali więc na łowy, a Krasnogóra znalazła się na drodze wypadkiem, czy do niej zboczyli umyślnie? Włast został przy wrotach, aby na wypadek odwiedzin pańskich powitać go czołobitnością należną.

Gdy się jadący zbliżyli, łatwo już było rozpoznać wesołe knezia oblicze i swobodną zawsze twarz Dubrawki, która dotąd wianka dziewiczego zrzucić nie chciała, i teraz też w nim jechała, uśmiechając się to mężowi, to wesołej okolicy. Zdala już kneź skinął na Właста i, podjechawszy do wrót, stanął.

— Dziwne sprawy — zawołał — u was zawsze widzę gody! Zastałem je niegdyś tu u ojca waszego, a oto i syn także biesiaduje i gości ściąga.

Kneź popatrzał na stojących w podwórzu, którzy mu się nisko kłaniali. Dubrawka, rozglądając się też, dostrzegła przez otwarte okno ołtarz i krzyż i przeżegnała się pokornie.

— Co tu u was dziś, — wesele czy urodziny? — spytał kneź.

— Święto — odparł duchowny ks. Jordan — pamiątka tych wszystkich, co za wiarę cierpieli i co się dla niej zasłużyli — a jutro obchodzić będziemy dzień zmarłych.

Kneź głową pokiwał tylko, jakby unikał o tem mowy, był bowiem niebardzo jeszcze świadom obyczaju nowego i z ks. Jordanem często miewał o to spory... bo mu się trafiały dziwne sądy i pytania. Przy ludziach więc Mieszko wolał nie mówić, aby się na poprawki nieubłaganego kapłana nie narażać.

Włast ośmielił się poprosić, aby kneź i kniahini zsiedli i odpoczęli.

— Nie mam ja czasu — rzekł kneź. — Ze psy i sokoły jedziemy do Gniezna. Zamiast tu pozostać, ja go-

ścia jeszcze zabiorę... Ks. Jordan mi potrzebny, pojedzie ze mną; ale kubek miodu mi dajcie — wypiję.

I tak, na koniu siedząc, Mieszko, rozglądając się ciągle, miód podany wychylił; — kniahini drugi przyniesiono — nie odtrąciła go. Śmiejąc się, przyłożyła do ust rumianych.

Tymczasem już dla ks. Jordana konia wyprowadzono i cały ten orszak, jak przybył zwolna, tak odciągnął, nie śpiesząc, ku lasom. Ludzie, stojąc, długo za nim patrzali.

Ks. Jordan w orszaku pańskim jechał milczący, modlił się, nie wiedząc spełna, na co był w podróży i Gnieznie potrzebny; lecz wiedział, że wszędzie i zawsze miał wiele do czynienia. Parę razy puszczono psy, raz czy dwa razy sokół się zerwał, ale łowy nie szły, co ks. Jordan świątecznemu dniowi przypisywał, ale dla nowonawróconych w wielu rzeczach trzeba było być pobłażającym.

Przez cały dzień przeciągnęła się podróż polami i lasami i już dobrze zmierzchało, gdy się ukazała osada nad jeziorem z grodem na Lechowej górze. Znaczną przestrzeń zalegało miasteczko nad brzegiem, z drzewa pobudowane całe, ale czyste i zamożne. Dworki świeciły ścianami malowanemi i wyrzynanemi słupkami. Rzemieślników tu było prawie tyle, co w Poznaniu i tyleż wojska, — w części na grodzie, w części w chatach około niego pomieszczonego. Na górze opasany wałem, a z jednej strony wodą oblany, stał gród książęcy stary, drewniany jak wszystkie ówczesne słowiańskie, jak większa część budowli w Niemczech nawet. Wśród niego widać było starą, na wysokich słupach stojącą kontynę pogańską, z dachem czerwono malowanym. Na najwyższym jej szczycie, wycięty z drzewa potwór jakiś się unosił.

Tuż były obszerne domostwa książęce, podobne do tych, co stały nad Cybiną, starsze od nich może, lecz w ten sam sposób przyozdobione. Ale tu krasne malowania i dawne barwy wypełzły i słupy a ściany jednako szaro wyglądały a posępnie.

Sydbór wyszedł pieszo do bramy naprzeciw brata, ciesząc się z jego przybycia. Musiał się go spodziewać, bo nietylko stoły czekały nakryte, ale gromadka ziemian stała w podwórzu z odkrytemi głowy. Pomiędzy dworem a kontyną leżały stosy kamieni zwiezionych świeżo. Za starszyzną u ściany widać było ludzi obcych twarzy, którzy też zdawali się tu oczekiwać na Mieszka, i ciekawie mu się przypatrywali.

I on i Dubrawka zsiedli z koni pokłonami witani aż do ziemi, lecz zamiast iść do dworu, Mieszko poszedł z ks. Jordanem ku kontynie, dokoła ją okrążył, obejrzał się po dworcach, nic nie rzekł i zawrócił do izby biesiadnej.

Mieszkanie to było niskie, okopcone, proste i niczem nieozdobne, tak, jak z Piastowych czasów zostało... Ławy dokoła, stoły na krzyżowych podporach, podłoga z opółków, zielonym kosaćcem posypana. Przez pootwierane drzwi widać było izby dalsze, do pierwszej podobne.

Mieszko się obejrzał z pewnem uszanowaniem po dworze. U głównego stołu stały już gotowe dwa siedzenia, a przed niemi naczynia srebrne... i misy; lecz kneź nie siadł jeszcze i rzekł do żony:

— Pokłonić się nam trzeba wprzód duchowi tego gospodarza, co tu pierwszy ze krwi naszej gościł.

I szedł potem, prowadząc żonę, a Sydbór jakby domyśliwszy się, poprzedzał ich przez izby i komory. I obeszli tak całą jedną połać grodu, aż do drzwi, które stały zaparte. Sydbór je otworzył...

Komora była niewielka, podobna do świetlicy w ubogiej chacie. Ława i stół w niej tylko!... Naprzeciw wnijścia na ścianie, oponą bogatą, jak królewska szata, wisiało coś osłonionego.

Mieszko widocznie wzruszony zdjął kołpak z głowy, a Sydbór na dany znak, przystąpiwszy do ściany, oponę zwolna odgarnął.

Spodziewała się może kniahini ujrzeć jakieś bogactwa lub coś nadzwyczajnego... U ściany wisiała pro-

sta szara siermięga, lipowe kurpie i kobiałka, a pod niemi stał ul pusty...

— Miłościwa pani — odezwał się Mieszko — Piastowa to pradziadowa kmieca odzież, od której go wzięto na stolicę... Nam ją wnukom zostawił, abyśmy nasz początek i wyjście pomnieli.

To mówiąc, kneź ujął w ręce kraj starej szaty i pocałował ją, a za nim Sydbór; — Dubrawka stała nieco opodal.

— Nie zachowali my na Hradczynie Przemysławowego pługa, miły panie, ale Piastowa siermięga i ul narówni z nim w pamięci wnuków zostaną!

Sydbór zasłonę ściągnął. Mieszko wyszedł smutny. To wspomnienie przeszłości było dlań może wyrzutem w chwili, gdy mu się zdawało, że ją zdradził i że się jej wyrzekał. Zawahał się, czując chwilę stanowczą nadchodzącą.

Dubrawka zdawała się myśli jego odgadywać i gdy dochodzili do izby, w której starszyzna czekała, zaledwie mrucząc pocichu, — odezwała się do knezia:

— Szkoda, żeście z sobą do tej komory nie wzięli ks. Jordana; — niechby ową siermięgę święconą wodą pokropił — a lżejby na sercu wam było...

Wchodzili już do izby, witani znowu pokłonami niskiemi... a że mrok był, pachołęta wnieśli pochodnie i uczta się rozpoczęła.

Nie było niewiasty nad Dubrawkę milszej, gdy gośćmi otoczona, wesele w nich i dobrą myśl dostrzegła. Naówczas śmiały się jej usta i oczy i pobudzała drugich, wyzywała, a ochoty dodawała. Nikt u niej nie widział czoła pochmurnego, ani ponurej twarzy, przez co i drudzy się też ożywiali i ośmielali.

Umiał kto pieśni, — kazała śpiewać; proszono ją, chętnie nuciła swoje czeskie stare, w których ludzie, jakby zapomniane swoje własne znajdowali. Czyniły one takie wrażenie u Polan, — jakgdyby je kiedyś w dzieciństwie, czy na drugim świecie jakimś słyszeli... a teraz je dopiero sobie przypominali. Gdy nad Wełtawą pieśń przezimowała ciężkie lata i z wiosną się

obudziła — tu, nad Wartą i Wisłą, zmroził ją jakiś podmuch — czy wyżegła wojna.

W wielkiej izbie wesoło było dziwnie... ale Mieszko siedział smutny... czy mu na oczach stała Piastowa siermięga, czy śmierć Wigmanowa — czy to, co jutro przyjść miało...

Przez otwarte okna coraz to się dawał słyszeć trzask jakiś dziwny, na który nikt może nie zważał, oprócz Mieszka. Ile razy doszedł uszu jego, kneź się wstrząsnął, popijał i wodził oczyma jakby przestraszonemi.

Gdy tu biesiadowano wesoło, w podwórcu działo się coś, na co ludzie, stojący na wałach dokoła, z przerażeniem patrzali.

Kupka obcych jakichś, którą kneź wysłał przodem, przystąpiła do starej kontyny. We drzwiach jej stało dwu dziadów na kijach opartych. Starszyzna jakiś odezwał się do nich:

— Idźcie sobie, starzy, nie macie tu już co robić, ni czego strzec. Skarb wzięty na dworzec, a chramowi przyszła ostatnia godzina.

Dwaj dziadowie słuchali, jakby nie rozumieli, spojrzeli potem po sobie i, milcząc, weszli do środka. Za zasłonami stał stary drewniany kloc, podobny do jakiejś nieforemnej człowieczej postaci, obwieszony blachami i kawałkami zbroi. Z jednej strony przymocowana była dzida, z drugiej tarcza bogata. U nóg posągu stały ofiarne naczynia.

Dziadowie przyszli do stóp posągu i posiadali na ziemi.

Człowiek, który kazał im ustąpić, poszedł powoli za nimi.

— Ustąpić! — zawołał. — Rozkaz knezia! idźcie stąd, nie macie tu już nic do roboty!

Starcy ze spuszczonemi głowy nie odezwali się ani słowa. Ten, co ich chciał wygnać stąd, poczekawszy nieco, zniecierpliwiony jednego z nich za ramię chwycił i szarpnął. Dziad się pochylił, starał oprzeć, obalił,

podniósł i siadł znowu. Łajanie, groźby, nic nie pomagało.

Musiał wyjść i zawołać ludzi, którzy do starych się zbliżywszy, gdy inaczej wyprzeć ich stąd nie było podobna, musieli za bary pochwycić i mimo oporu wyrzucić za drzwi kontyny. Lecz zaledwie wypchnięci, oba wrócili i pokładli się przy posągu, wyciągnięto ich raz jeszcze i związanych zaprowadzono gdzieś na dworzec.

Na wałach jak mur stali ludzie milczący: patrzali mimo ciemnej nocy i ktoby mógł usłyszeć głosy, co stamtąd płynąc, z wrzawą biesiadną się mieszały, rozeznałby w nich jęki i płacze, ale ciche i stłumione...

Co się działo wewnątrz kontyny, nie widział nikt; wynoszono z niej, wytaczano, zabierano sprzętu resztę. Słychać było, jak się darły zasłony i stanęły nagie słupy, a naprzestrzał pod dachem szopa pusta. Wtem głuche uderzenia siekier dały się słyszeć, a każde z nich odezwało się w sercach tych, co tam na wałach stali. I biły siekiery długo, podrębywały dokoła, a czarny dach chramu, zdało się, zadrżał, chylił, chwiał—potem odskoczyli ludzie, cała stara budowla z trzaskiem wielkim runęła na ziemię. Głośniejszy jeszcze od niego był jęk, który przebiegł po wałach: świat się to walił stary! Ludzie oczy pozakrywali i płakali.

Ze dworca, mimo łomu tego i wrzawy, nikt nie wyszedł; pachołkowie z zewnątrz zasuwali okiennice. Została kupa rumowiska, w której gdzie niegdzie jeszcze coś chrupnęło, obsunęło się głębiej i zapadło.

Ludzie długo nie przystępowali do tej ruiny; dopiero gdy starszy wskazał, rozpoczęła się szybka robota. Chwytano i wyciągano belki, rozrąbywano krokwie, wleczono słupy, oczyszczano miejsce, na którem stała kontyna. Parobcy zwołani dźwigali to i składali na kupę pod wałami, które gromady ludu zalegały. Nie ruszał się nikt zrazu, potem w mroku jak mrówki zaczęli się tłumem spuszczać ludzie z okopów i unosić te szczątki. Ledwie się to rozpoczęło, w mgnieniu oka posypali się z innych stron drudzy, i belki, słupy,

resztki dachu, wszystko, co zostało, — znikło! Tysiące rąk podawało sobie te pokruszone części chramu, które gdzieś w ciemnościach nocy tonęły.

Tylko na wałach, w cichych gromadach ruch się wziął jakiś, pośpieszny, gorączkowy, nieustanny. Jedni na dół się spuszczali, drudzy pędzili do góry, mijając się w milczeniu. Straż i ci, co znosili drzewo, chcieli się opierać tej kradzieży. Tłum milczący nacisnął ich, otoczył, skupił się, objął tak, że z trudnością wyzwolić się potrafili. Z wałów stoczyli się ci niemi ludzie ku rumowisku i wprost z niego chwytali, unosząc, co leżało jeszcze. Ci, którzy obalili chram, musieli milczący i bezczynni pozostać na boku, nie śmiejąc się już ruszyć. Z rąk im wyrywano drzewo; krzyczeć i wołać pomocy nie chcieli. Ustąpili więc, czekając, aż rabunek się skończy.

Stos się zmniejszał w mgnieniu oka, najcięższe kłody wysuwały się gdzieś w ciemności i przepadały w nich. Została kupka kamieni tylko i te potoczyły się ku wałom, tylko poruszona ziemia, węgle i trzaski okrywały plac i tłum z wałów odpływać począł.

Zdala widać było gdzie niegdzie małe kupki, potem nikogo więcej. Stary chram zniknął bez śladu.

Gdy po długiej uczcie wyszła starszyzna z dworca, rozgrzana miodem i rozradowana przyjęciem, wszyscy stanęli i oniemieli na widok pustej przestrzeni, gdzie przed niewielą jeszcze godzinami stał chram stary. Spojrzeli po sobie długo, milcząco i cicho rozchodzić się zaczęli.

Po wałach czuwały zbrojne straże i wszystek lud wojenny gotowy był, jakby nazajutrz wybierano się na wyprawę. Noc przeszła na czuwaniu w grodzie i mieście; tylko Mieszko legł spać, nie troszcząc się o nic. Dodnia już był na nogach. Ze dworca wychodził on, Dubrawka, Sydbór i ks. Jordan w białej sukience, włożonej na czarną, którą zwykle nosił. Za nim chłopak dźwigał śpiżowe naczynie z wodą.

Mieszko wyszedł z dworca, oczyma potoczył dokoła. Świątyni dawnej nie było ani szczątka, znikło

nawet to, z czego była zbudowana. Noc, jakby cudem, uprzątnęła miejsce, zmiotła okruchy nawet, tylko świeżo ruszona ziemia znaczyła plac, gdzie niegdyś stał chram Jessego.

Wolnym krokiem zbliżyli się wszyscy ku miejscu, które już ks. Jordan, przodem pośpieszając, kropił wodą święconą. Kneź się obejrzał dokoła: na grodzie nie było nikogo, prócz zbrojnych ludzi i dworu.

Obcy człek z odkrytą głową zbliżył się pokornie, w ręku trzymając miarę; za nim postępowało kilku pomocników. Razem z księdzem Jordanem poszli odmierzać plac i zakreślili na nim wielki krzyż, który, białemi kołkami wytknięty, zdala był widoczny. Godło zbawienia leżało w rozmiarach olbrzymich na poświęconem miejscu, a Dubrawka, przeżegnawszy się, wskazała środek krzyża.

— Tu będzie mój grób! — rzekła.

Mieszko milczał.

Gdy odstąpili, wracając ku dworowi, do knezia zbliżył się jeden z jego komorników.

— Miłościwy panie — odezwał się cicho. — Dwaj starzy od chramu leżą powiązani, co zrobić każecie z nimi? Wczoraj bronili przystępu, nie można było ich odegnać.

Kneź myślał, zniżył głos, obejrzał się ku księdzu i żonie, jakby się lękał, aby go nie posłyszeli...

— Weźmijcie ich na wóz, nakryjcie słomą, wywieźcie gdzie do lasu na uroczysko i wyrzućcie — rzekł i odwrócił się szybko; niewesoło mu z oczów patrzało.

Dubrawka przyszła i rękę położyła mu na ramieniu.

— Panie mój miłościwy! radować się i cieszyć macie, boście wielkiego dokonali dzieła.

— Nie dokonaliśmy go jeszcze — szepnął Mieszek, — nie dokonali, a już boli; cóż będzie, gdy się spełni?

— Wówczas boleć przestanie — dodała Dubrawka śmiało, — a im prędzej to uczynicie, będzie lepiej.

Kneź swoim zwyczajem, nie odpowiadając nic, na

Sydbóra spojrzał, który także stał pół wystraszony, pół smutny i weszli obaj do dworca.

Na owym rozpiętym krzyżu, który wodą pokropił święconą, klęczał ks. Jordan i modlił się. Nie obchodziło go to wcale, iż ludzie, poganie w wielkiej części, patrzali nań z podziwem i zabobonną trwogą. Ta modlitwa dziękczynna była potrzebną jego duszy, powstrzymać się od niej nie mógł. Z rękami zaciśniętemi, oczyma wlepionemi w ziemię, na której klęczał, modlił, się, płacząc, jakby chciał wszelkie nieszczęścia od tego poświęconego przez się miejsca odegnać i sprowadzić nań błogosławieństwo Boże po wiek wieków.

Tymczasem obcy ludzie, co mierzyli i wytykali jakby zagrzani jakimś zapałem, ruszyli się ku stosom przygotowanych kamieni; drudzy już z łopatami stali, gotowi kopać. Ks. Jordan klęczał jeszcze. Gdy wstał i pobłogosławił na cztery strony plac, dano znać i dokoła posypała się ziemia. Mieszko i Dubrawka już odjeżdżali, ks. Jordan z nimi, — Sydbór przeprowadzał brata.

XI.

Tak się przygotowywało wprowadzenie wiary chrześcijańskiej do kraju i Dubrawka co chwila się spodziewała, że nareszcie krzyż zatknięty zostanie na dachu pierwszego kościoła. Im bardziej jednak zbliżała się ta chwila, tem Mieszko dziwniej ociągał się i odkładał krok stanowczy. Ile razy wyruszył na łowy, spotkał w drodze lud, popatrzał na chmurne twarze, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, wracał jakby niepewny i wahający się znowu, a gdy kniahini pytała go o ów zapowiedziany chrzest uroczysty, — nic odpowiedział jej nic.

Ks. Jordan wzywany do narady, radził czekać i nie nalegać; — zdało mu się, że sama potrzeba zasłonięcia się od Niemiec i przymierza z cesarzem zmusi do chrztu i otwartego krzewienia wiary.

Wprawdzie nie ukrywano się z nią, opiekowano nawróconymi, odprawiano nabożeństwa, ale sam kneź nie był już ani poganinem, ani chrześcijaninem jeszcze. Wielu rzeczom się opierał, a bardzo wielu zrozumieć i słuchać nie chciał. Samowola, do której nawykł przez całe życie, poddanie się prawu czyniła dlań nieznośnem. W duszy może nieraz lepiej rozumiał opór ludu, dla którego był pobłażającym, niż przymus, jaki nań wywierano.

Dubrawka coraz więcej się zżymała na męża, zwłaszcza, że z Czech szły ciągle zapytania o chrzest i ślub uroczysty, o ogłoszenie chrześcijańskiej wiary głośne i jawne, na które nie wiedziała już, co odpowiadać.

Przez całą zimę trwało naleganie ze strony kniahini i milczenie uparte samego pana. Dubrawka, niecierpliwa i żywa, z trudnością znosiła upór mężowski, nie mogąc nawet odgadnąć jego myśli.

Po nowym roku raz jeszcze kniahini poczęła prosić męża, aby dotrzymał słowa. Mieszko znowu zmilczał, a gdy naciskać zaczęła nań, wyszedł, nic nie przyrzekłszy.

Kneź był dobrym mężem, ale niewieście nie przyznawał prawa rozporządzania się w domu. Gdy go nagliła bardzo, miał zwyczaj żartobliwie odsyłać ją do wrzeciona i krosien.

Zima była ostra w tym roku, dzień po dniu jednak jeżdżono na łowy. Mieszko wyruszał często przededniem, bawił długo i ledwie wróciwszy, wybierał się znowu.

Raz, gdy z takich łowów wrócił na zamek późną nocą, a kilkoro sań przywiozło za nim zwierzynę, w komorze, do której wszedł, znalazł na siebie oczekującego Dobrosława.

Zaczął mu opowiadać o łowach i ostatnim dziku, którego ludzie żywcem wzięli, gdy spojrzawszy w twarz swojemu słudze, postrzegł na nim oznaki jakiegoś niepokoju. Nienawykły do milczenia, spytał zaraz, — czy się co we dworze nie stało?

Dobrosław zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy kneziu — rzekł wreszcie — skinąwszy wprzód na komorników, aby odeszli — nasza kniahini wybiera się w drogę...

— Dokąd? kiedy? — spytał kneź.

— Przyjechał z Pragi poseł... nie wiem, co przywiózł ze sobą — kazano wszystko do podróży sposobić...

Ponieważ noc była późna, Mieszko, nie pytając, ani dowiadując się więcej, legł na spoczynek.

Nazajutrz raniej, niż zwykle, był na nogach. W istocie w dworcu Dubrawki ładowano juki i skrzynie i wynoszono je w podwórze; widać było ludzi śpiesznie się uwijających i ruch niezwykły.

Mieszko czekał na to, aby mu Dubrawka sama przyszła wytłumaczyć, co znaczył ten wybór w drogę; godzina upłynęła jeszcze. Naostatek weszła Dubrawka, ale nie, jak zwykle, z twarzą wesołą i obliczem rozpromienionem — niespokojna, smutna i widocznie poruszona.

Mieszko ręką jej wskazał w podwórze, jakby zapytywał — co to jest?

Dubrawka patrzyła nań.

— Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli... wrócę do rodzicielskiego domu. Dłużej tu nie mogę zostać...

Strzymała się nieco i ciągnęła dalej, patrząc na męża.

— Wstyd mi... widzicie, że noszę wianek dziewiczy na głowie, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, żem żoną twoją... Wobec chrześcijan córka Bolesława jest tylko twoją ulubienicą, jak dawne Lilje i Luby... a córka Bolesława Lutego, wnuczka Przemysława, nie może nią być i nie będzie! Wolę powrócić do domu, niż dłużej to cierpieć i sromać się przed moimi pogaństwa a takiego życia. Pojadę do domu! — powtórzyła.

Stał Mieszko zdziwiony i niemy — Dubrawka prawie płakała... ale nie chciała dać poznać po sobie, że na łzy się jej zbierało.

— Nie pojedziecie! — odparł Mieszko. — Musieliby po was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej ja nie puszczę!

— Ucieknę, — a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę! — dodała Dubrawka.

Kneź, ramionami ruszywszy, siadł na łożu i zadumał się.

— Słowo dałem i strzymam — odezwał się. — Wiem, co czynię.

— Miłościwy panie, i ja wiem, czego żądam... czekałam z pokorą... czas albo mnie nazwać żoną, lub opuścić ze wstydem.

Wstał kneź zwolna, zadumał się — przystąpił do płaczącej i rzekł:

— Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie reszta chramów i w Gnieźnie krzyż zatkniem. Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa — powtórzył.

Dubrawka plasnęła w ręce i oczy jej zaświeciły...

— Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze, przysięgnij mi — zawołała — i z szyi zdejmując krzyżyk, podała mu go: — przysięgnij!

— Przysięgam — rzekł Mieszko.

Od tego dnia rozpoczęły się jawne przygotowania do większej uroczystości.

Posłowie czescy, odprawieni nazad do Pragi, mieli jeszcze raz przybyć ze skowronkiem razem... wioząc ze sobą świątobliwego kapłana Bohowida, który chrzest uroczysty Mieszka miał dopełnić.

W Gnieźnie, nad częścią już wznoszącego się nowego kościoła, naprędce kazano dach ukończyć, aby w tej pierwszej świątyni odbyć się mógł obrzęd chrztu. Ks. Jordan, ojciec Matja i inni duchowni zbierali tymczasem przygotowujących się neofitów, ażeby razem z kneziem jak największa ich liczba do chrztu stanąć mogła.

Na zamek gnieznieński wieziono białe szaty i wszystko, co do świetnej uroczystości tej było potrzebnem. W tym samym dniu po całej ziemi oznaki bałwochwal-

stwa, posągi, słupy, kamienie wywrócone i zniszczone być miały.

Na grodzie poznańskim, gdzie dawno już stary chram stał pustkami, obalono go jednego dnia, wobec wszystkich, nie znajdując żadnego oporu, bo dwór i wojsko już wcześnie całe prawie do przyjęcia chrztu było przygotowane.

Tegoż dnia poświęcił ks. Jordan pierwszy kamień kościoła, który miał się wznieść na jej miejscu. Działo się to jawnie, bezkarnie, o starych wróżbitach i gęślarzach słychać nawet nie było; znikli gdzieś i nie pokazywali się więcej. Kraj był spokojny, lud milczący... księża przebiegali go bezpiecznie, ale u możniejszych tylko znajdowali gościnę i posłuch chętny — osadnicy ubożsi milcząco i obojętnie dawali im mówić, nie odpowiadając wcale; pomiędzy nimi nawrócenia były rzadkie.

Z pierwszym skowronkiem, po roztopach wiosennych przybyło czeskie poselstwo i Bohowid staruszek, który dawne czasy pamiętał.

Dubrawka wyszła pieszo przeciwko niemu. Mieszko przyjął go ze czcią należną. Dwór, wojsko, co było chrześcijan i tych, którzy nimi zostać mieli, wszystko pierwszych dni marca pociągnęło do Gniezna.

Pochód był uroczysty, powolny i wspaniały, lecz drogi, któremi ciągnął — puste. Gdziekolwiek został jeszcze ślad pogaństwa, zatykano krzyże białe po drodze, które księża poświęcali.

Na wszystkich rozstajach, u źródeł, gdzie dawniej składano ofiary, wznoszono znamiona wiary. Nigdzie i nikt nie śmiał stanąć w obronie dawnych bogów. Na widok tego orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty, — ludzie z pól uciekali i kryli się po lasach, gdzie milczenie szło za nim.

Na zamku w Gnieźnie wały i dworce pomieścić nie mogły natłoku. Tu zbiegło się wszystko, co pragnęło pod nową zaciągnąć się chorągiew, ziemianie, władycy i żupanowie, wojsko całe, wreszcie namówieni i zjednani z ludu. Tym oddawna rozdawano szaty białe po-

szyte umyślnie, które kładli jako oznakę odrodzenia i oczyszczenia.

Gromadami stojących dokoła grodu kropili kapłani wodą i dawali imiona nowe. Dostojniejszych Czesi i Dubrawka we dworcu do chrztu trzymali. Naostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem w nowej jeszcze i nieskończonej świątyni, dla której relikwje z Pragi przywiózł Bohowid... Mieszko ochrzczonym został przez niego i pobłogosławionym wraz z Dubrawką... Sydbór i Górka przyjęli chrzest razem z nimi. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem świątyni nowej jaśniał wysoko wzniesiony krzyż, który odtąd dziejom tej ziemi miał przyświecać.

Ponieważ w głąb kraju dosięgnąć dla obalenia kontyn po lasach i bałwanów na polach a wzgórzach niełatwo było, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanemi krzyżami wyruszyć miały, dotrzeć do znanych zakątków i tam wznieść godła wiary.

Właśt z chęcią ofiarował się do jednej z tych apostolskich wycieczek za przewodnika. Pragnąc się na nią wybrać, natychmiast z Gniezna wyjechał do Krasnejgóry, dokąd po niego przybyć mieli ci, którym tu towarzyszyć kazano.

Przed wieczorem jeszcze, przebiegłszy całą przestrzeń, którą wczoraj pochód książęcy przybrał w krzyże nowe, ojciec Matja ze smutkiem mógł się przekonać, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone i zbezczeszczone; nie został żaden na swojem miejscu. Ludzie się nie pokazywali nigdzie.

Z bolesnem wrażeniem w duszy przybył Właśt do dworu.

Wieczór był chłodny wiosenny; w progu domostwa zastał siedzących Hannę i Andrzeja.

Wyszli oboje na jego spotkanie, dowiadując się, co się w Gnieźnie odbyło i jak. Właśt smutnie napół, wpół radośnie zaczął im opowiadać, jak świetnie chrzest się spełnił, jak mnogo ludu wdziało białe szaty,

a jak podstępnie potem i sprośnie krzyże wystawione pozrzucano i zbezczeszczono w nocy.

— Ojcze mój — odezwał się nawykły tem imieniem go nazywać Jarmierz, — początek to dopiero... wszystkiego się jeszcze spodziewać można, i nie dziś tylko, ale przez długie lata... Kto wie, co nas wszystkich czeka...

Ojciec Matja chwycił go za ręce.

— A! nie!... — zawołał. — Teraz, gdy mamy prawo do tego, pojedziemy nauczać, objaśniać, nawracać. Ludziom się serca i oczy otworzyć muszą, tak, jak się one wam otwarły na światło...

Jarmierz spuścił głowę i nic już nie odpowiedział.

Weszli do dworu, ojciec Matja naprzód do ołtarza śpieszył, aby się przy nim pomodlić. Hanna zastawiała skromną wieczerzę. Zasiedli do niej właśnie, gdy Jarmierz wstał jeszcze, aby pójść obejrzeć wkoło dwór i zobaczyć, gdzie byli parobcy i stróże.

Obchodził je tak zwykle co wieczora.

Tym razem dłużej go nie było zpowrotem i Hanna poszła zobaczyć, gdzie się zabawiał tak długo.

Właśt został sam. Weszli nareszcie zpowrotem, ale bledzi i strwożeni tak, że podniósłszy na nich oczy, brat spytał, co ich tak niepokoiło?

Jarmierz, odzyskawszy przytomność, zawołał tylko:

— Uciekaj!...

Nie zrozumiał tego zrazu Właśt.

— Dwór otaczają ogromne gromady ludzi, które z lasu ciągną w milczeniu... Parobcy uszli wszyscy, niema nikogo do obrony... Uchodzić trzeba, jeśli można...

Przeżegnawszy się spokojnie, ojciec Matja wstał z za stołu i wyszedł razem z Jarmierzem na podwórze.

Stąd już widać było od strony lasku i od pola jak mur w milczeniu stojące tłumy ludu, w którego pierwszych szeregach rozeznać mogli starych dziadów. W jednej gromadzie dowodził Warga.

Ucieczka była już niepodobieństwem. Z tyłu, z przodu i po bokach, wszędzie opasywały ich te zastępy, o których złej woli wątpić nie było można.

Właśt uścisnął siostrę i Jarmierza.

— Uchodźcie — wyrzekł, — ratujcie się, wam przebaczą i nie uczynią nic... Mnie, co ma spotkać z woli Bożej, przyjmę jako nagrodę. Idźcie...

Hanna płakała. Jarmierz zaklął się, iż nie odstąpi brata.

Głuchy szmer, jakby warczenie dalekiej burzy, dochodziły ich uszów. Stali w przedsieni naprzeciwko wrót, na których oparty pokazał się Warga z rozczochranym włosem. Zobaczywszy go, Jarmierz podbiegł ku niemu, lecz nim się zbliżył, starzec podniósł kij i krzyknął:

— Ubiję...

Pomimo groźby zbliżył się do niego nieustraszony człowiek.

— Czego chcecie? — zawołał.

— Przyszliśmy na wasze nabożeństwo! — zaryczał stary, — a że ciemno, my wam do niego poświecimy...

To mówiąc, odstąpił od wrót.

Hanna jak obłąkana wpadła w głąb dworu, chcąc ratować brata i ciągnąc go z sobą. Naprzestrzał przebiegli sień domostwa. Z drugiej strony stał taki sam tłum gęsto zbity. Od lasu roiło się ciżbą. Jarmierz próbował się wydobyć przebojem, aby uciekłszy, sprowadzić pomoc, ludzie go pałkami wpędzili nazad na podwórze.

— Zniszczyć to gniazdo!...

— Z dymem ich puścić!...

Ojciec Matja postał chwilę, posłuchał, jeszcze raz uściskał siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem, czekając śmierci. Jarmierz błagał jeszcze, próbując, ażali mu się wykupić lub wyprosić nie uda u ludzi, lecz odpychano go wszędzie, mówić mu nawet nie dając.

Niedługo potem z kilku stron dworu błysnął ogień i dym czuć było w powietrzu.

Podpalone dachy, popodkładane głownie pod ściany gorzały coraz większym płomieniem.

W chwili tej, gdy już żadnego nie było ratunku, Jarmierz przypomniał sobie jamę, w której niegdyś ojciec trzymał nieszczęśliwego Własta. Została ona przy odbudowaniu dworu pokryta dachem i mało komu była znaną. Zdawało mu się, że do niej schroniwszy się, mogą ujść płomieni i śmierci, bo nawet gdyby lekki daszek, zgorzawszy, padł na nią, mogli się w wyżłobieniu pod ścianą przechować, pókiby tłuszcza nie odciągnęła, a ci, co na ich życie czyhali, sądzić mogli, że zginęli w płomieniach. Z tą myślą biegł do Własta.

Trudno było modlącego się oderwać od miejsca, na którem chciał zginąć, aby dać wierze swej świadectwo. Nareszcie zaklęcia i prośby wymogły na Właście, że się dał odciągnąć i uprowadzić.

Wszystko więc troje, niepostrzeżeni, bo lud nie napadł dworu, nic z niego tknąć nie chcąc, tylko żywcem spalić swe ofiary, spuścili się zwolna do tej kryjówki, tak Własłowi pamiętnej.

Los jego prowadził go znowu w to samo miejsce, na śmierć, czy ocalenie... któż mógł przewidzieć?

Gdy Jarmierz, narzuciwszy mokrej słomy i mierzwy na wrota, zapuścił je na jamę, starając się ją ukryć przed oczyma napastników, — w ciemności i zamknięciu zrazu nie słyszeli, nie widzieli nic... wpadli jakby w grób...

Właśt do modlitwy zachęcał. Klękli wszyscy, powtarzali za nim wyrazy, które wymawiał powoli.

Naprożno było nasłuchiwanie; głos żaden nie dochodził tutaj.

Zdawało się im, że wiek trwało to okropne milczenie śmierci, gdy nareszcie szelest jakiś i jakby szum dobiegł ich uszu.

Jarmierz poznał głos ognia, który się zbliżał. Gorzały dachy.

Ile razy, ciesząc się swem łatwem zwycięstwem, tłum ogromnym dzikim odezwał się krzykiem, echo jego głucho odbijało się pod ziemią. Gdy belki padać zaczęły z góry, — ziemia się kilkakroć wstrzęsła. Zatętniało potem, jakby ciżba wpadła na pogorzelisko.

Na wrota jamy, które tylko zgorzały dach mógł ocalić, okrywając je, jeszcze się nic nie zwaliło.

Powietrze robiło się duszne i ciężkie; Hanna z płaczu i trwogi mdlała, ale trwoga jej napowrót przytomność wracała. Właśt się modlił. Jarmierz, do wrót się przyczepiwszy, starał się śledzić postęp pożaru. Przez szpary przeciskało się światełko i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał.

Śmierć szybką zmienili tylko na powolną męczarnię. Właśt myślał o duszy już nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę, brata i modlił się za nich i za siebie.

Jak deszcz ognisty naprzód z dachu posypały się iskry, potem kilka krokwi przepalonych upadło na wrota, wreszcie część dachu, pod którą się znajdowali, runęła z łoskotem i przysypała je ognistemi węglami.

Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż oddychać już nie mieli czem... powietrza ubywało... gorąco dawało się czuć straszliwie...

Zdala słychać było walenie się ostatnich belek i kawałów pokrycia, a każdemu runięciu towarzyszyły okrzyki.

Właśt z czołem opartem o ziemię stracił wreszcie przytomność. Hanna leżała bez zmysłów.

Zrozpaczony Jarmierz barkami podniósł nieco wrota, aby wpuścić powietrza. Zamiast niego wpadł gryzący dym do jamy.

Trzymając tak ten ciężar nad sobą, Jarmierz mógł się przysłuchiwać.

Krzyki zdawały się oddalać.

Nie chciał zrazu uszom wierzyć... czekał jeszcze.

Głosu żadnego nie słyszał już, oprócz trzaskania dopalających się belek i szumiącego wiatru, w którym deszcz razem rzęsisty rozpoznać było można. Dym rozszedł się nieco, powietrze weszło do lochu, aby ocucić pomdlonych.

Jarmierz odważył się, odsunąwszy nieco wrota, napół wydobyć z ukrycia. Noc była czarna, czerwona łuna pożaru świeciła tylko, — nikogo dokoła nie dojrzał, pusto było i cicho...

Dwór cały leżał w węglach, gdzie niegdzie tlił słup, którego płomień deszcz przygaszał... Jarmierz wyskoczył całkiem nad loch i pełzając, starał się rozpatrzyć dokoła. Tłumy rozbiegły się po lasach, pewne, że zamknięci we dworze zginąć musieli w płomieniach.

Męczennicy cudem istotnym zostali ocaleni. Lecz mogliż się uważać już za bezpiecznych?

Na pogorzelisko łatwo ludzie powrócić mogli, uchodzić z niego do lasu groziło dostaniem się w ich ręce.

Wstawszy z ziemi, nie widząc nikogo dokoła, Jarmierz wahał się, czy ma wydobyć Własta i żonę, czy dłużej zostawić ich w tej kryjówce. Pełznąc, aby nie być postrzeżonym, jeśliby kto jeszcze stał na straży, dostał się do studni w podwórku, przy której znalazł wiadro wody pełne. Z niem nazad pośpieszył do Hanny i Własta. Ale ci już byli powrócili do życia, gdy wrota dopuściły świeże powietrze.

Właśt odmawiał, stojąc, hymn dziękczynny ze złożonemi rękami, z głową podniesioną i wołał:

— Cud uczyniłeś Panie, abyś nawrócił niewiernych, abyś zawstydził złych... Cud uczyniłeś Panie, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego imienia Twojego...

I Hanna widziała w tem cud, i Jarmierz, który drżał z radości, chociaż na myśl o tych tłumach, gdzieś wpobliżu będących, nowa go trwoga ogarniała.

Nie wiedział jeszcze, co poczynać, gdy z ogromnym tętentem i wrzawą przypadła gromada jezdnych i u pogorzeliska stanęła.

Nie wiedząc, kto przybywał, Jarmierz padł zrazu na ziemię, lecz wkrótce z mowy, która go dochodziła, poznał oddział ludzi z grodu nad Cybiną wysłany, gdy łuna pożar zwiastowała. Co prędzej więc powstawszy począł biec ku nim. Na widok jego rzucili się, aby go pochwycić... i nierychło mógł się im dać poznać. Ludzie, zsiadłszy zaraz z koni, pomogli mu do wydobycia Własta i Hanny napół żywych, lecz ocalonych.

Deszcz ustawał, resztki stosu tego ofiarnego, gorejąc, oświecały rumowisko. Jakież było podziwienie Własta i wszystkich, gdy, otoczony głowniami gorejącemi dokoła, ujrzeli ołtarz kapliczny cały i na nim krzyż nieobalony, świecący zdaleka... Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach.

Własta żadna siła powstrzymać nie mogła, aby nie pobiegł uklęknąć przed tym ołtarzem, do którego z sobą pociągnął siostrę i brata równie jak on tym cudem przejętych. Gromadka ludzi z zamku przybyłych, świeżo nawróconych także klękła, zdjęta trwogą, i modliła się razem z nimi.

Widok tego znamienia nowej wiary, ocalonego z płomieni, przejmował wszystkich, jako dowód potęgi nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ująwszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, okrytą węglami a niezgorzałą, Własť musiał razem z ludźmi, co go ocalili, udać się na zamek pod Cybiną.

Dniało już, gdy w las wjechali wszyscy. Własť na danym mu koniu przodem ze świecącym krzyżem w dłoni, za nim Jarmierz i Hanna.

Zaledwie stai parę oddaliwszy się od pogorzeliska, z przestrachem i zdziwieniem postrzegli koczującą w lesie, na ziemi rozłożoną gromadę ludzi, która się schroniła tu przed ulewą po pożarze, którego pilnowała.

Na widok jadących popodnosili głowy; Warga postrzegł pierwszy i poznał ocalonego Własta, z krzyżem w ręku. Stary wróżbita oniemiał z przerażenia. Był pewnym jego śmierci.. strzeżono dokoła dworu, aby się nikt z niego wymknąć nie mógł. Jak na widok upiora, wstałego z grobu, starzec krzyknął i dłońmi zakrywszy sobie oczy, porwał się natychmiast z ziemi, pędem uciekając w las, za nim tłum co prędzej zaczął się zrywać i uciekać z wrzaskiem... Ludzie padali na ziemię przestraszeni. Orszak wiodący ojca Matję przeciągnął powoli w milczeniu i znikł na drodze do grodu.

XII.

EPILOG.

Spytacie może o losy ojca Matji, czyli Własta, syna Lubonia? Milczą o nich dzieje nasze. Pierwszy kapłan i apostoł nie dobijał się żadnego stanowiska w hierarchji kościelnej, ani sławy i rozgłosu pomiędzy ludźmi: — cicho przeszedł po świecie tym, kryjąc się z sobą i okrywając pokorą. Imienia jego nie wzmiankują kroniki, nie zapisują rocznikarze, nie znają martyrologi.

Całą majętność swoją rozległą oddawszy siostrze i jej mężowi, Własta wymówił sobie to miejsce, na którem stał dom ojcowski, aby na niem wystawić kościół... Miał myśl też zakonników z Monte Cassino, u których przebył lat parę, sprowadzić i klasztor im pobudować. Trudności, jakie naówczas przedstawiały podróże, zajęcia apostolskie u boku pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, nie dozwoliły mu do Włoch się udać i dawnych braci tu sprowadzić.

Ks. Jordan, on, kapłani czescy i kilku Włochów wiele mieli u Polan do czynienia. Kraj milczał i ścierpiał w pierwszej chwili narzuconą sobie wiarę, ale wytrwał tajemnie przy dawnej. Przez długie wieki pozostały jej ślady i szczątki w pieśniach, obrzędach, w kryjomo obchodzonych świętach i mnóstwie zwyczajów, które niezrozumiałe już były pokoleniom następnym, ale im do serca przyrosły.

Mieszko i jego poddani, co się ochrzcili nawet, długo bardzo nie mogli nawyknąć do nowych obowiązków. Dubrawka przez lat kilka nie zachowywała sama postu, aby zwolna do poszanowania go męża nakłonić. Później już przez żonę pokonany, Mieszko z surowością sobie zwyczajną, kazał nieszanującym postów — jak piszą, zęby wybijać...

Tak samo zakazywano śpiewać stare pieśni, zbierać się na Kupałę, nocne odbywać pląsy i zabobonne

gusła, zabraniano grzebać ciała po rozdrożach i uroczyskach, jak to dawniej bywało we zwyczaju z tryznami, obiatami, stypami trwającemi po dni kilka. Ludzie, przywiązani do odwiecznych tych obrzędów, uciekali w głąb lasów, kryli się, ale przez długie wieki pamięć wiary przechować umieli.

Nie było sposobu od tych strumieni, kamieni, słupów, dębów i gajów ich odzwyczaić, i duchowieństwo stawiło na nich krzyże. Z dawnych imion bóstw czyniono świętych, dni uroczyste u pogan zastosowywano do obchodów i pamiątek kościelnych.

Tak te resztki wiekowej spuścizny zmieszały się, zlały, dziwnie częstokroć z legendami chrześcijańskiemi.

Dzień 7 marca, który był naznaczonym do zburzenia wszędzie, gdziebykolwiek się znajdowały, resztek pogańskich bałwanów, na długo został pamiętnym. Długosz powiada, że w niektórych wioskach w Polsce, w czwartą niedzielę postu, zatykano na długich żerdziach (stanice dawne) wizerunki Dziewanny i Marzanny, a potem je rzucano i topiono w bagnach.

Pobożny ojciec Matja, przeżywszy panowanie Mieszka, które było jakby wstępną pieśnią bohaterskiego poematu Bolesława Wielkiego, pozostał przy kościele głównym w Poznaniu, skąd mu łatwiej było i swój nowo założony odwiedzać.

Nieopodal od niego stał nowy dwór Hanny i Andrzeja w miejscu, które się pono nazwało później Głuszynem (tak jak bardzo być może, iż z Krasnejgóry Górczyn mógł powstać). Tu ojciec Matja przybywał błogosławić małym dziatkom siostry swej i w młodociane główki wpajać pierwsze, mające w nich się krzewić pojęcia. Tu on, otoczony tą gromadką, napół dzikich, ledwie odzianych, puszczanych swobodnie, wedle dawnego obyczaju dzieci, stawał się dla nich sam dzieckiem prawie i wedle nauki Chrystusa przywabiał je do siebie.

Wiele lat upłynęło od opisanych wypadków; potęga Mieszka wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne po całej ziemi Polan, przebiegali

ją kapłani dla połowu dusz zbłąkanych. Ojciec Matja był wszędzie z nimi, gdziekolwiek groziło niebezpieczeństwo, były trudności do przełamania, a językiem rodzonym i sercem bohaterskiem przemówić było trzeba do ludu.

Z uśmiechem, gdy mu kto chciał wrazić obawę, mawiał, że się po dwu w życiu niebezpieczeństwach, z jakich go Bóg ocalił, już żadnego nie lęka. Znano go, i najzapaleńsi nawet starowiercy szanowali w nim nieustraszone męstwo i niezmożoną niczem cierpliwość a niewyczerpaną dobroczynność.

W ubogiej swej sukni czarnej, z kijem w ręku mógł bezpiecznie przebiegać najodleglejsze, najzapadlejsze kraju zakątki, gdzie się nikt inny dojść nie ważył.

W ręku przy lasce, na której się podpierał, miał zwykle siekierkę małą, nie dla obrony od napaści, ale by móc naprędce wyciosać krzyżyk i postawić go wszędzie, gdziekolwiek znalazł jakiś znak dawnego bałwochwalstwa. Nie zrażało go to, gdy drugi raz na to miejsce przychodząc, pierwszej swej pracy nie znalazł śladu. Siadał ciosać krzyż swój na nowo i wbijał go w tem samem miejscu. Czasem po dwa i trzy razy musiał podnosić to znamię, nim się ono nareszcie ostało. Zabobonny lud przypisywał cudowi to powracanie krzyża, a cudem była tylko święta cierpliwość nieznużonego apostoła.

W miejscu, gdzie był dwór i kaplica spalona, ojciec Matja pobudował mały kościołek, a tam, gdzie była owa jama, w której naprzód ojciec go więził, później czasu pożaru Jarmierz zdołał go ukrytego ocalić, wymurował sobie za życia grób, do którego często zaglądał.

Do tego kościoła chodził z Poznania pieszo, często w nim długie spędzając godziny. Stroił go, ubierał, zbogacił, opatrywał we wszystko, jak najulubieńsze dzieło swoje. Często, gdy go nie znajdowano w Poznaniu u Św. Jana Jerozolimskiego, wiedziano, gdzie go szukać. Trwał na modlitwie w swoim kościołku, albo

z miotłą w ręku oczyszczał go, obmywał i utrzymywał w nim porządek. Obcej ręce nie dawał się tu prawie dotknąć niczego.

Jednego wiosennego dnia około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniej, a czeremchy rozkwitały, wonią napełniając powietrze, szukano napróżno ojca Matji w Poznaniu. Izdebka jego, którą zawsze zostawiał otworem, stała pustką, nie było go dni kilka. Ponieważ, przy szczupłej liczbie ówczesnego duchowieństwa, był pilno biskupowi Jordanowi potrzebnym, wysłano za nim do siostry do Głuszyna, ale stąd wrócił posłany, oznajmując, iż go tu także od kilku już tygodni nie widziano. Bardzo być mogło, iż wyszedł na jedną z pielgrzymek swych, które często pieszo odbywał. Lecz zbliżało się Wniebowstąpienie, a na wielkie uroczystości wracał zwykle do Poznania. W wigilję tego dnia, gdy po raz wtóry nadbiegł posłaniec do Głuszyna, trochę niespokojny Jarmierz z Hanną udali się do kościołka na Krasnejgórze, bo im przyszło na myśl, a raczej przeczucie jakieś mieli, iż tam go znaleźć mogą.

W istocie, zbliżywszy się do kościołka, znaleźli drzwi niezamknięte, a uchyliwszy je, spostrzegli brata krzyżem leżącego przed ołtarzem, na którym świece się dawno powypalały. Wszedłszy, poklękli, zrazu oczekując, ażali modlitwy skończywszy, ojciec Matja nie wstanie ku nim.

Upłynął jednak czas dość długi, a modlący nie poruszył się wcale.

Gdy już zmierzchało, Hanna podeszła ku niemu i, poklęknąwszy, w rękę go chciała pocałować, aby dać znać o sobie.

Ręka była jak kamień zimna: ojciec Matja nie żył.

Skończył życie wśród modlitwy, leżąc krzyżem właśnie na tym kamieniu, który pokrywał wnijście zamurowanego grobu.

Na krzyk bolesny Hanny nadbiegł Jarmierz, podniesiono ciało już zupełnie ostygłe, bo nieboszczyk od dwóch pewno dni już żyć przestał. Na twarzy jego

bladej panował wyraz słodkiego uszczęśliwienia, usta zamknięte uśmiechały się spokojem.

Wielki był żal wszystkich po człowieku pobożnym, cichym, a tak potrzebnym kościołowi kapłanie, którego nikt nie mógł zastąpić.

Dano zaraz znać do Poznania, naznaczono dzień pogrzebu i przy wielkim nacisku pobożnych, na trzeci dzień w prostej trumience, jak przykazał, złożono ciało jego w grobowcu pod ołtarzem.

Cóż dziwnego, że potem w kilkanaście, kilkadziesiąt lat nikt już imienia pobożnego kapłana nie pamiętał, że w sto lat nie było śladu kościoła i grobowca, a we dwieście miejsce zmieniło imię i rodzina wygasła. Tak wszystko na ziemi przemija i ginie...

K O N I E C